cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #197–198 12/2022–01/2023

Piotr Lisiewicz
TATRZAŃSKI HOMER

Tomasz Łysiak
NOC PRZY GROBOWCU SCYPIONÓW

Walentyn Kondratiuk
CHWAŁA PIOTRA I POKUSZENIEM PUTINA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

Znowu się ponarażam

PROF. ROSZKOWSKI O PIŁSUDSKIM, RACJI STANU, TUSKU I WRAŻLIWYCH JULKACH

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 081494c15f

TEMAT NUMERU ▼ 4–12



Znowu się ponarażam / 4

IDEE ▼ 14–28



Zwycięstwo Jozafata Kuncewicza / 14

HISTORIA ▼ 30–55



Tatrzański Homer / 30

KULTURA ▼ 56–62



Z paszczy lwa do sekretów Baldunga / 56

ŚWIAT ▼ 68–98



Najczarniejsza ciemność, czyli słowo o rosyjskich okupantach / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z prof. Wojciechem Roszkowskim rozmawia Piotr Lisiewicz
Znowu się ponarażam /4

Ryszard Czarnecki
Kosmopolityzm vs patriotyzm /12

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Zwycięstwo Jozafata Kuncewicza /14

Walentyn Kondratiuk
Chwała Piotra I pokuszeniem Putina, czyli nieznany list wasalny Piotra I do chana krymskiego Dawlet-Gireja II /22

Małgorzata Matuszak
Święta pod znakiem samotności /26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Tatrzański Homer /30

Dariusz Jarosiński
Jak kętrzyńscy uczniowie walczyli z komuną /36

Agnieszka Kowalczyk
„Zginęliśmy nie darmo". Józef Piłsudski o powstaniu styczniowym /42

Tomasz Łysiak
Noc przy grobowcu Scypionów /48

Józef Piłsudski
Wybór z pism /52

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Z paszczy lwa do sekretów Baldunga /56

Krzysztof Karnkowski
Nie tylko rodzinne dramaty /60

ŚWIAT

Jakub A. Maciejewski
Najczarniejsza ciemność, czyli słowo o rosyjskich okupantach /68

Antoni Rybczyński
Ajatollahowie stawiają wszystko na jedną kartę – rosyjską /74

Hanna Shen
Chińskie zauroczenie Franciszka /78

Stefan Czerniecki
Wioska, do której łatwo trafić /82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Wojna i Arktyka. Co Rosja może stracić na Dalekiej Północy /96

eprasa.pl 081494c15f

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Komisja równie ważna jak rozbudowa armii
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Zapiski z domu wariatów
PAPKULTURA 13



Małgorzata Matuszak
Czym są... narodziny
KATECHIZM INTELIGENTA 21



Marek Kalinowski
Muzyka cięta na miarę
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63



Krzysztof Wołodźko
Koestler. Pisarz, szarlatan, prawdomówca
DZIENNIK LEKTUR 64



Olga Doleśniak-Harczuk
By nie wyparowało
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Ryszard Czarnecki
List z Mozambiku
CZARNECKO TO WIDZĘ 95



Tomasz Sakiewicz
Regionalna potęga
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Komisja równie ważna jak rozbudowa armii

Wrogów naszej niepodległości mamy nie tylko na zewnątrz, lecz także w środku – opcja uzależnienia ma swoich reprezentantów na scenie politycznej. Trzeba pokazać Polakom ich działania. Trzeba upublicznić ich zamiary i decyzje z przeszłości. To dziś jedno z najpoważniejszych wyzwań, jakie stoi przed Zjednoczoną Prawicą.

Profesor Wojciech Roszkowski w rozmowie z Piotrem Lisiewiczem powiedział, że nigdy w historii Polski nikt nie myślał o tym, by oprzeć niepodległe istnienie naszego państwa na wsparciu osi Berlin–Moskwa. Nasze dzieje każą nam wyciągać odwrotne wnioski: z zacieśniania relacji między Niemcami a Rosją pochodziły najbardziej dramatyczne momenty Rzeczypospolitej, bo ten sojusz dwóch państw jest nakierowany na wyniszczenie innych, nie na koegzystencję. Przede wszystkim dlatego, iż oba te kraje traktują agresję jako naturalne narzędzie uprawiania polityki i relacji międzynarodowych. Oba przekroczyły wszelkie granice zbrodni i stosowały ludobójstwo na niespotykaną wręcz skalę. I jak widać, nawet dziś są źródłem lub sprawcą – bezpośrednim jego wykonawcą. Były premier Wielkiej Brytanii w wywiadzie dla CNN wypowiedział głośno to, co tak wielu wyczuwało: rząd w Berlinie czekał na upadek Ukrainy. Wiele razy nie tylko na łamach naszego miesięcznika, lecz także w innych mediach Strefy Wolnego Słowa pisaliśmy o tym, iż Niemcy podają Kremlowi tlen, robią wszystko, co tylko w ich mocy (bez znaczących strat wizerunkowych), by stworzyć Rosjanom przestrzeń gospodarczą i geopolityczną do podboju naszego wschodniego sąsiada. Czy ktokolwiek jest w stanie uwierzyć, że nie zdają sobie sprawy z tego, jak wyglądałby los Ukraińców i przyszłość naszego regionu po triumfie Putina? Zgoda na zajęcie Ukrainy to także akceptacja tysięcy izb tortur, obozów, więzień – Berlin wkalkulował ich powstanie w koszty rosyjskiej operacji i najwyraźniej uznał, że warto. Bo w tym ukraińskim cierpieniu, śmierci widział szansę na zdominowanie Europy. Moskwa miała dostać w krwawe łapy wschód, a Berlin zdynamizować proces podporządkowania sobie naszego kontynentu – pod moralnym przywództwem, jak to bezczelnie ujął kanclerz. Ten scenariusz był jasny od lat. Opisywaniem go zadrukowaliśny kilometry papieru. Sęk w tym, że równolegle do nas działał potężny front oszukiwania Polaków – przedstawiania im wizji posłuszeństwa wobec Berlina i usłużności wobec Kremla jako racjonalnego wyboru, dowodzącego wręcz dojrzałości i znajomości świata. Już wiosną bieżącego roku pisaliśmy o pilnej konieczności powołania komisji do wyjaśnienia, a tak na prawdę do upublicznienia działań władz RP podporządkowujących nasze państwo interesom Niemiec i Federacji Rosyjskiej. W tej sprawie nie chodzi tylko o sprawiedliwość, lecz przede wszystkim o zabezpieczenie naszej przyszłości. Wojna nie skończyła się zwycięstwem Ukrainy (przynajmniej na razie), działania Berlina mające na celu osłabianie Polski postępują. Opinia publiczna musi zacząć rozumieć sytuację, bo bez tego Rzeczypospolitej grozi potężne niebezpieczeństwo. Wrogów naszej niepodległości mamy nie tylko na zewnątrz, lecz także w środku – opcja uzależnienia ma swoich reprezentantów na scenie politycznej. Trzeba pokazać Polakom ich działania. Trzeba upublicznić ich zamiary i decyzje z przeszłości. To dziś jedno z najpoważniejszych wyzwań, jakie stoi przed Zjednoczoną Prawicą. Nie mniej istotne dla naszego bezpieczeństwa i przyszłości jak rozbudowa armii. ■

eprasa.pl 081494c15f



eprasa.pl 081494c15f

Znowu się ponarażam

Stawianie przez Polaków w niewoli na Rosję zdarzało się, stawianie na Niemcy też, ale stawianie na Rosję i Niemcy jednocześnie? Trudno mi przypomnieć sobie takich myślicieli. Bo sojusz niemiecko-rosyjski oznacza z reguły likwidację Polski. Dlatego kiedy po 2003 roku Niemcy zaczęły wyraźnie zacieśniać stosunki z Rosją, to wiara w to, że dla Polski może coś dobrego z tego wyniknąć, była samobójcza. Można zastanawiać się, jak na to reagować, gdzie szukać ratunku, jakichś sojuszników, którzy nas z tego wyciągną. Ale określać to jako coś korzystnego? To dowodzi, choć nie chciałbym tu już zupełnie przybijać puenty młotkiem, zdrady polskiego interesu narodowego – z prof. WOJCIECHEM ROSZKOWSKIM rozmawia PIOTR LISIEWICZ.

fot. Bogdan Kreisel/Forum

eprasa.pl 081494c15f

▶ Donald Tusk podczas spotkania w Piasecznie zapytany został o swoje słowa, że „polskość do nienormalność". W odpowiedzi zaczął szydzić z rozmówcy, sugerując, że nie zna on jego artykułu i jest zapewne półanalfabetą: „To są dwie strony, da pan radę". Jak zapewnił, ów cytat „jest wzięty wprost z listu Józefa Piłsudskiego". W książce „Donald Tusk. Droga do władzy" mamy konkret: Tusk tłumaczy, że chodzi o list do Feliksa Perla. Ale tam nie ma takich ani podobnych słów. Piłsudski pisał ów list w 1908 roku, licząc się z tym, że za chwilę zginie. Było to przed napadem na rosyjski pociąg w Bezdanach. Szykując napad krytykuje Polaków za brak czynu: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą". Też jest tam krytyka polskości, tyle że zdaje się z przeciwstawnych do Tuska pozycji.

Polskość można krytykować, bo żaden naród nie jest idealny. Powiem więcej, polskość wymaga także krytycznego spojrzenia. Ale Tusk sugeruje, z polskością, jako nienormalnością, ma ochotę walczyć. Nasuwa się pytanie, dlaczego Tusk wprowadza nas teraz w błąd, powołując się na nieistniejący cytat, a w dodatku okazując brzydką pogardę dla rozmówcy? Te dwa elementy – kłamstwo i pogarda – wskazują, moim zdaniem, na złą wolę i chęć odżegnania się od polskości, a nie od nienormalności.

▶ Ironicznie można powiedzieć, że Tusk też pisał te słowa na krótko przed swoimi Bezdanami. Piłsudski rabował rosyjskie ruble, by finansować Związek Walki Czynnej i organizacje strzeleckie. Ale środowisko Tuska też miało się niebawem niesamowicie wzbogacić przy okazji rabunkowej prywatyzacji. Jaki wódz, takie Bezdany?

(Śmiech) No tak, te pierwsze były dla sprawy, powiedziałbym, szerszej, a te drugie okazały się raczej dowodem prywaty.

▶ Później w retoryce Tuska uległość wobec Niemiec, ale także przez długi czas wobec Rosji, jawi się jako dowód rozsądku, a nawet jakiegoś takiego poważnego, realnego, a nie szalonego zabiegania o niepodległość.

Szczerze mówiąc, trochę mam tu kłopot. Bo w polskiej tradycji odwoływanie się do zdrowo-rozsądkowej wiary w to, że da się spokojnie przeżyć w obliczu sojuszu niemiecko-rosyjskiego, trudno mi sobie przypomnieć. Stawianie przez Polaków w niewoli na Rosję zdarzało się, stawianie na Niemcy też, ale stawianie na Rosję i Niemcy jednocześnie? Trudno mi przypomnieć sobie takich myślicieli. Bo sojusz niemiecko-rosyjski oznacza z reguły likwidację Polski. Oczywiście prędzej lub później, w różnym stopniu i rozmiarach. W 1939 roku mieliśmy wersję „w krótkich abcugach". Dlatego kiedy po 2003 roku Niemcy zaczęły wyraźnie zacieśniać stosunki z Rosją, to wiara w to, że dla Polski może coś dobrego z tego wyniknąć, była samobójcza. Można zastanawiać się, jak na to reagować, gdzie szukać ratunku, jakichś sojuszników, którzy nas z tego wyciągną. Ale określać to jako coś korzystnego? To dowodzi, choć nie chciałbym tu już zupełnie przybijać puenty młotkiem, zdrady polskiego interesu narodowego.

▶ Mija w tym roku nieświętowana przez nas 250. rocznica I rozbioru Polski. Można odnieść wrażenie, że obecna sytuacja międzynarodowa jest na tle tych 250 lat anomalią. Po napaści Rosji na Ukrainę, której udzielamy ogromnego wsparcia, wydaje się że niezależnie jaki scenariusz miałby się spełnić, to my będziemy po właściwej stronie jakiejś żelaznej kurtyny.

Ale w 1939 roku też byliśmy po dobrej stronie, a skończyło się to tak, że przegraliśmy, będąc w obozie zwycięzców, więc może nie byłbym aż tak optymistyczny.

▶ Różnica jest. Na przykład w 1939 roku nie było wojsk amerykańskich w Polsce.

Zgoda. Pojawiła się korzystna dla nas koniunktura. Rafał Ziemkiewicz zastanawiał się ostatnio, jaka jest strategia amerykańska. Niewątpliwie Joe Biden przekręcił wajchę i zamiast wspierać rosyjsko-niemiecką akcję w Europie, poparł Ukrainę przeciwko Rosji. I wygląda na to, że docelowo chce Rosję osłabić. Bardzo osłabiona Rosja jako sojusznik Chin jest lepsza dla Waszyngtonu niż nieosłabiona Rosja jako sojusznik Chin. Czyli Biden machnął ręką na próby oderwania Rosji od Chin. Uznał, że Rosja nie ma innego wyjścia, tylko kochać się z Chinami i dlatego lepiej, żeby była jak najsłabsza. Ziemkiewicz użył określenia, że Ameryka będzie w tej sytuacji walczyć z Rosją do ostatniego Ukraińca. Nie wiem, czy tak będzie, bo przecież także w Ame-

eprasa.pl 081494c15f

ryce pojawiają się głosy, że można by się dogadać. Ale jeśli Ameryka tak mocno postawiła na osłabienie Rosji, to my jako pomocnik w tej całej akcji, pomocnik Ukrainy jak i Stanów Zjednoczonych, możemy na tej koniunkturze dobrze wyjść. Oczywiście są znaki zapytania dotyczące Ameryki. Jak chodzi o Niemcy i Francję, to my wiemy, co myśleć. One są gotowe zapłacić dużą ilością ofiar ukraińskich, żeby się móc znowu z Rosją dogadywać. Natomiast w Stanach Zjednoczonych gotowość do dogadywania się z Rosją jest mniej rozbudzona, chociaż do końca nie można tego wykluczyć. Co będzie, jeśli Amerykanie stracą tę swoją determinację w osłabianiu Rosji? Może okazać się, że Rosja, mocno osłabiona, ale wraca na arenę. Jako partner słabszy, ale nadal będący ważnym graczem. Czy w tym momencie rysuje się dla Polski jakieś wyraźne zagrożenie? Jestem w tej sprawie optymistą, ale optymistą pod warunkiem. Natomiast zgadzam się, że polityka amerykańska wyraźnie się zmieniła w czasie rządów Joe Bidena i mam nadzieję, że nawet jeśli Demokraci przegrają wybory, to następcy będą ją kontynuowali, bo to wydaje się w globalnym interesie Stanów Zjednoczonych. Polska jest państwem uzależnionym od gry wielkich mocarstw. I wydaje się, że jeśli postępujemy tak jak Amerykanie planują, to chyba możemy na tym wyjść dobrze.

▶ Ale niezależnie od tego, co stanie się później, to jest to moment historyczny, w którym możemy wzmocnić naszą własną siłę. Między innymi kupić najnowocześniejsze na świecie czołgi, samoloty czy himarsy. I nawet jeśli koniunktura mniej lub bardziej się popsuje, to możemy być wtedy mocniejsi.

Tak, bezspornie możemy się wzmocnić. A okaże się, czy bardzo, czy troszkę. Jest też pytanie, czy polska gospodarka wytrzyma wszystkie te międzynarodowe napięcia i spadki koniunktury. I kogo Polacy wybiorą w przyszłym roku.

▶ No właśnie, moje poprzednie pytania nie wynikały z hurraoptymizmu, lecz zmierzały do wniosku, że w czasie niezwykłej, pozytywnej koniunktury międzynarodowej w Polsce może dojść do rezygnacji z niepodległości za pomocą kartki wyborczej. To jest o tyle absurdalne, że oczywiście z obecnego wzmacniania się Polski powinni być zadowoleni nie tylko zwolennicy obozu niepodległościowego bliskiego PiS, lecz także ci inteligenci, którzy krytykują polską martyrologię i różne nasze niedostatki, będące skutkiem czasów niewoli. Cholera, możemy mieć Polskę, za którą nie trzeba będzie ginąć w powstaniach, zero „nienormalności", a wy jesteście przeciw temu?

ŻYJEMY W TAKIEJ TROCHĘ NIENORMALNEJ RZECZYWISTOŚCI, W KTÓREJ WAŻNIEJSZE JEST ŻYCIE ZWIERZĄT NIŻ LUDZI. WAŻNIEJSZY JEST WEGANIZM NIŻ KOTLET. WAŻNIEJSZE JEST WYMYŚLANIE NOWYCH ZAIMKÓW NA RÓŻNE RODZAJE TOŻSAMOŚCI PŁCIOWEJ ORAZ KOPIOWANIE ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH WOJNY O SEDES, CZYLI O TO, CZY PANOWIE MAJĄ WSTĘP DO DAMSKICH TOALET.

No właśnie, a jeśli nie ma zrozumienia tej sytuacji, to pojawia się pytanie, jak rozumieć tę nienormalność? Czy to oznacza, że dla bardziej oświeconej części społeczeństwa normalnością jest kompleks satelity, kompleks niewolnika? Lepiej się nie wychylać, nie planować jakichś wizji przyszłości? Tusk to powiedział: jeśli ktoś ma wizje, to do lekarza niech idzie. Moim zdaniem jeżeli uprawia się politykę bez jakiejkolwiek wizji, to jest to nienormalność właśnie. Pytanie, czy ta część naszej inteligencji jest w ogóle w stanie przezwyciężyć ten sposób myślenia? Że ci wielcy nadają ton i trzeba się ich słuchać. I wtedy na miejscu jest pytanie, co to są za wielcy? Bo wielcy to mogą być również Niemcy i Rosjanie. I nieszczęściem polskiej nienormalności jest to, że jeżeli wizje mające logiczny sens snuje Jarosław Kaczyński, to tym gorzej dla tych wizji. To jest dopiero nienormalność! Oczywiście można rozważać, sine ira et studio, czy mamy dzisiaj dobrą koniunkturę, od czego ona zależy, co nam wy-

eprasa.pl 081494c15f

pada robić w tym momencie. Zbroić się u Amerykanów i Koreańczyków czy u Francuzów? Rozważać racjonalnie, jak wzmacniać państwo. Ale czym innym jest mówić, że cokolwiek ten rząd by zrobił, to jest głupie i szkodliwe. To jest właśnie nienormalne – w polskiej inteligencji! Zaczynam się zastanawiać, co to znaczy dzisiaj inteligencja? Czy ona jest zdolna do tego, by racjonalnie przyjrzeć się swoim kompetencjom? Jeśli ktoś jest znakomitym aktorem, to powinien dobrze grać na scenie. Jeśli ktoś jest dobrym piosenkarzem, to powinien ćwiczyć głos i zachwycać nim publiczność, a nie wypowiadać się o bombach atomowych. A jeżeli ktoś jest politologiem, to powinien liczyć szeregi wojska, jego rozlokowanie, zasoby takie i siakie, linie komunikacyjne, mieć mapy wojskowe przed oczami i myśleć racjonalnie o tym, co realnie się dzieje. Żyjemy w takiej trochę nienormalnej rzeczywistości, w której ważniejsze jest życie zwierząt niż ludzi. Ważniejszy jest weganizm niż kotlet. Ważniejsze jest wymyślanie nowych zaimków na różne rodzaje tożsamości płciowej oraz kopiowanie ze Stanów Zjednoczonych wojny o sedes, czyli o to, czy panowie mają wstęp do damskich toalet. No więc to są ludzie, którzy narzucają nam kompletnie nienormalne pomysły na nasze życie codzienne. Zawracają nam głowy, utrudniają nam racjonalne myślenie o tym, gdzie dzisiaj jesteśmy, jakie mamy szanse, co powinniśmy robić. Czy nasz prezydent zachował się na jakimś szczycie tak jak trzeba czy nie, ze względu na polską rację stanu, a nie ze względu na racje tych, którzy na przykład nie chcą jeść mięsa. Oczywiście jak nie chcą, niech nie jedzą, tylko niech nam nie zawracają głowy.

▶ Wydaje się, że częścią naszej słabości jest to, że nie mamy kontynuacji naszych tradycyjnych obozów politycznych. Przed wojną mieliśmy zdelegalizowanych komunistów z KPP i różne partie kłócące się ze sobą, ale wierne sprawie polskiej niepodległości, choć różnie widziały drogi do tego celu. Niedawno przeprowadziłem wywiad z Wieńczysławem Nowackim, za młodu bieszczadzkim hipisem, później sygnatariuszem porozumień rzeszowsko-ustrzyckich, dzięki którym działała legalnie rolnicza Solidarność. On z ogromną pasją mówił o Witosie, o roli jego i polskich chłopów w 1920 roku, o tym, jaką jednoczącą odgrywał rolę w centrum sceny politycznej. Ale polskim ruchem ludowym nie rządzi Wieńczysław Nowacki i podobnie jest z innymi tradycjami, zagospodarowanymi przez podróbki niebędące ich kontynuacją. Dlatego przy każdych kolejnych wyborach musimy drżeć, by do władzy nie wrócił układ niemiecko-rosyjski.

W 1918 roku dwa główne nurty polityczne w Polsce wychodziły z wojny jako nurt zwolenników państw centralnych i zwolenników Ententy. Obydwa były niezwykle racjonalne, kalkulowały, kto może wygrać wojnę. No i obóz zwolenników państw centralnych zdobył władzę w Polsce, mimo że Ententa wygrała wojnę. I jakoś się pogodzili, nie pobili się, mówię o Piłsudskim i Dmowskim. Witos z kolei, bardzo świadomie, odegrał rolę fundamentu polskości. Jako premier w 1920 roku, on jako chłop oderwany od pługa, przyjął rolę bohatera narodowego, który jako sól tej ziemi, chłop, łączy wszystkich Polaków w obronie Ojczyzny. I jeśli dzisiaj mamy PSL, który odwołuje się do tej tradycji, sięgającej XIX wieku, to na miłość Boską, całe to pokolenie działaczy PSL-u wyrastało z działaczy ZSL-u. ZSL to była partia, która zwalczała PSL i całą jego tradycję. To o tej tradycji sięgającej półtora wieku nie ma żadnej mowy. Trudno o coś bardziej kuriozalnego niż pomysł powstania PPS-u, w oparciu o postkomunistów. To nie jest operetka, to jest jakaś podwórkowa farsa. No więc tej ciągłości nie ma. Także odwoływanie się dzisiaj wprost do tradycji Dmowskiego czy Piłsudskiego jest moim zdaniem chybione. Oni dokonywali tych swoich wyborów bardzo ważnych, dramatycznych, w zupełnie innych warunkach i dokonywali ich racjonalnie. A dzisiaj mamy przed sobą wybór, o którym pan wspomniał. Albo będziemy próbowali budować siłę państwa, lepiej czy gorzej, bardziej lub mniej umiejętnie, z tymi ludźmi czy innymi, ale siłę państwa, które jest na mapie w bardzo dziwnym położeniu, między agresywną Rosją a obłudnymi i też agresywnymi, tylko na miękko bardziej dzisiaj Niemcami. Powstaje pytanie, czy my możemy to państwo uporządkować, wzmocnić i zapewnić mu bezpieczeństwo i dobrobyt, czy uważamy, że jest to niemożliwe? To jest poważne pytanie: czy jesteśmy w stanie takie państwo sobie zorganizować, znaleźć dla niego poparcie i je realizować, czy nie i musimy się oglądać na tych wielkich, którzy są bogaci i wielcy nie dlatego, że dają, tylko dlatego, że biorą. Jeśli oglądamy się na tych wielkich, to zawsze trzeba popatrzyć na to, czego oni chcą w zamian. Amerykanie też oczywiście czegoś chcą, ale z naszego punktu widzenia chcą najmniej, w zamian za to, że nas chronią. Najmniej dają na nam Niemcy, a Francja to w ogóle

eprasa.pl 081494c15f

nie wiem, co mogłaby nam zaoferować. Unia Europejska raczej bierze, niż daje. Ten cały nacisk na nas w tej chwili, pod horrendalnymi jakimiś pretekstami, to jest zupełnie irracjonalna próba osłabienia Polski, w sytuacji gdy Polska jest krajem frontowym, broni granicy Unii, wspomaga sąsiada, który został napadnięty. Polska powinna z Unii Europejskiej dostać ogromną pomoc, także po to, by Unia Europejska uratowała się przed barbarzyństwem. To, że w Berlinie próbuje się osłabić Polskę po to, żeby wrócić do dobrych interesów z Rosją, to jest polityka dramatyczna. Jeśli ktoś chciałby na ten sojusz teraz stawiać, niech nie wciąga w to państwa polskiego. To jest ten zasadniczy wybór. Można mieć różne pretensje do tego rządu. Ale jednak on podejmuje próby wzmocnienia pozycji Polski i wykorzystanie obecnej, korzystnej koniunktury. A z drugiej strony mamy próby pójścia na układy z sojusznikami, którzy więcej biorą, niż dają. I to jeszcze w sytuacji, gdy za granicą mamy wojnę. To jest aktualny dylemat. Odwoływanie się w tym kontekście do Piłsudskiego i Dmowskiego jest trochę bezprzedmiotowe. Bo oni obydwaj byli patriotami i myśleli o racji stanu. A tu mamy do czynienia z zupełnie inną alternatywą. Albo próbujemy wzmocnić nasz kraj, mówić o suwerenności, racji stanu czy też o interesie, albo próbujemy iść na wątpliwe sojusze z tymi, którzy nam nic nie dają, a zabierają.

TEN CAŁY NACISK NA NAS W TEJ CHWILI, POD HORRENDALNYMI JAKIMIŚ PRETEKSTAMI, TO JEST ZUPEŁNIE IRRACJONALNA PRÓBA OSŁABIENIA POLSKI, W SYTUACJI GDY POLSKA JEST KRAJEM FRONTOWYM, BRONI GRANICY UNII, WSPOMAGA SĄSIADA, KTÓRY ZOSTAŁ NAPADNIĘTY. POLSKA POWINNA Z UE DOSTAĆ OGROMNĄ POMOC, TAKŻE PO TO, BY UE URATOWAŁA SIĘ PRZED BARBARZYŃSTWEM.

▶ I tu wracamy do naszego kłopotu z brakiem kontynuacji niepodległościowych tradycji. Bo niby dlaczego przekop Mierzei Wiślanej miałby być prawicowy albo lewicowy? A Gazoport w Świnoujściu czy zakup czołgów? Są chyba po prostu racjonalne, niezależnie czy ktoś jest socjalistą, liberałem czy konserwatystą.

Doklejanie do tego jakichś szyldów to jest właśnie nienormalność. Co dzisiaj nazywane jest lewicą? Dzisiaj są to często bardzo bogaci ludzie, którzy tylko zabawiają się jakimiś majakami obyczajowymi. Tradycyjna socjalistyczna lewica, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Pużak czy także Józef Piłsudski w grobie się przewracają. Oni myśleli o większej redystrybucji dochodu, o awansie społecznym szerszych mas. Czy ta dzisiejsza lewica w ogóle o tym myśli? To jest jakiś absurd. Czasem myślę, że w ogóle w kontekście naszych podziałów powinno się porzucić słowa prawica i lewica. Tylko patrzeć na to, jak rozumie się interes Polski, polską rację stanu. I to jest chyba główna linia podziału. A w bardzo wielu ustach zamiast polskiej racji stanu używa się emocjonalnych epitetów wobec jakichś konkretnych ludzi. Że Iksiński jest głupi, bo usiadł obok kogoś i gada zupełnie jak on. A ten jest związany z tym czy tamtym, a na końcu jest Kaczyński, który jest paskudny. Nieważne, co mówią, co z tego ma wynikać, co robią, tylko że jakieś emocje się wokół tego kołaczą. Ja to osobiście przerobiłem na przykładzie sprawy mojego podręcznika. Nie było dyskusji, co w nim jest, tylko jaki ja jestem wstrętny. Czy poważni ludzie prowadzą w ten sposób rozmowy? Można mnie krytykować za takie czy inne sformułowanie i proponować lepsze, ale nie można porównywać mnie do Hitlera.

▶ Ten schemat podobnych kampanii wobec profesorów został wypracowany w ostatnich latach i ja go potrafię opisać, bo wykonują go ludzie z teoretycznie mojej profesji, czyli dziennikarze. Profesorowie mają pecha, bo pozostawiają po sobie pokaźne publikacje. Dziennikarz nie czyta ich w całości. Wystarcza mu prześlizgnąć się wzrokiem po spisie treści i już wie, w którym rozdziale znajdzie coś, do czego się przyczepi. Z setek stron wystarczy wyrwać parę zdań z kontekstu, wyostrzyć ich wymowę, zmanipulować. I uzyskać komentarze znanych osób pełne oburzenia, o co w czasach silnej polaryzacji łatwo. Potem wrzucamy to do Internetu i pojawiają się tysiące komentarzy, że profesor to „debil",

eprasa.pl 081494c15f

„nieuk", który „wysługuje się" dla zysku, no i na koniec pada zawsze postulat: „zabrać mu profesurę". Łatwizna, potrafię to zrobić.

Tylko pytanie, po co? Co gorsza, mamy do czynienia także z profesorami, którzy „bez obsłonek" posługują się tym samym językiem anonimowych internautów, że trzeba zdelegalizować, zakazać i odebrać paszporty, żeby nie uciekli. Oni uważają, że walczą w ten sposób z mową nienawiści.

▶ Wspomniał Pan Profesor o swoim podręczniku, najsłynniejszym w Polsce, a może i na świecie. Ja postawiłem tezę, że jest Pan atakowany także prewencyjnie. Nie tylko za to, co Pan napisał, lecz także uprzedzając to, co może Pan napisać w drugiej jego części, o tych „Bezdanach" Tuska i jemu podobnych, czyli o transformacji.

Być może, bo im bliżej naszych czasów, tym te emocje mogą rosnąć. Oczywiście opis transformacji i tego, co z niej dla nas wynikło, będzie w drugim tomie, zaczynającym się od 1980 roku. Ja przyjmuję państwowotwórczy punkt widzenia: interes narodowy, bezpieczeństwo i wolność w granicach bezpieczeństwa. Uważam, że to zdroworozsądkowe kryteria. Przypięto mi głoszenie jakiejś ideologii. Ja wychodzę z założeń chrześcijańskich, ale to nie jest żadna ideologia, tylko światopogląd. Jeśli ktoś uważa, że zna lepsze zasady moralne regulujące życie społeczne niż Dekalog, to ja chciałbym to usłyszeć. I nigdy nie słyszę, zawsze padają słowa o jakichś innych wartościach, których się nie wymienia. Ta historia od 1980 roku, czyli ostatnich 42 lat, oczywiście zawiera elementy kontrowersyjne, jak na przykład rola Lecha Wałęsy w roku 1980, 1982, 1989 itd. Albo jak rozumieć szybki powrót postkomunistów do władzy? Pewnie znowu się ponarażam. Ja zostałem tu wbity na piedestał, z którego trzeba mnie oczywiście zrzucić i podeptać. Otóż to jest nieporozumienie. Autor podręcznika pisze, co mu w duszy gra. A między autorem podręcznika a uczniem jest nauczyciel. I w wielu kwestiach, w których ja przedstawiam swoje zdanie i staram się je uzasadnić, nauczyciel może przedstawić uczniom inny punkt widzenia. Nikt nie oczekuje od niego, że będzie odpytywał słowo w słowo z tego, co piszę ja. Ja podaję informacje i propozycje interpretacji tych wydarzeń i wierzę, że duża część nauczycieli rozumie dobrze, o co chodzi w przedmiocie Historia i teraźniejszość. O to, żeby 15-, 16-latek mógł zrozumieć, co się wokół niego dzieje. I co nie wynika ze starożytności, lecz z tego, co działo się 5, 10 albo 40 lat temu. A często po prostu po 1945 roku. Żeby wiązał tę historię najnowszą z pojęciami, które powinien dobrze rozumieć. Żeby nie dawał sobie wbijać do głowy, że ktoś w Polsce jest faszystą, chociaż nie jest faszystą. Że demokratą jest ten, kto rzuca się z pięściami na inaczej myślących. Że kto używa najbardziej wulgarnych wyzwisk, walczy z mową nienawiści. Żeby nie można było mieszać młodemu pokoleniu w głowie.

▶ Obserwując burzę wokół podręcznika, widzimy jak na dłoni, że najsilniej atakują go te tradycje polityczne, mające dziś swoje kontynuacje, które odnotowują w swojej historii kolaborację czy inne sprawy, o których nie chcą, by były przypominane. Na przykład środowisko „Gazety Wyborczej".

W tej sprawie jest tak, że jak ktoś głośno krzyczy, to najprawdopodobniej nie ma racji.

▶ Mieliśmy za rządów PO-PSL czas, gdy historia miała być ograniczana w szkołach. I wtedy zainteresowanie historią najnowszą poszło przez kontestację. W hip-hopie, wśród kibiców piłkarskich, wśród kontestujących władzę twórców. Okazało się, że polska historia, jeśli tylko troszkę dotrze do młodzieży przez kontestację, jest na tyle atrakcyjna, że trafia na koszulki – z Żołnierzami Wyklętymi czy Polską Walczącą. Za pomocą tego podręcznika miała już iść do niej bez posmaku buntu, ale za to na masową skalę. I tego przestraszyli się ci, którzy mają dużo na sumieniu. Nie in vitro, lecz grypsów „Inki" czy Łukasza Cieplińskiego. Że ta historia może być porywająca dla tego specyficznego typu wrażliwości, jaką ma nastolatek.

Tak. Myślę, że propaganda mediów mainstreamowych idzie w kierunku znieczulenia na wartości, wygłuszenia tej wrażliwości. Bo 15-, 16-latek jest trochę zapalny emocjonalnie. Lepiej go nie informować, że są wartości, którym warto służyć. Żeby młodzi żyli tylko przekazami z TikToka o tym, kto jak się ubrał i kto jest fajny, a kto niefajny. Tylko nie tym, po co żyją... Co z tego wynika? Co wybierać w życiu i co z tego będzie dla nich wynikało? No bo jak wybiorą głupio, to będą mieli zmarnowane życie. Trwa wojna kulturowa i cywilizacyjna, w której wielu jej uczestników nie do końca rozumie, w czym bierze udział. Niejedna matka

eprasa.pl 081494c15f

czy babcia będzie potem rwać sobie włosy z głowy i pytać, co się stało. A to się kiedyś, w młodym wieku, zaczyna.

▶ Przypomina mi się anegdota, jak dwie nastolatki wychodzą z filmu o ks. Jerzym Popiełuszce. I jedna mówi, bardzo wzruszona: „Do końca miałam nadzieję, że on się uratuje". To pokazuje z jednej strony wrażliwość polskiej młodzieży, z drugiej wydziedziczenie jej części z polskiej historii.

Jest coś takiego, jak wrodzona wrażliwość emocjonalna. I ona jest zabijana, jeżeli w tym młodym wieku młodzi się dowiadują, że jedyna warta uwagi rzeczywistość to rozrywka. Rozrywka jest czymś normalnym, oczywiście nie posunięta do „róbta, co chceta", bo wtedy 15-latek mówiący, że ma całe życie przed sobą, może je szybko zakończyć. Bez tych informacji o historii najnowszej, o funkcjonowaniu społeczeństwa, państwa, narodu, sytuacji międzynarodowej, bez uczenia nastolatków racjonalnych wyborów, czym jest wolność i odpowiedzialność, to wszystko szlag trafi. Łącznie z tym, co oni zdążyli już pokochać lub do czego się przyzwyczaili.

▶ Ale przecież w ich wieku czymś naturalnym jest burza hormonów i okres buntu.

Tak, jeśli się takim 15-latkom coś narzuca, to oni to odrzucają. I po to są umiejętności pedagogów, by jednak dotrzeć do nich z tym, co najważniejsze. Jeśli tylko dobrze rozumieją świat tych nastolatków. Jestem człowiekiem z innego pokolenia, ale mam wrażenie, że rozumiem tę wrażliwość, nawet jeśli ci młodzi ludzie inaczej się komunikują, inaczej ubierają, inaczej różne rzeczy przeżywają. Jeśli jadąc metrem widzę, że trzy czwarte ludzi, w tym prawie wszyscy młodzi, patrzy w telefony, to odczuwam jedną obawę: że oni pobierają te informacje strasznie płytko i skrótowo. I dlatego my z wydawcą uparliśmy się, że w naszym podręczniku będą czasami trzy strony do przeczytania ciurkiem. A nie tylko obrazek, rameczka, diagramik. Sam nie jestem w tej sprawie bez winy, dwadzieściaparę lat temu też zrobiliśmy podręcznik, który miał mnóstwo tych ramek. Teraz świadomie to porzuciłem. Musimy wymagać od młodzieży umiejętności przeczytania długiego kawałka tekstu, opowieści, z której coś ma wynikać. Psychologowie mówią, że wszystkie te ramki szybko wyparowują im z głowy. A jeśli będą musieli przeczytać opowieść i ją odtworzyć, to wtedy fakty i związki między faktami zapadają w pamięć.

▶ Jeszcze jeden obrazek. Gdy Rosja napadła na Ukrainę, poszliśmy z dziećmi pod rosyjski konsulat i manifestowaliśmy m.in. razem z tymi „Julkami", które teraz podręcznik Roszkowskiego kontestują (śmiech). No i one były autentycznie przejęte i zaangażowane w dobrej sprawie. Oczywiście jak zawsze miało to charakter takiego karnawału, gdzie idziemy środkiem ulicy i krzyczymy, co nam się podoba, i różne reguły ulegają zawieszeniu. No więc młodzież nigdy nie jest z natury zła. Źli bywają starzy cynicy. A młodzież eksperymentuje – i ze złem, i z dobrem.

Dokładnie tak jest. Każde pokolenie musi mieć swój bunt, swój karnawał, swoje wydarzenie. Myślę, że zdecydowanie gorzej wygląda pokolenia dzisiejszych rodziców, którzy się na jakimś etapie pogubili. Bogacenie się, duma, że jesteśmy znów normalni, na Zachodzie – przy tym brakowało niekiedy czasu na refleksję, co z tego, co do nas przyszło, jest dobre, co takie sobie, a co złe. Odwołania się do głębszych pokładów tradycji, bo te zewnętrze często zostały. Przypomnijmy je sobie, gdy niedługo będziemy jeść śledzika w czasie Wigilii. ■

CZASEM MYŚLĘ, ŻE W OGÓLE W KONTEKŚCIE NASZYCH PODZIAŁÓW POWINNO SIĘ PORZUCIĆ SŁOWA PRAWICA I LEWICA. TYLKO PATRZEĆ NA TO, JAK ROZUMIE SIĘ INTERES POLSKI, POLSKĄ RACJĘ STANU. I TO JEST CHYBA GŁÓWNA LINIA PODZIAŁU. A W BARDZO WIELU USTACH ZAMIAST POLSKIEJ RACJI STANU UŻYWA SIĘ EMOCJONALNYCH EPITETÓW WOBEC JAKICHŚ KONKRETNYCH LUDZI.

eprasa.pl 081494c15f



Ryszard Czarnecki

Kosmopolityzm vs patriotyzm

To, z jakich tradycji kulturowych wyrastamy, określa nasze miejsce w życiu publicznym, wybory polityczne, a w przypadku polityków – jaką politykę uprawiają. Zatem jeżeli ktoś uważa polskość za nienormalność, to nie dziwmy się, gdy traktuje Rzeczpospolitą jako dodatek, uzupełnienie, aneks, suplement do „normalnych" Niemiec (czy Rosji).

W drugiej połowie lat 80. ukazały się w przestrzeni publicznej dwie wypowiedzi skrajnie różne, pozycjonujące nie tylko ich autorów, lecz także szerzej: polskie nurty polityczne. Wypowiedź pierwsza stała się mottem nieformalnego obozu kosmopolitycznego, a druga – obozu patriotycznego, niepodległościowego. Obie dotyczyły polskości, patriotyzmu, ojczyzny. Autorem pierwszej był młody liberał Donald Tusk, który w ankiecie dla jednego z katolickich miesięczników uznał, że „polskość to nienormalność". Autorem drugiej był sędziwy, przeszło 97-letni były prezydent Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, były minister spraw zagranicznych i ambasador II RP w Londynie Edward hrabia Raczyński. Zapytany przez dziennikarza, czym jest dla niego patriotyzm, odpowiedział, że to tak, jakby pytać jaskółki, czym jest dla niej powietrze... Obie te wypowiedzi sytuowały nie tylko ich autorów, pokazując ich stan umysłu, lecz także pewien „background" kulturowy (lub jego brak) oraz uświadamiały tlące się napięcie między tworzącymi się (lub odradzającymi) dwoma środowiskami polityczno-intelektualnymi.

Tak naprawdę wszystko, co dzieje się w Polsce przez kolejne trzy dekady, jest zwielokrotnieniem i utrwaleniem zarysowanego wówczas podziału.

Polityka jest w wielkiej mierze pochodną kultury. To, z jakich tradycji kulturowych, ba, cywilizacyjnych (zgodnie z definicją polskiego historiozofa Feliksa Koniecznego, cywilizacja to „organizacja życia zbiorowego") wyrastamy, określa nasze miejsce w życiu publicznym, wybory polityczne, a w przypadku polityków – jaką politykę uprawiają. Zatem jeżeli ktoś uważa polskość za nienormalność, to nie dziwmy się, gdy traktuje Rzeczpospolitą jako dodatek, uzupełnienie, aneks, suplement do „normalnych" Niemiec (czy Rosji).

Tak, to podział cywilizacyjny, kulturowy, ideowy, moralny – nie „tylko" polityczny. Wyraźna granica między NAMI a NIMI. Między tymi, którzy mają pewną wrażliwość historyczną, poczucie zakorzenienia, a swoistymi „tutejszymi", tubylcami bez wiedzy, skąd są, skąd przyszli i dokąd iść powinni, jeśli mieliby być wierni „cieniom niezapomnianych przodków" (Adam Michnik pisał o „Cieniach zapomnianych przodków" – nawet tu jest między nami różnica). Ba, tutejsi vel kosmopolici w żaden, nawet w najmniejszy sposób nie pragną posiąść owej wiedzy o przeszłości, nie chcą posiąść wrażliwości patriotycznej – bo po co im ona? Jest tylko balastem, nie pasuje do współczesnego świata, jedynie przeszkodzić może (i fakt: przeszkadza) w międzynarodowej karierze. Dlatego jedni będą się odwoływać do Wolnego Miasta Gdańska czy eksponować niemieckie wątki w gdańskiej historii, a drudzy, czyli my, do czasów, gdy Gdańsk był ważnym portem I Rzeczypospolitej, a potem wydał dzielnych obrońców Poczty Polskiej i żołnierzy z Westerplatte. Tak, tych, którzy „prosto do nieba czwórkami szli", jak chciał Konstanty Ildefons Gałczyński, którego wszak nie sposób zamknąć w ryglach „Zaczarowanej dorożki". Nie dziwmy się zatem potem, jak partyjny towarzysz autora słów, że „polskość to nienormalność", na pytanie o datę Powstania Warszawskiego sytuuje je... czterdzieści lat później. A przecież ów działacz to jedna z bardziej znanych medialnych twarzy tej formacji, a nie jakiś „backbencher" – poseł z tylnych rzędów. Dziwoląg? Nie. On tam pasuje. Żaden ostracyzm za historyczny analfabetyzm go nie spotka.

Bo jak inaczej wytłumaczyć, że za rządów obozu kosmopolitycznego, gdy premierem był historyk po Uniwersytecie Gdańskim, marszałkiem Sejmu historyk po Uniwersytecie Wrocławskim, marszałkiem Senatu historyk po KUL, a prezydentem RP historyk po Uniwersytecie Warszawskim – zmniejszono liczbę lekcji historii w szkołach?! Pamiętam, jak całkowicie wyrzucono historię ze szkół zawodowych pod koniec lat 70. – widocznie komunistyczna odmiana obozu kosmopolitycznego uznała, że „robole" mają tylko pracować, a nie uczyć się historii ojczystej.

Nienormalność – kosmopolityzm vs normalność – patriotyzm. Ten podział trwa i trwać będzie. ■

eprasa.pl 081494c15f

Marcin Wolski

ZAPISKI Z DOMU WARIATÓW

Chociaż wyznanie Donald Tuska „Polskość to nienormalność" zrobiło wrażenie na Polakach, absolutnie nie powinno nikogo dziwić. Dawny młody liberał, patriota, sympatyk Kościoła, już dawno zapisał się (a może został zapisany) do świata, w którym znaczenie słowa normalność straciło pierwotny sens. W sytuacji gdy normalnością jest związek faceta z facetem czy baby z babą, kiedy uznaje się prymitywne bohomazy czy nieudolne figurki z Trzeciego Świata za twory lepsze od arcydzieł Leonarda czy Fidiasza, nic już nie powinno dziwić. Jak może normalnością być polskość, jeśli współczesnym ideałem jest europejskość, światowość czy ekologiczność... Co prawda w regule są dopuszczalne wyjątki i nie słyszałem, żeby Tusk, czy ktokolwiek z jego ferajny, mówił, że niemieckość czy żydowskość to nienormalność. Problem w tym, że Niemcom, Rosjanom, Chińczykom wolno być sobą, a Polakom nie. I nie jest to pomysł nowy. Polskość zaczęła zawadzać od początku XVIII wieku, gdy u naszych granic wyrosły opresyjne despotie, dla których ostoja wolności stanowiła przeszkodę dla każdego modernistycznego planu – czy był to rosyjski panslawizm, komunizm, nazizm Trzeciej Rzeczy czy zjednoczona Europa wedle modelu karolińskiego. Ową przeszkodę, czy jak lubił mówić Stalin – przepierzenie, usiłowano łamać zbrojnie ze wszystkich kierunków, z których najbardziej obiecujący był ten opierający się na wewnętrznej destrukcji. Umiłowanie wolności, niechęć do przemocy, duch republikanizmu zemściły się okrutnie na kraju bez stosów i pogromów. Czasem w moich historiach alternatywnych marzy mi się, choć na krótko, władca w rodzaju Henryka VIII Tudora czy Iwana Groźnego. Gdybyż tak po rokoszu Zebrzydowskiego zamiast wybaczenia rokoszan walczących z królem Zygmuntem, spotkał stryk i katowski topór, gdyby Sicińskiego po pierwszym *liberum veto* wbito na pal, a Bogusławowi Radziwiłłowi po potopie skonfiskowano majątki, być może nie doświadczylibyśmy ani Targowicy, ani dzisiejszej totalnej opozycji. Pierwszym powodem szerzenia się zła jest bezkarność. Więc jeśli miałbym szukać elementów polskiej nienormalności, to szukałbym ich dokładnie w innym miejscu niż jurgieltnicy spod znaku Unii i Kremla. Problemy I Rzeczypospolitej nie wzięły się z nadmiaru zła, tylko dobra, tolerancji, demokracji podlanej, niestety, samozadowoleniem, niefrasobliwością i domową zawiścią.

Ale akurat te wady nie nadawały się do krytykowania. Toteż nasi wrogowie w postępowej Europie wychodzili z siebie, żeby najmniejszy incydent z Polski rozdmuchiwać do rozmiarów zbrodni, a dyżurni intelektualiści na pensjach Fryca i carycy pracowali ciężko, aby udowodnić, że Polacy nie są narodem zasługującym na własne państwo. Swoją drogą, że nikomu nie przyszło wtedy do głowy, aby Diderota przekupić, a Woltera wybatożyć... Ale kto to miał zrobić? Ci, którzy sami byli na liście płac obcego ambasadora? Toteż elity kupowały szerzone brednie i pomstowały na rodaków, że nie chcą przyswajać dobrodziejstw cywilizacyjnych, tylko od czasu konfederacji barskiej zrywają się pod anachronicznymi hasłami Boga i Ojczyzny. Ale dzięki temu pozostali Polakami. Dla sporej liczby ludzi z wyjątkowych kast to nie jest żadna zaleta. Co prawda zaborcy okrutnie oszukali targowiczan. Po trzecim rozbiorze nic nie było tak jak było. Można było mieć setkę miast i wsi, ale wobec cara były pyszny magnat robił co najwyżej za przydupasa. „Ja już jestem Rosjaninem" – wzdychał Szczęsny Potocki po tym, gdy upomniawszy się w Petersburgu o los swej ojczyzny, usłyszał od Katarzyny: „Twoja ojczyzna jest tutaj!". Nasza nienormalność polegająca na permanentnej niezgodzie z niewolą była najpiękniejszym, co mogło nas spotkać. Nie mając państwa, swoją wielkość realizowaliśmy w sztuce, przedsiębiorczości, konspiracji. I nie daliśmy się zwariować! Byliśmy jak więźniowie domu wariatów, absolutnie normalni, choć pilnowani przez personel złożony z paranoików. ■

NASZA NIENORMALNOŚĆ POLEGAJĄCA NA PERMANENTNEJ NIEZGODZIE Z NIEWOLĄ BYŁA NAJPIĘKNIEJSZYM, CO MOGŁO NAS SPOTKAĆ.

eprasa.pl 081494c15f

Zwycięstwo Jozafata Kuncewicza

Ewa Polak-Pałkiewicz



Zwolenników zdobywał biskup Jozafat Kuncewicz pokorą i ubóstwem. W połockiej diecezji wprowadził obowiązek odprawiania codziennie Świętej Liturgii, wizytował parafie, usuwał z urzędów i majątków kościelnych duchownych alkoholików i wdowców, którzy ożenili się ponownie. W listopadową noc 1623 roku w Witebsku, gdy wracał z kościoła do domu, dopadł go tłum rozwścieczonych prawosławnych mieszczan. Otrzymał dwa ciosy siekierą i żelazną obręczą. Krzyczano, że jedynym biskupem jest tu prawosławny hierarcha. Pastwiono się nad powalonym, po czym dobito go strzałem z rusznicy. Jego ciało wleczono przez miasto i wrzucono do Dźwiny.

eprasa.pl 081494c15f



FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 081494c15f

Ksiądz Piotr Skarga – obok Stefana Batorego i kanclerza Jana Zamoyskiego – wielki mąż stanu XVI wieku, „święty polski polityczny", przewyższał swoich współczesnych wykształceniem, roztropnością, siłą woli. Także wyobraźnią, pracowitością, wytrwałością i świątobliwością. Po śmierci kardynała Hozjusza, podczas wypraw króla Batorego, Polska widziała w nim przywódcę katolickiej inteligencji. W zręczny i obrazowy sposób przypominał zasady katolickie w czasie, gdy walczyć musieliśmy z wrogami politycznymi, z ekspansją reformacji i z prawosławiem, które stawało się nieuchronnie narzędziem politycznym Moskwy.

Wiedział, że Polacy muszą wykazywać nadzwyczajne męstwo, bo los Rzeczypospolitej jest zagrożony. W podręczniku „katolickiego żołnierza" pisał: „Doma i w ciągnieniu (w pochodzie) winniście być jako owce, a w polu i w potrzebie (w bitwie) lwami nieustraszonymi. Bo gdy doma będziecie lwami okrutnymi, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami". Znakomicie rozumiał, gdzie leży źródło prawdziwego patriotyzmu, jak podkreśla Feliks Koneczny, i na czym polega jego siła: „Nie dlatego kochamy Ojczyznę naszą, Polskę, że nas żywi, ale dlatego, iż jest postanowienia Bożego".

Dla Skargi misja wschodnia była priorytetem

Gdy przybył do Wilna w 1578 roku, okazało się, że jego kazaniom przysłuchują się uważnie także prawosławni, których tu nie brakowało. Z wileńskich kazań Piotra Skargi narodziło się najważniejsze jego dzieło „O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem i o greckiem od tej jedności odstąpieniu", które było rodzajem dłuższego listu skierowanego do prawosławnych rodaków. Pisanego ze swadą, erudycją, z poważnymi argumentami teologicznymi i eklezjalnymi, błyskotliwym i głębokim.

Nie wiadomo, jak wielu od razu przekonał. Tak bowiem jak drażnił i niepokoił protestancką szlachtę, tak też obchodziła królewskiego kaznodzieję „dużym łukiem", a nierzadko próbowała na różne sposoby „neutralizować" butna, zamożna szlachta prawosławna. Wobec ostrza i giętkości zarazem jego pióra i języka czuła jednak się coraz mniej pewnie. Skarga wyjaśniał prawosławnym, że przystępując do jedności z Kościołem rzymskim, nie porzucają wiary. Unia pozwala zachować obrządek liturgiczny. Przypominał podległość i posłuszeństwo wschodnich patriarchów wobec papieża w dawnych wiekach. Nie mógł przemilczać poważnych błędów prawosławia rodzących patologie, przede wszystkim faktu, że władzę nad Kościołem prawosławnym sprawowali cesarze bizantyjscy. Wezwanie Ewangelii: „Oddajcie Bogu, co boskie, cesarzowi, co cesarskie", zasada, która stworzyła cywilizację łacińską, została w prawosławiu odrzucona. Przypominał też swoim oponentom, że zacieśnia się ich zależność od protestantów.

Dla Skargi misja wschodnia była priorytetem – i realizował tu z powodzeniem, krok po kroku, wszystkie swoje (a raczej Kościoła i Towarzystwa Jezusowego) cele. Poza jednym znamiennym wyjątkiem. Nie udało mu się doprowadzić do Kościoła katolickiego wpływowego polskiego magnata, kniazia Konstantego Wasyla Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, starosty włodzimierskiego. Największego protektora prawosławia w ówczesnej Rzeczypospolitej i nieprzejednanego przeciwnika unii brzeskiej.

Kniaź Konstanty rusza na wojnę

Ostrogscy w XVI wieku byli potężnym rodem magnackim. Szczycili się swoim pochodzeniem od Ruryka, skandynawskiego założyciela państwa ruskiego. Ostróg na Wołyniu był ich gniazdem rodowym i reprezentacyjną siedzibą. Książę Konstanty Wasyl Ostrogski (1526–1608) – był poczwórnym senatorem, dowódcą wojsk i obrońcą kresów przeciwko Tatarom, panem 35 miast i tysiąca wsi. Jego ojciec, Konstanty Ostrogski, pierwszy hetman wielki litewski, założyciel miast Dubna, Konstantynowa i Zwiahla, był słynnym pogromcą Moskwy (zwycięska bitwa pod Orszą 1514 rok), potrafił przechytrzyć Iwana III Srogiego, któremu wymknął się z niewoli, poskramiał Tatarów.

Akademia Ostrogska, trójjęzyczna (słowiańsko-grecko-łacińska) uczelnia, którą założył Konstanty Wasyl Ostrogski w swoich dobrach, była odpowiedzią na coraz wyższy poziom intelektualny duchowieństwa katolickiego i świeckich katolików; stanowiła przy tym zupełny ewenement wśród szkół prawosławnych. Zwłaszcza tych na Rusi moskiewskiej, gdzie popów przerażała myśl, że będą musieli uczyć się czytać – by zniszczyć powstającą w Moskwie drukarnię, postarali się o „wzburzenie ludu", przedstawiając ją jako „dzieło szatana". Hierarchia prawosławna nie decydowała się na walkę z analfabetyzmem popów w obawie, że nie będzie komu udzielać święceń.

W Akademii Ostrogskiej uczono gramatyki, retoryki, dialektyki, arytmetyki, geometrii, astronomii, muzyki, języków – jak w najlepszych szkołach Korony. Założona przy szkole drukarnia wydała pierwszą edycję Biblii w języ-

eprasa.pl 081494c15f

ku cerkiewnosłowiańskim. Siłą rzeczy uczelnia, założona w tym samym roku, w którym powołano do życia Akademię Wileńską – której pierwszym rektorem został Skarga – miała stanowić konkurencję dla tego nowego uniwersytetu. Jej słabością był fakt, że miała wiele naleciałości protestanckich. Pozyskiwani dla niej wykładowcy zdobywali bowiem wykształcenie głównie w szkołach niemieckich. Duchowieństwo prawosławne na Wołyniu, Podolu i na Ukrainie dziwnie łatwo przyjmowało nauki Kalwina, miało też skłonność do ulegania arianizmowi (sekcie odrzucającej dogmat o Trójcy Świętej, a w skrajnych przypadkach negującej bóstwo Chrystusa). Akademia Ostrogska, wbrew intencji kniazia Ostrogskiego, stała się rozsadnikiem protestantyzmu.

Sam kniaź był człowiekiem dalekim od sekciarstwa, o czym świadczy fakt, że jego żona, Zofia z Tarnowskich, była katoliczką, ale w kwestii obrony prawosławia był stanowczy, uparty i ambitny. Ten nieprzejednany wróg Moskwy i lojalny obywatel Rzeczypospolitej, przez lata, nie szczędząc majętności i wpływów, prowadził konsekwentną kampanię zwalczania idei królewskiego kaznodziei. Pozostał też niewzruszony wobec niezliczonych prób nawrócenia go, jakie podejmował Skarga.

Polemiczną odpowiedź na dzieło Skargi „O jedności Kościoła..." polecił napisać wołyńskiemu szlachcicowi, Motowiłłowi, swojemu klientowi. Praca wzbudziła wątpliwości wśród samych prawosławnych, gdyż jej autor zdradził się ze swym arianizmem. Drukarnia ostrogska wydała zatem książkę Wasyla Maluszyckiego „O jedynej prawdziwej prawosławnej wierze", spóźnioną odpowiedź środowiska „czysto" prawosławnego na dzieło Skargi (w języku ruskim). Jednak także ten autor okazał się intelektualnie (zwłaszcza teologicznie) zbyt słaby, by pracę tę można było uznać za godną ripostę wobec myśli polskiego jezuity. Nie tego oczekiwał kniaź Ostrogski. Zniecierpliwiony i rozżalony doprowadził do tego, że pierwsze wydanie dzieła Skargi „wykupiła [...] bogatsza Ruś i popaliła" (według słów samego Piotra Skargi).

Wielkie wrzenie

Przed zawarciem unii brzeskiej to królewski kaznodzieja był głównym przeciwnikiem prawosławnych hierarchów, potem wrogami stawali się przede wszystkim uniccy hierarchowie. Prawosławie traktowało ich jak zdrajców; czyniono wszystko, by pozbawić ich godności biskupiej i kontroli nad eparchiami (parafiami). Wśród narastających napięć i wzniecanych z rozmysłem emocji zapominano nieraz w Polsce, że unia brzeska, połączenie Kościoła z Cerkwią kijowską, została zawarta także w obronie przed agresywną polityką moskiewskiego prawosławia, niebezpieczną dla polskiego państwa. Z kolei ekumeniczny Patriarchat Konstantynopola stał się od 1453 roku wygodnym narzędziem polityki osmańskiej. Przemierzający nasze ziemie wzdłuż i wszerz tamtejsi patriarchowie budzili podejrzenia, że zajmują się szpiegostwem na rzecz Turcji i reprezentują jej polityczne interesy.

Tymczasem ks. Skarga rozgrzewał do czerwoności wrogów unii kolejnymi książkami, „Synodem brzeskim" i „Obroną synodu brzeskiego". Starcie katolików z prawosławnymi weszło w decydującą fazę. Kniaź Ostrogski nakazał pisać kolejną odpowiedź Marcinowi Broniewskiemu z Wielkopolski, innemu swojemu klientowi, który był z kolei bratem czeskim, a ukrywał się pod malowniczym greckim pseudonimem Christophor Philaletha. Jego dzieło „Apokrisis abo", choć prezentowało lepiej argumentację prawosławnych, wzbudziło natychmiast podejrzenia, że autor jest protestantem. Broniewski, jak ujawnia prof. Tomasz Kempa, nazywał Skargę protekcjonalnie „dziejopisem", podważał kwestię prymatu papieskiego, sugerował, że kolejni papieże ostatnich czasów to ludzie szukający osobistych korzyści, a nie dobra chrześcijaństwa, odrzucał zarzut mówiący o uległości patriarchów wobec pogańskich Turków. Krytykował wreszcie sposób doprowadzenia do unii, dowodząc, że jest on sprzeczny nie tylko z cerkiewnym prawem kanonicznym, lecz także z przywilejami danymi szlachcie ruskiej podczas sejmu w Lublinie w 1569 roku, gdy Wołyń, Kijowszczyzna i Bracławszczyzna zostały przyłączone do Korony Polskiej. Prawosławni traktowali unię jako narzuconą im przez kilku władyków i władze Rzeczypospolitej.

Gdy zaczęto ujawniać arianizm Broniewskiego, jako ostatni polemista Piotra Skargi wstąpił w szranki Melecjusz Smotrycki – człowiek dużo większego formatu intelektualnego (studiował w Akademii Wileńskiej, w Lipsku i Wittenberdze); jego ojciec, Herasym, był pisarzem na dworze kniazia Ostrogskiego – pisząc pod pseudonimem Theophil Ortholog pracę „Threnos, to jest lament jedynej S. Powszechnej Apostolskiey Wschodniey Cerkwie z obiaśnieniem dogmatów wiary", którą wydano w Wilnie na dwa lata przed śmiercią Skargi. Autor dedykował ją Michałowi Wiśniowieckie-

eprasa.pl 081494c15f

mu (ojcu Jaremiego). Choć miała kunsztowną literacką formę, jej antykatolicka treść wywołała gwałtowną reakcję króla Zygmunta III, który z innowiercami nie zamierzał się patyczkować (co budziło sprzeciw samego Skargi i duchowieństwa katolickiego) i wydał nakaz aresztowania autora (nie zdołano jednak rozszyfrować jego nazwiska) oraz zniszczenia nakładu.

„Smotrycki z jednej strony ubolewał nad losem Cerkwi prawosławnej, opuszczonej przez szereg magnackich i szlacheckich rodów, ale jednocześnie atakował Kościół katolicki z papieżem jako jego głową... Stając w obronie prawosławia, stwierdzał, że obecne cierpienia wiernych Cerkwi, związane z faktem jej »niewoli tureckiej«, mogą być wyrazem duchowej próby, na jaką wystawia ich Bóg, oraz dziejowego posłannictwa, jakie ma stać się udziałem Kościoła prawosławnego... Na »Threnos« musiał odpowiedzieć sam Skarga, tym bardziej że Smotrycki wymieniał go w swoim dziele jako postać zdecydowanie negatywną, przyczyniającą się do upadku prawosławia na Rusi. Jeszcze w 1610 roku jezuita wydał w Krakowie dzieło »Na treny i lament Teofila Ortologa do Rusi greckiego nabożeństwa przestroga«... Skarga oskarżał autora »Threnos...« o kłamstwa (nazywając go »krzywologiem»), związane głównie z opisem natury Kościoła katolickiego oraz roli papieża, a wszystkich przeciwników unii o to, że swoimi działaniami osłabiają Rzeczpospolitą... Jednocześnie jednak pisał o swojej »wielkiej skłonności do greckiego świętego nabożeństwa i czci Bożej pełnych w nim obrządków cerkiewnych«" (prof. Tomasz Kempa).

Niespodziewany zwrot

Dzieje i twórczość samego Melecjusza Smotryckiego dostarczyły szczególnego rodzaju komentarza do tych wydarzeń. Z zaciekłego polemisty Skargi stawał się coraz bardziej neutralnym, a wreszcie życzliwym recenzentem jego dzieł, stopniowo także zwolennikiem unii brzeskiej. Ku zdumieniu swoich protektorów – a w międzyczasie przywdział też habit mnicha – zaczął rozliczać Cerkiew prawosławną ze stanu wewnętrznego rozkładu. Zainspirowany bezkompromisowymi ocenami niedawnego ideowego przeciwnika, przyznał w końcu, że „Kościół wschodni wskutek schizmy i odejścia od Kościoła rzymskiego stracił skuteczność w głoszeniu Słowa Bożego, przez co nie odnosi już żadnych duszpasterskich sukcesów w nawracaniu pogan" (T. Kempa). „Nieszczęśliwa Cerkiew nasza wschodnia przestała rodzić syny, żołnierze Pana Chrystusowi, a poczęła rodzić syny, żołnierze bezecnemu Mahometowi" – pisał z wyrzutem. Zaznaczał, że Kościół prawosławny w osobach jego najwyższych zwierzchników, patriarchów starożytnych, zaczął ulegać w końcu XVI wieku i na początku XVII wieku reformacji, co miało skutkować zupełną utratą Bożej łaski. Obraz upadku Kościoła greckiego był sugestywny, ratunkiem mogła być tylko unia z Rzymem. Autor nie szczędził wyrzutów współwyznawcom, którzy garściami korzystają z nauk katolickich duchownych, starannie to ukrywając. Trafiał z tą argumentacją jednak tylko do ludzi lepiej wykształconych. Zdecydowana większość prawosławnych odrzucała idee Piotra Skargi; gwałtownym przełomem stać się miała śmierć unickiego arcybiskupa Jozafata Kuncewicza, jedenaście lat po śmierci królewskiego kaznodziei.

Unicki biskup chodzi w starym habicie

Jozafat Kuncewicz pojawia się na tej scenie jako niepozorny młodzieniec, który skromnie marzy, by zostać kupcem. Jan Kunczyc h. Róża (1580–1623), syn rodziny prawosławnej z Włodzimierza Wołyńskiego zaczął kształcić się w tym kierunku w Wilnie. Akademia Wileńska rozwinęła jednak nadspodziewanie jego zdolności i obudziła ogromny zapał do nauki. Zwrócił na siebie uwagę jezuitów i za ich radą – gdy dostrzegli także jego pragnienie oddania się służbie Bogu – w 1604 roku Jan wstąpił do klasztoru Trójcy Świętej w Wilnie, przyjmując imię zakonne Jozafat. Wkrótce został archimandrytą w tym bazyliańskim monasterze i zaczął mocno angażować się w rozpowszechnianie unii. Tak jak Skarga miał wzięcie wśród elit społecznych, Kuncewicz popularność zdobył przede wszystkim wśród ludu. Pisał także traktaty w obronie idei pojednania kościołów, skłaniając możniejszych prawosławnych do przejścia do Kościoła unickiego. Pomagał zorganizować klasztory bazyliańskie w Bytyniu i Żyrowicach. Ten ostatni klasztor stał się jednym z największych ośrodków pielgrzymkowych we wschodniej Rzeczypospolitej. Przebywając w Kijowie zyskał szacunek mnichów „największej twierdzy prawosławia", Ławry Peczerskiej. Stamtąd przeniósł się na biskupstwo (w 1617 roku) do Połocka. Znał gruntownie, z pierwszej ręki, mentalność, realia życia i obawy prawosławnych. Zdawał sobie lepiej niż ktokolwiek sprawę, w jak dramatycznym położeniu się znajdują, bez szans na pogłębienie wiary, bez możliwości duchowego i intelektualnego rozwoju. Był specjalistą od ich niezliczonych bied i mocno im współczuł. „Nikt nie znał tak dobrze całej Rusi, ko-

eprasa.pl 081494c15f

ronnej i litewskiej, jak on – od Kijowa po Połock" – podkreśla Feliks Koneczny.

Biskup Kuncewicz staje się wrogiem

Tymczasem patriarcha Konstantynopola zacieśniał sojusz z sułtanem przeciw katolicyzmowi. „Obrona prawosławia" stawała się coraz bardziej hasłem nienawiści przeciw państwu polskiemu, jako państwu katolickiemu, podkreślają historycy, m.in. Feliks Koneczny. Z Konstantynopola ruszyły ku Rzeczypospolitej (także na Bałkany) gromady agentów, by podburzać duchowieństwo i lud przeciw unii brzeskiej. „Agitację prowadzono za pomocą bractw prawosławnych. Główne z nich znajdowało się wciąż przy wileńskiej Cerkwi św. Trójcy i stąd rozchodziły się polecenia do wszystkich innych bractw w ważniejszych miastach Ukrainy i Białorusi, także do Połocka, gdzie Jozafat Kuncewicz był już arcybiskupem unickim" (Feliks Koneczny). Bractwo wileńskie słynęło z rozpowszechniania antyunijnych publikacji. Do króla zaczęły płynąć wartkim strumieniem listowne skargi na biskupa Jozafata.

Tymczasem on zabrał się energicznie za reformy w połockiej diecezji. Wprowadził obowiązek odprawiania codziennie Świętej Liturgii, wizytował parafie, usuwał z urzędów i majątków kościelnych duchownych alkoholików i wdowców, którzy ożenili się ponownie. Parafii unickich było niewiele, większość Rusinów bała się unii. Zwolenników zdobywał biskup Kuncewicz pokorą i ubóstwem. W pałacu arcybiskupim mieszkał w najmniejszym z pomieszczeń, resztę oddał na potrzeby bezdomnych. Chodził w znoszonym habicie bazyliańskim, głowę przykrywał kapturem, co niektórych mocno gorszyło; metropolita unicki, jego przyjaciel i opiekun, Józef Welamin Rutski, dał mu pokaźną sumę na zakup kosztownej jedwabnej odzieży, w jakiej chadzali ruscy władykowie. Jozafat przekazał ją na ozdobienie soboru Mądrości Bożej w Połocku.

Król Zygmunt traci cierpliwość

Pierwsze rozruchy mieszczan i ludu przeciw unii udało się wskrzesić w Mohylowie. Zygmunt III ogromnie tym wzburzony postanowił urzędowo wprowadzić tu religię greckokatolicką, co tylko wzmogło wrzenie i obudziło kolejną falę krytyki katolików. Niecierpliwość króla przyniosła efekt odwrotny do zamierzonego. Wśród szlachetnych motywacji religijnych i zaskoczenia skalą rozruchów mnożyły się polityczne niezręczności i błędy. Fatalnie przysłużył się sprawie wojewoda, który siłą zabierał prawosławnym cerkwie i oddawał je unickim kapłanom. Dyzunici o wszystko oskarżali Jozafata, który zdając sobie sprawę z narastającego napięcia i powagi sytuacji, objeżdżał całą diecezję z płomiennymi kazaniami. Ale też z dnia na dzień tracił posłuch. Widząc dziwne podniecenie i wrogość ludu, tracił wiarę w powodzenie swojej misji, nie tracąc wiary w Boga i Jego Opatrzność. W ostatnim kazaniu przepowiedział swoje męczeństwo.

W październiku 1623 roku przybył do Witebska, by podjąć próbę odzyskania kontroli nad sytuacją religijną w mieście. Po nocy z 11 na 12 listopada, którą spędził na modlitwie, leżąc krzyżem, po odprawionej w kościele Jutrzni, gdy wracał do domu, dopadł go tłum rozwścieczonych prawosławnych mieszczan. Wcześniej brutalnie pobito jego służbę. Gdy wstawiał się za swoimi sługami w najłagodniejszych słowach („Synaczkowie, dlaczego bijecie służbę moją? Jeśli co macie do mnie, oto jestem w ręku waszym!"), otrzymał dwa ciosy siekierą i żelazną obręczą. Krzyczano, że jedynym biskupem jest tu prawosławny hierarcha. Pastwiono się nad powalonym, po czym dobito go strzałem z rusznicy. Ciało arcybiskupa wleczono przez miasto i wrzucono do Dźwiny. Po sześciu dniach uniccy duchowni zdołali je odnaleźć daleko za Witebskiem i wyłowić z rzeki; przeniesiono je w procesji do katedry unickiej w Połocku. Jego kult rozszerzał się bardzo szybko; beatyfikowano go już w 1642 roku. Niezwykle dramatyczne były losy jego relikwii na przestrzeni następnych stuleci. Podczas kanonizacji św. Jozafata w 1867 roku w Rzymie papież Pius IX podarował Polakom świecę, którą mieli zapalić „w wolnej Warszawie".

Melecjusz odnajduje sam siebie

Okrutna śmierć biskupa Kuncewicza okazała się wstrząsem dla Melecjusza Smotryckiego, głównego polemisty Skargi ze strony prawosławia – i największej nadziei hierarchii prawosławnej. To on właśnie był wówczas prawosławnym arcybiskupem Połocka. W 1628 roku (lub 1629) złożył publiczne wyznanie wiary katolickiej. Jego konwersja uznawana jest za cud za wstawiennictwem św. Jozafata Kuncewicza. Dla prawosławnych ten uczony mąż i ich biskup, niegdyś podpora intelektualna kniazia Ostrogskiego i jego oddany autor, był zwykłym zdrajcą. Ułożono przeciw niemu całą serię prawosławnych pamfletów.

Jeszcze za życia Jozafata Kuncewicza został wyświęcony w Kijowie przez Teofana III, patriarchę jerozolimskiego, powracającego z Moskwy

eprasa.pl 081494c15f

do Konstantynopola, jako arcybiskup połocki dla Kościoła prawosławnego. Było to w 1620 roku; w Polsce uznawany był wtedy jedynie Kościół unicki, chirotonia biskupia Smotryckiego odbywała się w tajemnicy, w prywatnym domu w kijowskiej dzielnicy Padół, pod eskortą oddziału Kozaków zaporoskich.

To właśnie ten człowiek o wybitnej inteligencji, mocno zżyty z prawosławnym bractwem w Wilnie, był głównym inspiratorem „oddolnego i spontanicznego" sprzeciwu wobec Jozafata Kuncewicza. Była to złożona, misternie przygotowana operacja socjotechniczna, w której zasadniczą rolę odgrywały insynuacje i zniesławienie. Także rzucanie złego światła na Kuncewicza przez „swoich"; jednym z jego krytyków był Lew Sapieha, kanclerz wielki litewski, nawrócony z prawosławia, potem z kalwinizmu katolik i zwolennik unii brzeskiej. Zgodnie z tym perfidnym zamysłem, jego osoba miała wzbudzać wśród katolików kontrowersje, namiętne spory i emocje, choć był wcieleniem ascezy i pokory. Już w 1621 roku powracający z sejmu Kuncewicz przekonał się, że zbuntowały się przeciwko niemu wszystkie miasta w archidiecezji. Protesty tłumione były przy pomocy polskiego wojska, co było poważnym błędem. W rezultacie w Witebsku rada miejska usunęła unitów z miasta i przekazała wszystkie cerkwie prawosławnym. Do podobnych wydarzeń doszło w Orszy i Mohylewie.

Samotna podróż biskupa Melecjusza

Po śmierci Jozafata Kuncewicza arcybiskup Melecjusz został oskarżony o zainspirowanie tej zbrodni. Był wtedy w podróży do Konstantynopola i Jerozolimy, zamierzał spotkać się z obu starożytnymi patriarchami prawosławia. Rozmowy w Konstantynopolu przyniosły mu głębokie rozczarowanie i wzmogły niepokój o kondycję prawosławia. W swoich wspomnieniach napisał potem, że korupcja i upadek obyczajów, jakie tam dostrzegł, przeraziły go. Zaczął sobie też zdawać sprawę, że prawosławni hierarchowie głoszą nauczanie Kalwina. Pięć lat potem przyjął unię, jednak nie ujawnił tego od razu. Jego celem stało się przekonanie prawosławnych hierarchów w Polsce, by zgodzili się na nową unię, prowadzącą do utworzenia w kraju autonomicznego patriarchatu, uznającego zwierzchnictwo papieża. W 1628 roku odrzucono te propozycje, jak się uważa, zaważyły naciski przeciwnych unii delegatów kozackich, na których wywierała z kolei silny wpływ szlachta prawosławna. Melecjusz Smotrycki zdecydował się wtedy publicznie wyznać wiarę katolicką. W 1629 roku raz jeszcze zaapelował do prawosławnych, by przyłączyli się do Kościoła katolickiego; było to na synodzie we Lwowie. Była to już ostatnia z jego strony próba zawalczenia o los swoich braci. Spotkał się z oporem i krytyką. Stawał się dla większości prawosławnych hierarchów postacią niebezpieczną, tak jak niegdyś Skarga i Kuncewicz. Jego polemiczne pisma były niszczone. Lekceważono jego przestrogę, iż Rusini w Rzeczypospolitej mogą tylko dzięki przyjęciu unii zapewnić sobie pomyślną przyszłość i zachować odrębność – wobec tak licznych i spektakularnych konwersji prawosławnej szlachty na katolicyzm – póki jeszcze nie stali się społecznością całkowicie chłopską.

Utożsamił się więc całkowicie z wizją Piotra Skargi, który zawsze podkreślał, że zwierzchnictwa papieża dla Rusinów jest czymś naturalnym, a gdy mieszka się w jednym państwie z katolikami i państwem tym rządzi katolicki monarcha, nie ma nic lepiej rokującego jak jedność religii i hierarchii.

Jak bardzo zdziwiony byłby kniaź Konstanty Ostrogski, gdyby wiedział, że Melecjusz Smotrycki, jego ostatnia podpora i nadzieja, zmarł w monasterze w Dermaniu (fundacji Ostrogskich), niegdyś bastionie prawosławia i prężnym centrum wydawniczym kniazia – który stał się klasztorem greckokatolickim. Wszyscy potomkowie kniazia przyjęli katolicyzm. Syn Janusz Ostrogski, pierwszy katolik w rodzinie (skonfliktowany na tym tle z ojcem), jeden z ośmiorga dzieci kniazia, kasztelan krakowski, wojewoda wołyński, pierwszy ordynat ostrogski, okazał się wielkim protektorem jezuitów. Sprowadził ich na Wołyń i hojnie wyposażał katolickie świątynie. ■

_____

Artykuł jest dokończeniem tekstu pt. „Skąd wzięła się skarga Tarasa Szewczenki" opublikowanego w poprzednim numerze.

Źródła:
Feliks Koneczny, „Święci w dziejach narodu polskiego", Miejsce Piastowe, 1937; Tomasz Kempa, „Czy męczeńska śmierć arcybiskupa Jozafata Kuncewicza przyczyniła się do rozwoju unii brzeskiej na obszarze archidiecezji połockiej?", [w:] „Kościoły wschodnie w Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku. Zbiór studiów", Lublin: Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, 2005; Stanisław Załęcki TJ, „Czy jezuici zgubili Polskę?", Lwów 1872; Tomasz Kempa, „Piotr Skarga a kwestia dialogu katolicko-prawosławnego w historii i czasach współczesnych", Litteraria Copernicana, 1(15) 2015, Toruń.

eprasa.pl 081494c15f

Małgorzata Matuszak

Czym są... narodziny

Narodziny człowieka są czasem wyjątkowym. Czasem kultywowanym. Kiedy ktoś pojawia się na świecie – ten staje się już inny. Oto nowy człowiek, który w tym świecie zajmie jakieś miejsce i w miejscu tym zacznie się rozgrywać jego historia. Świat zmienia się wraz z każdym narodzonym człowiekiem, który wypełnia go swoim życiem, swoimi czynami i zamierzeniami, jeśli bowiem wszystkie elementy świata ze sobą koegzystują, rzec można, że pojawienie się nowego człowieka zmienia w jakiejś nieskończonej perspektywie całość świata.

W chwili narodzin życie dziecka nie jest jeszcze określone, niewybrane są przez niego drogi, którymi będzie kroczył. Rodzący się człowiek jest zaledwie potencjałem tego, kim stanie się w przyszłości, ucieleśnia w sobie nieskończone możliwości, które z czasem ulegną konkretyzacji. I jest cudem, darem samej kreacji życia. Jest wybrany, gdyż został powołany na ten świat. Każde narodziny jawią się więc jak święto, święto początków istnienia człowieka. W tym momencie człowiek zaczyna też uczestniczyć w życiu ludzkości. Na początku zdany jest całkowicie na innych ludzi, podlega ich opiece, kiedyś jednak sam nauczy się chronić i kochać innych.

Narodziny są nadzieją – na dobre życie tego, kto się właśnie narodził. Szczerze ufamy, że dziecko, które się urodziło, uniknie nieszczęść i że jego życie będzie szczęśliwe. Tego mu życzymy i to właśnie symbolizują również narodziny – nadzieję, że los narodzonego człowieka będzie dobry.

W grudniu świętujemy Boże Narodzenie. Ono również jest nadzieją, że przychodzący na ziemię Bóg zmieni oblicze świata, przyniesie światu Dobrą Nowinę Zbawienia. Narodziny Boga-Człowieka zapoczątkowują nowy czas świata, są przełomem w historii ludzkości: oto narodził się Zbawiciel, który na początku życia, będąc jeszcze dzieckiem, nie przypomina Boga, jednak jego życie i śmierć niosą nam nadzieję, że i my się kiedyś odrodzimy w Nim i zostaniemy zbawieni.

Jezus urodził się w ukryciu przed światem, w ubogiej stajence. Narodził się Król, ale stało się to w iście niekrólewskich warunkach, w ubóstwie i prostocie. Jego narodziny, choć przepowiadane, nie były obwieszczane wszem i wobec, mimo tego jednak stały się, obok śmierci i zmartwychwstania, jednym z najważniejszych faktów dla wszystkich chrześcijan. Wraz z nimi wypełniła się bowiem Boża obietnica przyjścia na świat Mesjasza. Narodziny Chrystusa uczcili swoją radością jego rodzice. Potem przybyli pasterze i wreszcie Trzej Królowie, aby złożyć Mu pokłon, jako Bogu Narodzonemu. I każdego roku, na pamiątkę tych cudownych narodzin, obchodzimy radosną rocznicę Jego przyjścia na świat.

Podobnie w naszym życiu uroczyście celebrujemy rocznice własnego przyjścia na świat, przywołujemy chwilę, gdy świat nas powitał jako ludzi. Od tego momentu istniejemy samodzielnie w świecie, urzeczywistniając cud istnienia, który został zapoczątkowany wraz z chwilą naszego poczęcia. Każdy fakt narodzin, oznaczający urzeczywistnienie się mocy stworzenia, jest jak święto, podczas którego celebrujemy wartość istnienia.

> Oto prawda, którą głosi Bóg w każdym z nas – każdy, kto przychodzi na świat, jest dobrą nowiną.

Zawsze w dniu narodzin mamy nadzieję na to dobro, które powstaje wraz z narodzinami człowieka. Bóg przemawia do ludzi w każdym nowo narodzonym człowieku, głosząc w chwili jego narodzin swoją chwałę stwórczą. Oto prawda, którą głosi Bóg w każdym z nas – każdy, kto przychodzi na świat, jest dobrą nowiną. Nowina ta głosi, że nasze zaistnienie na tym świecie, skoro się stało, było dobre, podobnie jak miało to miejsce w akcie stwarzania świata, kiedy Bóg, powołując do istnienia wszystkie byty, uznał, że stworzony przez niego świat jest dobry. Każde narodziny są właśnie takim zaistnieniem jakiegoś świata. Świata, którym jest każdy człowiek, niebędący kimś całkowicie osobnym, lecz związanym z całą ludzkością i z Bogiem, źródłem istnienia. Ważne, byśmy swym życiem głosili tę dobrą nowinę Boga. Betlejem jest w każdym z nas, musimy tylko otworzyć się na narodziny Boga w naszych sercach. ■

eprasa.pl 081494c15f

Walentyn Kondratiuk
Związek Dziennikarzy Ukrainy

CHWAŁA PIOTRA I POKUSZENIEM PUTINA, CZYLI NIEZNANY LIST WASALNY PIOTRA I DO CHANA KRYMSKIEGO DAWLET-GIREJA II



„Po klęsce nad Prutem, kiedy Piotr I z czterdziestopięciotysięcznej armii stracił ponad trzydzieści tysięcy wojska, nastrój cara był nie do pozazdroszczenia – wszystko go denerwowało, nachodziła go depresja. Car trząsł się z gorączki, a nawet powróciła epilepsja. Ale to nie strata wojska tak wpłynęła na Piotra. Nie, to upokorzenie, którego doznał od krymskiego Chana Dawlet-Gireja II... ”.



FOT. WIKIPEDIA.

To kolejna wstydliwa tajemnica cara, który w swoim awanturniczym dekrecie z 22 października 1721 roku nakazał nazwać Moskwę Państwem Rosyjskim, przywłaszczył sobie bizantyjski herb i na długie wieki wymazał prawdziwą historię Rusi. Nie dziwmy się więc, że tradycyjnie równie oszukańczą misję „zbierania ziem ruskich” kontynuuje dziś Władimir Putin, który porównał się do Piotra I, mówiąc o ciągłości rosyjskiej polityki podczas spotkania 9 czerwca 2022 roku z młodymi przedsiębiorcami i naukowcami na wystawie „Piotr I Narodziny Imperium”, poświęconej 350. rocznicy urodzin pierwszego cara Rosji.

Mówimy tu o pewnej niechlubnej tajemnicy, nieodmiennie związanej z carskim złodziejstwem i wynikłym zeń podpaleniem pałacu w Bachczysaraju na Krymie. Historię tę skrupulatnie, krok po kroku, dokument po dokumencie, przywrócił i opublikował w swej ostatniej w życiu książce „Żurawie” ukraiński historyk i pisarz Władimir Bilinsky (1936–2022), autor sensacyjnego bestsellera przełomu tysiącleci „Wiejski Moskal, czyli odkrycie Wielkiej Rosji” (2002, 2006).

List wasalny i „wieczysty pokój”

Dziś szczególnie pouczająca jest historyczna rekonstrukcja zakulisowych wydarzeń, które przyćmiły sukces bitwy pod Połtawą w 1709 roku. Mówimy o haniebnym zakończeniu wyprawy nad Prut w 1711 roku i całej wojnie rosyjsko-tureckiej z lat 1710–1713: „Tyle lat Moskwa walczyła z jedną lub drugą hordą o wyższość. Wydawało się, że osiągnęła już swój upragniony cel – ale oto stało się – znowu bałagan, znów gorycz panowania, gdy ponownie musiałem założyć jarzmo wasala krymskiego Chana Dawlet-Gireja II opasane wokół mojej szyi!”.

Tego dnia zbawienie nie nadeszło, bowiem chan Dawlet-Girej II powiedział wezyrowi Mahmetowi Paszy: „Wypełnię twoje polecenie, bo wielki, jedyny i bystry sułtan udzielił ci władzy. Ale nie masz prawa mi mówić, jak mam rozmawiać z moim wasalem. Wszyscy jego moskiewscy przodkowie, od czasów wielkiego chana Beta, dawali Czyngisydom listy wasalne i składali hołd. Jeśli nie da mi listu wasalnego, posiekam ich do końca, kiedy przekroczą rzekę Prut”.

Chan groźnie potrząsnął szablą i wyszedł z namiotu wielkiego wezyra, gdzie obradowało czterech wodzów: wezyr Baltaji Mahmet Pasza, dowódca janczarów Jusuf Pasza, chan Davlet Girej II i Piotr I, car Moskwy. Wielki wezyr, jakby usprawiedliwiając chana, doradził carowi serdecznym głosem: „Wielka Porta akceptuje twoją kapitulację, którą zaoferowałeś, zgadzając się na nasze warunki. Ale chan jest panem swojej ziemi. I ma prawo niszczyć każdego, kto wejdzie na jego ziemię bez pozwolenia”.

eprasa.pl 0x1494c15f

„Ale zgodziliśmy się podpisać wieczny pokój z Większą Portą. Chan nie ma prawa naruszać umów – sprzeciwił się Piotr I.

Wielki Wezyr uśmiechnął się szczerze.

– W takim razie tak. Ale nie masz prawa pojawiać się na jego ziemi.

I patrząc na posępnego Piotra, radził:

– Radzę ci jednak, czcigodny carze, podpisać ten list wasalny!

Kilka godzin później w namiocie, gdzie znajdowała się siedziba ambasady kanclerza porucznika Szafirowa, car Piotr podpisał list wasalny dla Dawlet-Gireja II i poprzysiągł na Biblię, że będzie go przestrzegać.

Historia potwierdza, że car Piotr I już nigdy więcej nie wkroczył na Krym. Chociaż po pokoju w Nisztadzie miał pod sobą ogromną armię, którą mógł rzucić na chana krymskiego".

Zwycięstwo Imperium Osmańskiego w 1713 roku było spektakularne i niezaprzeczalne. Traktat nad Prutem przyłączył Azow i Zaporoże do Imperium Osmańskiego, nakazał zburzenie rosyjskich twierdz Taganrog, Bogoroditskaya, Kodak i Kamenny Zaton...

To prawda, że Piotr Wielki nie wkroczył na Krym przez całe swoje późniejsze panowanie, ale jego następczyni Anna Iwanowna naruszyła „wieczysty pokój". Kolejna wojna rosyjsko-turecka (1735–1739) spowodowana była, według oficjalnej wersji historyków rosyjskich, nasilonymi sprzecznościami o sukcesję polską, a także trwającymi wypadami Tatarów Krymskich na ziemie południowej Rosji. Rezultatem nowej wojny był remis. W efekcie pokoju belgradzkiego Rosja odzyskała Azow i Zaporoże, a Serbia i Oltenia (Mała Wołoszczyzna) pozostały w Imperium Osmańskim.

Porażkę przedstawić jako zwycięstwo

W 1713 roku było zupełnie inaczej. Ciężkie myśli zawładnęły głową Piotra. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak niepewny był jego los. Ilu ludzi zniszczył, powiesił, posiekał, zgwałcił, udusił (jakże to przypomina obecną agresję Rosji na Ukrainie!), aby armię swą stracić nad Prutem! Tę armię, z którą tak jeszcze niedawno obchodził rocznicę zwycięstwa pod Połtawą. To tam, dwie mile od Jassów, w pobliżu starej cerkwi stała piechota, a mołdawski metropolita Gideon odprawił nabożeństwo dziękczynne na cześć zwycięstwa pod Połtawą. Majestatyczne, boskie „kazanie" odczytał Feofan Prokopowicz, a sześćdziesiąt dział oddało salut i wywyższyło cara Moskwy na ziemi mołdawskiej. W pobliżu stali bohaterowie Połtawy: feldmarszałek Szeremietiew, słynni generałowie K.-E. Renne, Wasilij Dołgorukij, Jakow Bruce, Anikita Repnin, Piotr Lassi, Michaił Golicyn, De Allart, Janus von Eberstedt, książę Wołkoński, Von der Osten, Adam Weide, baron Ensberg, autor Połtawskiej Wiktorii! I zaraz wszyscy oni poszli haniebną ścieżką klęski.

Oto jego pokonana armia! Pokonana przez przeciętność i głupotę! A od chwalebnej połtawskiej bitwy minęły zaledwie dwa lata. Ile się zmieniło: nie ma zwycięskiej armii, nie ma dostępu do Morza Czarnego, car musi na zawsze opuścić Ukrainę. Piotr I ponownie został wasalem chana krymskiego.

Za Władimirem Bilinskim: „Piotr wkrótce podjął sprytną i podstępną grę. Pomieszaj, usuń prawdę o kampanii nad Prutem, przedstaw porażkę jako zwycięstwo. Chan Krymski powinien na zawsze zapomnieć i przemilczeć list wasalny, a wydarzenia kampanii powinny być przedstawione, jakby nic się nie wydarzyło – ot, walczyli, rozpraszali się, wreszcie podpisali »wieczysty pokój«.

Ekaterina była mądrą żoną – to z nią, feldmarszałkiem Szeremietiewem, kanclerzem Gołowkinem, podjęto taką decyzję jeszcze tam, nad Prutem. Przecież Europa nie może wiedzieć o carskiej hańbie, a Piotr I odczuwał wstyd boleśnie wpadając w histerię, a często i epilepsję. Ale uchwyciwszy się za nić kłamstwa trzymał się jej mocno. Zrozumiał, że nie ma innej drogi. Zabójcze będzie mówienie prawdy".

Wykonawca tajnego testamentu Piotra I

Oczywiście prędzej czy później Europa mogłaby się dowiedzieć o hańbie cara... 22 lata później caryca „Anna Iwanowna, czekając na feldmarszałka Munnicha, w milczeniu stała przy stole i spoglądała na ogień płonący w kominku. Zima roku 1735 okazała się wyjątkowo mroźna, z silnymi północnymi wiatrami niosącymi śnieżne burany, prawie całkowicie pozbawiona słońca...

Coraz częściej wpadała na pomysł odroczenia wykonania tajnego testamentu Piotra I. W końcu nawet jego żona, która przez kilka lat była na tronie, nie zdecydowała się tego zrobić. Ale jeśli Katarzyna nie zauważała niebezpieczeństwa tej hańby, to Anna, wychowana w Europie, postrzegała testament Piotra I zupełnie inaczej.

Po ponownym przeczytaniu tajnych archiwów książąt moskiewskich i archiwów jej przodków Romanowów prawie fizycznie poczuła brud, który spadł na jej kobiece ramiona. Jeśli do europejskich władców dotrą kiedyś te dokumenty, to marzenia o wielkim europejskim imperium będą musiały zostać odłożone na wiele dziesięcioleci. Ta myśl trzymała ją w napięciu i cały czas pchała do działania. A dzisiejsze okoliczności wydawały się przecież bardzo sprzyjające. Nie, niczego nie można odkładać!".

Misja feldmarszałka Munnicha (1683–1767) świadczyła o wyjątkowym zaufaniu carycy, to on miał zostać

eprasa.pl 081494c15f

wykonawcą tajnego testamentu Piotra I. „Dokładnie dzisiaj feldmarszałek Burchard Christopher Munnich jechał na Ukrainę, aby poprowadzić wojska moskiewskie i ukraińskich Kozaków na wojnę krymską".

Chociaż był już starszym i doświadczonym żołnierzem, nadal nie mógł zrozumieć, w jakim celu zaczynać tę wojnę z Chanatem krymskim. Bo z Turkami i Tatarami krymskimi jeszcze za Piotra I, po klęsce nad Prutem, zawarto przecież wieczysty pokój". Obiecano Wielkiej Portie, że będzie spokojnie wpływała na Morze Czarne, a Rosja nie będzie przeszkadzać jej wasalom ani podżegać Kozaków do najazdów na ich ziemie.

Rozkaz cesarzowej

Zaledwie kilka lat minęło od ustabilizowania się władzy w Moskwie po śmierci Piotra I. Gdy Anna Iwanowna poczuła siłę silniejsza, od razu można było odczuć znamiona nadchodzącej wojny. Już podczas pierwszej rozmowy z feldmarszałkiem poleciła rozpocząć inwazję na Krym, przy czym cesarzowa podkreślała, że stolica Bakczysaraju powinna być wzięta i spalona do gołej ziemi. Ale, jak czuł wtedy Munnich, czegoś mu jeszcze nie ujawniła, coś ukrywała. Spotkanie feldmarszałka z carycą zostało szczegółowo i barwnie opisane w książce „Żurawie".

„Cesarzowa tego dnia była ubrana w wojskowy mundur oficera gwardii, tylko zamiast kamizelki miała na ramionach jasnoczerwoną pelerynę. Trzymała pełne ręce na swojej potężnej piersi.

– Wojna z Krymem, feldmarszałku, chociaż dziś jej nie potrzebujemy, bo i skarbiec jest już pusty, to jednak musimy walczyć. Austria też jest w stanie wojny z Portą. Ty wiesz, że gdy przeszłość stanie ci na drodze, możesz upaść, a nawet złamać sobie kark. Niedawno przejrzałam tajne archiwa moich poprzedników. Piotr postawił na nogi państwo moskiewskie, doprowadził je do statusu imperium. Nie mamy prawa stracić tej wielkości. Umierając zostawił testament: przy pierwszej okazji spalić archiwa chanów krymskich. Muszę wykonać jego wolę.

Mnich chciał o coś zapytać, ale milczał, zdając sobie sprawę, że Anna powie tylko to, czego sama sobie zażyczy. Ale milczała, więc feldmarszałek powiedział:

– Tak, rozumiem, mam zadanie spalenia Bachczysaraju, pałacu chana, wszystkich jego archiwów i dokumentów.

– To nie wystarczy, marszałku. Osobiście zajmiesz pałac chana. Z pomocą Uszakowa przekopiesz się przez wszystkie dokumenty. Znajdziesz korespondencję między chanami a książętami moskiewskimi, wszystko, co chanowie nakazywali moim przodkom. Sporządzisz spis wszystkiego, co znajdziesz, a oryginały spalisz. Znajdziesz tam list wasalny Piotra, który przekazał chanowi krymskiemu Dawlet-Girejowi II podczas podpisywania kapitulacji w 1713 roku. On też musi być spalony.

– Czyż istnieje taki list? – minich zapytał cicho...

– To bardzo irytujące, ale jest tam taka wasalna przysięga".

Jak rozwijały się kolejne wydarzenia, nietrudno się domyślić. Minich dokładnie wykonał rozkaz cesarzowej, puszczając z dymem i Pałac w Bachczysaraju, i jego jakże cenne archiwa.

Książka Wołodymyra Bilińskiego została wydana w języku ukraińskim w ostatnich dniach 2021 roku przez wydawnictwo zarządu lwowskiej obwodowej organizacji wszechukraińskiej organizacji praw człowieka „Memoriał" im. Wasilija Stusia. Publikacja poświęcona jest 30. rocznicy Niepodległości Ukrainy, realizowana przy pomocy Ministerstwa Kultury i Polityki Informacyjnej Ukrainy, Ukraińskiego Instytutu Książki, została bezpłatnie rozprowadzona w nakładzie 1000 egzemplarzy do bibliotek we wszystkie regiony kraju.

Na początku tego roku książkia W. BilinskIego „Żurawie. Rethinking the Modern History of Ukraine" została wydana przez czasopismo „Pamyatki Ukraina" (Zabytki Ukrainy), które przygotowuje do publikacji 10-tomowe dzieła zebrane popularnego pisarza. Obecnie ważne jest tłumaczenie „Żurawi" na język polski, angielski, rosyjski i inne. Będzie to dobra odpowiedź na chore, imperialne rojenia Władimira Putina i propagandę tworzącą z Rosjan telewizyjne zombie, bez dostępu do niezależnych źródeł informacji. Skierowane też będzie do łatwowiernych Europejczyków, karmionych rosyjską propagandą i kłamstwem przez dziesięciolecia.

***

7 czerwca 2022 roku w ramach jubileuszowego XV festiwalu „Wielkie Rosyjskie Słowo" w Wielkiej Jałcie Krymskiej omówiono temat: „Fundamenty cywilizacyjne, wartości i granice rosyjskiego świata". Doktor nauk Andriej Iszin zaproponował i nalegał na wprowadzenie nowego stanowiska w państwie rosyjskim – „Głowy Imperium". To cesarz będzie w przyszłości rządził w „rosyjskim świecie" bez granic. Pochlebstwa te podążają śladem niedawno zmarłego Władimira Żyrinowskiego, który w obecności Putina krzyczał: „Boże, chroń cara!",

A sam Putin, zaślepiony przykładem Piotra I, uznał dziś „zbieranie ziem ruskich" za swoje historyczne zadanie i stara się wcisnąć w mundur cesarski, ignorując historyczny los wszystkich imperiów, w szczególności Związku Radzieckiego, którego upadek uznaje za największą tragedię XX wieku. ■

Tłum. Jan Stalony-Dobrzański

eprasa.pl 081494c15f

Małgorzata Matuszak



Święta pod znakiem samotności

W Polsce samotnie żyje około 280 tys. osób powyżej 65. roku życia. Tylko do części z nich przyjedzie w święta rodzina i niewielu z nich odwiedzi w te dni swoich bliskich.

eprasa.pl 081494c15f

Najważniejsze święta, państwowe i religijne, są dniami wolnymi od pracy. Nie bez powodu. Czas świąteczny nie jest jednak tym samym, co czas wolny – wolny nie tylko od obowiązków związanych z pracą, lecz także od tych codziennych, od tego, co „przyziemne". Czas wolny można spędzać indywidualnie, świąteczny zaś ma z gruntu charakter wspólnotowy. Ludzie gromadzą się, by świętować razem. Kiedy zanika poczucie wspólnoty, zanika także potrzeba i umiejętność wspólnego świętowania. I odwrotnie. Samotność powoduje, że poczucie świątecznego czasu zanika, nie pozwalając cieszyć się radością świątecznych dni, a nawet przysparzając bólu towarzyszącemu odczuciu nieuczestniczenia w czymś, co wzniosłe i ważne.

Czas szczególny

Święta Bożego Narodzenia są zwykle świętami radości, które obchodzimy w gronie najbliższych nam ludzi. To prawdziwa celebracja naszej wspólnoty z bliskimi i wzajemnej miłości. Wtedy to dzielimy się opłatkiem, spożywamy wspólnie wieczerzę wigilijną, obdarowujemy się prezentami oraz życzymy sobie z całego serca tego, co najlepsze, a puste nakrycie przy stole symbolizuje naszą otwartość i gościnność wobec samotnych ludzi, o których w ten sposób pamiętamy, pozostawiając im miejsce przy naszym stole. Te pełne uroku zimowe Święta Narodzenia Pańskiego są przecież również po to, abyśmy mogli przeżywać swoją bliskość i dzielić się ze sobą tym, co mamy najlepszego, przede wszystkim swoją miłością. Wtedy to nawet rozdzielone przez okoliczności rodziny odwiedzają się i spotykają razem przy wspólnym wigilijnym stole.

Boże Narodzenie to święta przecież na wskroś rodzinne, podczas których czujemy na ogół, jak wielką wartością jest dla nas rodzina oraz bycie razem i wspólne spędzanie tego świątecznego czasu. Dlatego też szczególnie gorzkie i smutne mogą być święta, które musimy spędzić w samotności, bez rodziny – czy to dlatego że jej już nie mamy, czy to dlatego, że nie możemy z nią być. Wiedzą o tym z pewnością wszystkie samotne osoby.

Wyjątkowo smutne są święta ludzi starszych, których nikt nie odwiedza i którzy często muszą spędzić te dni opuszczeni i osamotnieni w czterech ścianach swojego mieszkania. Starsi ludzie, którzy stracili bliskich, są szczególnie w święta narażeni na poczucie samotności i towarzyszące mu cierpienie oraz depresję. Trudno wszak siadać do wigilijnego stołu, kiedy przepełnia nas smutek, że zabraknie przy nim tych, którzy byli nam najbliżsi, których najbardziej kochaliśmy. Bo kochamy ich nadal i to z nimi chcielibyśmy spędzać ten najważniejszy wieczór w roku. W Polsce samotnie żyje około 280 tys. osób powyżej 65. roku życia. Tylko do części z nich przyjedzie w święta rodzina i niewielu z nich odwiedzi w te dni swoich bliskich. Z raportu „Samotność z koronawirusem w tle", przedstawionego przez Stowarzyszenie mali bracia Ubogich, wynika, że trzy na dziesięć osób po 80. roku życia nie ma bliskich relacji w swoim otoczeniu, a 30 proc. badanych seniorów przyznaje, że doświadcza samotności i izolacji. Jak mówi Joanna Mielczarek, dyrektor tego stowarzyszenia: „Zjawisko samotności wśród osób starszych niepokojąco przybiera na sile. Seniorzy żyją wspomnieniami, bo teraźniejszość bywa zbyt bolesna – nie mają z kim podzielić się opłatkiem i celebrować pięknych chwil. Puste nakrycie nie jest już symbolem radosnego oczekiwania na niezapowiedzianych gości".

Często się zdarza też, że w okolicy świąt zaczynają ludziom starszym bardziej doskwierać choroby, na które cierpią, spotęgowane zapewne nasilającym się stresem na myśl o konieczności spędzania świąt w samotności. Wtedy to, kiedy mamy świadomość, że większość ludzi jest razem, czujemy najsilniej swoją izolację i brak tych, którzy nas opuścili, odeszli, umarli. Wspominamy ich, ale ich z nami już nie ma. To częsta świadomość, która towarzyszy starszym osobom, najbardziej przecież podatnym i bezbronnym wobec poczucia samotności. Dlatego nasilająca się depresja i stres związany z samotnym przeżywaniem świąt są często przyczyną tego, że starsi ludzie częściej w okolicach Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku pojawiają się w szpitalach i odwiedzają lekarzy w poradniach, uskarżając się na nasilenie się swoich chorób.

Szpital jako przechowalnia

Nie jest to jednak jedyna przyczyna tego zjawiska. Nie wszyscy przecież starsi ludzie są sami. Często opiekująca się nimi na co dzień rodzina traktuje święta jako dobrą okazję do urlopu i wyjazdu w jakieś urokliwe miejsc bądź po prostu jako okazję do odpoczynku Wtedy starsi ludzie stają się dla nich ciężarem, który pragną z siebie zrzucić, wysyłają więc ich – bez medycznych wskazań – do szpitala, aby mieć parę dni wolnego od opieki nad nimi. Z analiz Fundacji Zaczyn, która działa na rzecz włączania osób starszych w aktywności obywatelskie, wynika, że problem ten nie dotyczy pojedynczych osób – każdego roku przed Bożym Narodzeniem liczba starszych ludzi w szpitalach wzrasta średnio o 20 proc. Rodzina pozbywa się seniorów w różny sposób – niektórzy po prostu nie odbierają przed świętami swoich bliskich mimo braku medycznych wskazań do dalszej hospitalizacji, inni przywożą seniorów na SOR, twierdząc, że ich stan zdrowia się radykalnie pogorszył. Często to kłamstwa, lekarze jednak nie mają w takich sytuacjach wyboru – procedury nakazują im przyjęcie takiej osoby na oddział. Co gorsza, zdarzają się przypadki, w których pogorszenie stanu zdrowia zostaje wywo-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 081494c15f

łane celowo. Osoba starsza najczęściej choruje przewlekle na różnego rodzaju choroby, wystarczy więc lekkie zaniedbanie – na przykład niepodanie leku czy zbyt mała podaż płynów – by stan zdrowia osoby przewlekle chorej się pogorszył.

Jest to niezmiernie przykre dla starszych ludzi, którzy w takich okolicznościach czują się potraktowani przedmiotowo, wykluczeni i nieważni. A przecież to właśnie w święta potrzebują obecności rodziny z pewnością bardziej niż w dni powszednie, jakże więc mają się czuć, kiedy nagle są „odstawiani" do placówek medycznych, jakby ich obecność była balastem i problemem, który trzeba rozwiązać. „Mimo że święta Bożego Narodzenia są czasem spotkań z bliskimi, rodziny pacjentów w podeszłym wieku potrafią podać tysiące powodów, żeby nie zabrać pacjenta do domu. [...] Opiekunowie przywożą go na SOR, zostawiają i po prostu wychodzą. Nie podają osoby do kontaktu, nie odwiedzają bliskiego, przez co sami musimy szukać z pomocą pracownika socjalnego miejsca, w którym taki człowiek mógłby otrzymać opiekę. Raz nawet mieliśmy przypadek, że na wózku inwalidzkim rodzina wjechała z »chorym« na SOR i zostawiła go na środku, prawie że z karteczką, znikając w kilka chwil" – mówi Marzena Olszewska-Fryc, dyrektor ds. pielęgniarstwa i organizacji opieki Szpitala im. Mikołaja Kopernika w Gdańsku.

To zachowanie rodzin jest niewątpliwie wyjątkowo okrutne i dehumanizuje osoby starsze, tak przecież potrzebujące być ważnymi dla rodziny w świątecznym czasie. Nie wydaje się, aby zwykłe zmęczenie mogło być wytłumaczeniem takiego zachowania ze strony rodzin, wynika ono raczej z potrzeby zwiększenia swojego komfortu i pokazuje, jak mało ważne jest dla nich samopoczucie osoby starszej, która jest przecież często zdana całkowicie na rodzinną opiekę. Takie zachowania ze strony rodzin są niewątpliwie nieetyczne i wymagają zmiany oraz większej świadomości potrzeb starszych ludzi.

Nie tylko seniorzy

Niewątpliwie również wiele osób młodszych spędza samotnie święta. Ma na to wpływ odchodzenie od tradycji, laicyzacja oraz wzrost indywidualizmu i atomizacja społeczeństwa. Dlatego też święta mogą być czasem rewizji własnego stanowiska światopoglądowego. W okolicach świąt Bożego Narodzenia i w trakcie nich mamy bowiem okazję, aby skonfrontować się z naszą rzeczywistością i rozważyć kwestię jakości naszych relacji z ludźmi, gdyż przecież nie zawsze samotne święta są skutkiem przypadku. Czasem są one wynikiem naszych wieloletnich decyzji, poświęcania relacji społecznych i rodzinnych dla innych wartości, takich jak praca, dobrobyt, kariera.

Odcinanie się systematyczne od ludzi i zamykanie we własnym świecie często skutkuje tym, że dopiero w czasie świąt uzyskujemy świadomość faktu, iż większość ludzi celebruje bycie razem, a my nie mamy nikogo bliskiego. Dlatego często święta mogą być też okazją do refleksji nad własnymi wyborami, dzięki której możemy zmienić kierunek swojego życia. Smutek wynikający z samotnych świąt może skłonić do większej otwartości na innych ludzi, ich potrzeby i oczekiwania, może pomóc zrewidować własny system wartości i jego hierarchię oraz bardziej zadbać o jakość swoich kontaktów z innymi osobami.

Często samotność, która jest uczuciem w okolicznościach świąt wyjątkowo przytłaczającym i smutnym, może nam pomóc dokonać przemiany wewnętrznej i nakierować nasze działania na drugiego człowieka, aby mogły to być w naszym życiu ostatnie samotne święta. Samotność może więc być doświadczeniem pouczającym, które może nam pokazać prawdziwą wartość bycia razem oraz znaczenia drugiego człowieka w naszym życiu.

W przypadku gdy samotność ludzi w święta wynika z niezaplanowanych okoliczności, szczególnie ważne są różnego rodzaju akcje społeczne, które mają uczynić możliwie znośnymi samotność w święta osób opuszczonych. I tak wspólne Wigilie organizowane przez miasta, paczki świąteczne dla osób ubogich, różnego rodzaju akcje charytatywne adresowane do osób samotnych – mogą w dużym stopniu zminimalizować smutek wynikający z samotnie spędzanych świąt.

Równie ważne są akcje pomocowe dla dzieci z domów dziecka, paczki świąteczne, zabawy i wspólne spotkania, które choć do pewnego stopnia mogą sprawić, że dzieci nie będą czuły w dni świąteczne tak dojmująco braku własnego domu i rodziców, którzy by je kochali i obdarowywali prezentami, jak to się dzieje w większości polskich domów. Wszystkie te akcje charytatywne nie mogą całkowicie wyeliminować zjawiska samotności w święta, ale mogą uczynić ją choć trochę bardziej znośną.

Pamiętajmy o samotnych

Pamiętajmy więc w święta (i w ogóle na co dzień) o osobach samotnych i o tym, że taki samotny gość mógłby siedzieć również pośród naszej rodziny, w naszym domu, co symbolizuje piękna polska tradycja, o której już na początku wspomniałam – pustego nakrycia dla gościa przy naszym stole. To dodatkowe nakrycie oczekuje na tych, którzy w dni świąteczne są pozbawieni miłości i obecności osób najbliższych. Dlatego powinniśmy pamiętać również w święta o osobach samotnych i doceniać wartość obecności naszej rodziny z nami w święta oraz miłość, którą nam ofiarowują. ■

eprasa.pl 081494c15f

NOWE MEDIA BEZ TAJEMNIC

czyli Akademia Nowych Mediów w globalnym świecie

Dynamicznie zmieniająca się rzeczywistość pierwszych dekad XXI wieku zmusza młodych Polaków do stawiania czoła wyzwaniom, z jakimi ich rodzice i dziadkowie nie musieli się mierzyć. Postępująca cyfryzacja i globalizacja życia stanowi bowiem nie tylko szansę, ale i wyzwanie, czasem zagrożenie. Na szczęście pokolenie wchodzące w dorosłość nie jest pozostawione same sobie. Aktywnie szuka odpowiedzi na wyzwania przyszłości.

Dziś nikt nie ma wątpliwości, że życie społeczne, gospodarcze, a nawet osobiste z każdym rokiem w coraz większym stopniu przenosi się do sieci. Zmiany dotyczą także mediów, które dziś młodzieży bardziej kojarzą się z ekranem smartfonu niż telewizora, o zadrukowanym papierze nie wspominając. Jak jednak w pełni zrozumieć procesy wpływające na funkcjonowanie nowej przestrzeni medialnej? Sprawa nie jest prosta, a bez głosu ekspertów łatwo się pogubić.

Odpowiadając na potrzeby współczesności, Centrum im. Władysława Grabskiego we współpracy z partnerami – Bankiem Gospodarstwa Krajowego oraz Fundacją Empiria i Wiedza – zaprosiło młodych do uczestnictwa w projekcie „Akademia Nowych Mediów" (ANM). W trakcie kolejnych 6 zjazdów, pod okiem wysokiej klasy specjalistów, ekspertów i praktyków uczestnicy poznają skomplikowane niuanse cyfrowej rzeczywistości nowych mediów.



Niezwykłą zaletą wydarzenia jest fakt, że młodzież może zwiększać swoje kompetencje bez obaw o materialny aspekt rozwoju. Udział w projekcie Centrum Grabskiego jest całkowicie bezpłatny. Jest tak dzięki strategicznemu partnerstwu Banku Gospodarstwa Krajowego oraz wsparciu drugiego z partnerów – Fundacji Empiria i Wiedza.

Dzięki wysiłkom organizatorów oraz wsparciu partnerów projektu od 20 do 30 słuchaczy bierze udział w 6 zjazdach. Odbywają się one w Warszawie i Krakowie.

Wśród poruszanych tematów nie brakuje zarówno odniesień do współczesnych środków masowego przekazu, jak i do realiów gospodarki rynkowej, co w sposób oczywisty łączy się z misją jednego z partnerów projektu – Banku Gospodarstwa Krajowego. Uczestnicy Akademii Nowych Mediów poznają także relacje między światem biznesu a mediami oraz na pozór nieoczywistą problematykę stosunków nowoczesnych środków masowego przekazu do geopolityki, w tym projektem Trójmorza.

Inne realne wyzwania XXI wieku, na które odpowiada Akademia Nowych Mediów, to kwestia wizerunku oraz sposoby jego kreowania zarówno w mediach tradycyjnych, jak i nowoczesnych. Co ważne, metody prowadzenia zajęć zostały przez prelegentów dostosowane do tematu, a ich forma jest nowoczesna, multimedialna i angażuje słuchaczy. Tym samym zjazdom Akademii zawsze towarzyszą gorące dyskusje zarówno w trakcie warsztatów, jak i wykładów. Prowadzący chętnie odpowiadają bowiem na pytania młodych ludzi, którzy najlepiej wiedzą, jakie obszary nowych mediów stanowią dla ich pokolenia szansę, a jakie zagrożenie.

Akademia Nowych Mediów byłaby niepełna, gdyby organizatorzy zignorowali kwestie bezpieczeństwa w sieci. Tak się nie stało, a zagadnienie wyrastające powoli na jeden z kluczowych problemów obywateli oraz państw został potraktowany w ramach inicjatywy z najwyższym priorytetem.

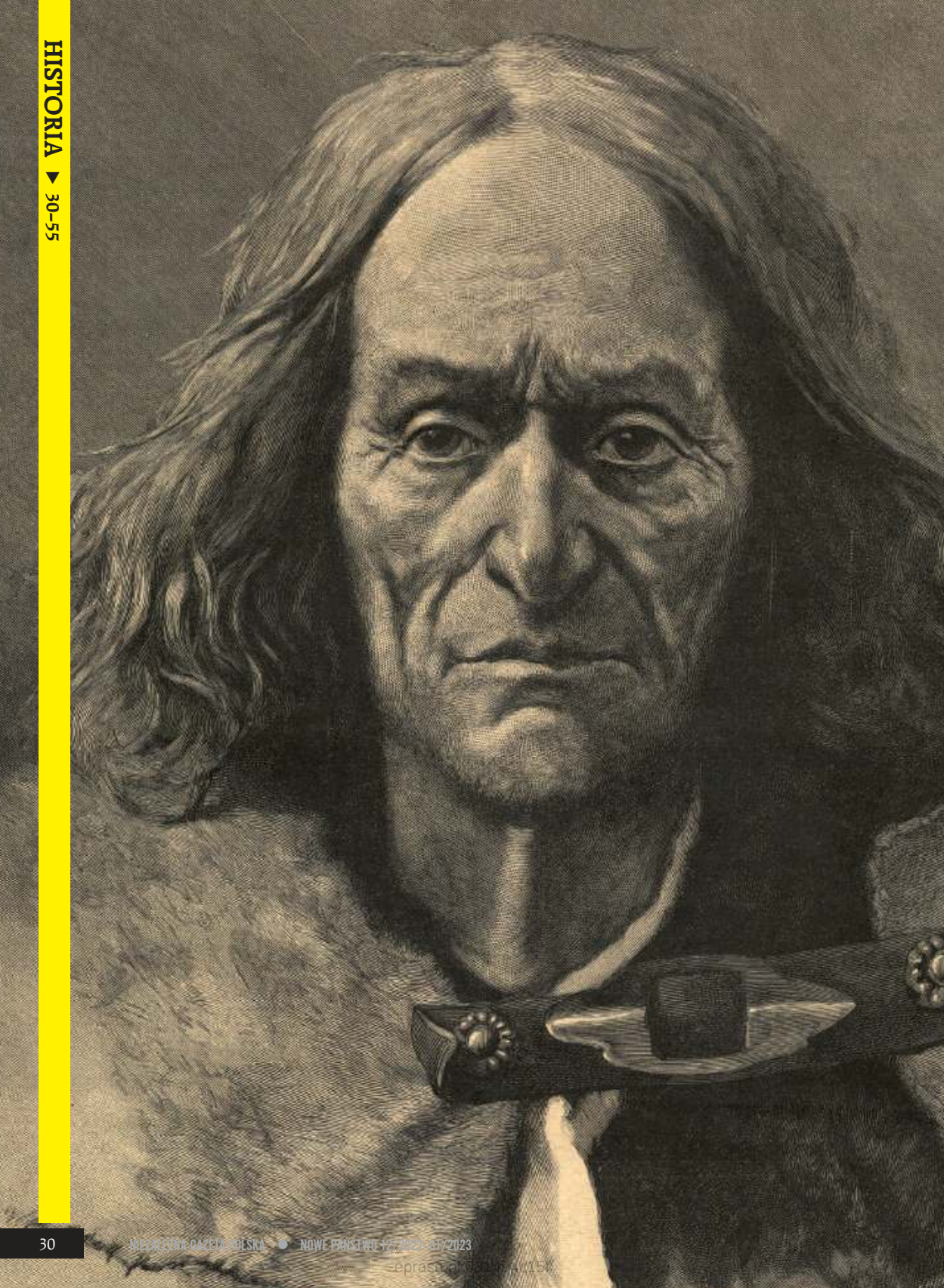
Co jednak ciekawe, a we współczesnym świecie często niedostrzegane lub nawet celowo ignorowane, podczas Akademii Nowych Mediów dostrzeżono także kwestię etyki w mediach oraz gospodarce. To niezwykle cenny element projektu. Coraz szybciej rozwijający się świat próbuje bowiem udawać, że wszystko, co pozwala zarobić, jest automatycznie dobre. Tymczasem rzeczywistość to materia o wiele bardziej złożona, a nie każdy zysk materialny stanowi korzyść w pełni tego słowa znaczeniu.

Bogactwo podejmowanej problematyki, kompetentni prelegenci oraz duży poziom interakcji to coś, co ma stanowić fundamenty świadomego zaangażowania w świat nowych mediów osób młodych. Pozostaje wierzyć, że z zajęć i zebranych doświadczeń wyciągną oni właściwe wnioski dla siebie i nas wszystkich. ■

/MWC/

PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 081494c15f



Piotr Lisiewicz



Tatrzański Homer

Za młodu był zbójnikiem i kłusownikiem, polował też na niedźwiedzie, których zabił, jak mówił Stanisławowi Witkiewiczowi, trzynaście. Za wszczęcie powstania chochołowskiego austriackie władze zamknęły go do więzienia. „Ale, na subienicy wisieć to ta honorna rzec! Bo tam dziadów nie wiesajom, ino chłopa! Tam dziada nie wołajom, ino co najtęzsy chłop to musi wisieć!" – tak mówił o owej legendzie zbójowania. Jan Krzeptowski-Sabała jest legendą polskich Tatr, jako bajarz, poeta, muzyk i przyjaciel artystów młodopolskich. Jego postać stała się znana w wielu krajach świata dzięki laureatowi Nagrody Nobla Henrykowi Sienkiewiczowi. I wiemy o nim wiele więcej prawdy niż o żyjącym ponad stulecie wcześniej, opiewanym przez niego Janosiku.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 081494c15f

Idziy se Sabała popod zieleniny!
Gwizdo, podśpiywujy pojod niedźwiedziny!
Sabała zaśpiywoł, Krywań mu łodpedzioł,
bo ło jego sprawak nik wiyncyj nie wiedzioł!
Czeba by siy spytać starego Sabały:
Ftorymi wiyrskami koziny chodzały?!
Umar nom Sabała, dej mu Boze niebo!
Kto se bedziy growoł na złóbcockach jego?
Sabała, Sabała, sabałowe dzieci,
Kie Sabała umre syćko sié uozleci!

– tak opisuje postać legendy Tatr góralska przyśpiewka.

Od zbójników przypalanych świecą po uniżonych służących

Stanisław Witkiewicz, współpracownik Józefa Piłsudskiego i ojciec Witkacego, którego to z kolei Jan Krzeptowski był ojcem chrzestnym, o owym rodowodzie zbójnickim świata Sabały pisze w książce „Na przełęczy" tak: „Ta gwałtowność góralskiej natury, ten niepokonany temperament, który gospodarował w sposób tak burzliwy, wywoływał też równie surowy, bezwzględny i straszny w swej zemście wymiar sprawiedliwości. Sąd dominialny, który tu wówczas funkcjonował lub zwykły wójtowski, używał przy indagacyi środków obliczonych na »psie natury, jastrzębowe, tygrysie«. Wieszano na łańcuchu za nogę pod belką, zakładano łańcuch na kostkę i kliny bukowe podeń zabijano [...] palono ręce świecami – słowem, nie było tu śpasów – nie mówiąc już o tych kijach, które sypano bez liku i miłosierdzia".

Daleki to opis do sielankowej wizji Tatr, w której czasem tylko dla ubranych w nowoczesne kombinezony turystów jakiś folklorystyczny zespół zatańczy „zbójnickiego". Ale już w czasach Piłsudskiego i bywającego w Zakopanem Lenina, była to przeszłość. Przeszłość powracająca jako echo we wspomnieniu opowieści Sabały. Pisze o tym Stanisław Witkiewicz: „Patrząc powierzchownie na dzisiejszych górali, stawiających domki po Krupówkach i Starej Polanie, usługujących panom, grzecznych, usłużnych, a jak teraz często nawet uniżonych, na tych zabiegliwych o dutki furmanów, stróżów, służących, baderów, restauratorów, przewodników, z trudnością wierzy się w tę tak niedawną przeszłość, która w opowiadaniach Sabały odżywa z całą swoją surowością, z całą wielkością swojej dziczy niepohamowanej, z tym urokiem, jaki ma bądź co bądź ludzka natura idąca bez oporu i wahania za głosem swoich sił żywiołowych".

Sienkiewicz o starym sępie Sabale

Z Sabałą zetknął się też Henryk Sienkiewicz, który w „Sabałowej bajce" tak wprowadza postać Jana Krzeptowskiego: „Siedliśmy wokół ogniska wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, podobną zarazem do głowy starego sępa i do twarzy Miltona. Chwilę popatrzył szklanymi oczami w ogień – tak zaczął opowiadać..."

Legenda Sabały to także muzyka, o której tak pisał prof. Tytus Chałubiński, lekarz, filozof i taternik: „Jest ona harmonijnym dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak jak wprawny już taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach zawadzających jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów światła, od śmiałych konturów dzikiej turni, jakieś przejście wydające się mniej wprawnemu już »karkołomnem« jak głód i pragnienie, upał lub zimny nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów – tak samo wadliwość konstrukcyi owej (Sabały) gęśli, jej ton ostry i zbyt przenikliwy nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale bujnej pieśni dawnych zbójników lub ochoczej, skocznej lubo nieco wrzaskliwej melodyi nawpół dzikich juhasów".

Muzyką Sabały interesowali się kompozytorzy i muzykolodzy, w tym ci o najbardziej głośnych nazwiskach, m.in.: Ignacy Jan Paderewski, Karol Szymanowski, Stanisław Mierczyński, Adolf Chybiński czy Jan Kleczyński.

Legenda zbójnika i „bitwy homeryczne"

Sabała urodził się 26 stycznia 1809 roku w Kościelisku jako Jan Gąsienica. Wiadomo, że od młodych lat interesował się bronią i strzelectwem. Zasłynął jako myśliwy, polujący zarówno legalnie, jak i jako kłusownik. Podczas swojego pierwszego polowania miał ubić wielkiego niedźwiedzia. Polował też na kozice, sarny, świstaki i głuszce.

Wiadomo, że w młodości zajmował się też zbójnictwem. Witkiewicz pisze o tym tak: „Zbójnika trzeba odróżnić od rozbójnika i złodzieja. Ci ostatni są zwykli rabusie, kradnący pieniądze, owce, mordujący ludzi dla rozboju, podli i wyzuci ze wszelkich dodatnich przymiotów. Tymczasem zbójnik jest bohaterem, wcielającym w sobie najpiękniejsze przymioty rycerstwa; jest zbuntowanym przeciw sile junakiem, dla którego mord jest wstrętnym, którego się on dopuszcza tylko z ostatniej konieczności – w obronie życia. Jest on wspaniałomyślny, silny, mężny, hulaka i wierny towarzysz. Pieniądze zdoby-

eprasa.pl 081494c15f

te na bogaczach rozdaje ubogim, i nigdy biedaków nie napastuje".

Te legendę zbójecką lansuje bez oporów za Janem Krzeptowskim: „Pasterstwo, myślistwo, zbójnictwo są głównym tematem opowiadań Sabały, jak były wybitnemi przejawami życia górali. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł były tymi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy, z któremi należało się przede wszystkim rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzydz ze grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierząt dzikich, to się dobierało, »pożyczało« z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych baców".

I tak z owych opisów zbójeckiego procederu wyłania się, jak chce Witkiewicz, tatrzański Homer: „Otóż z tych bitew homerycznych z Liptakami, z tych polowań na niedźwiedzie, z walki z tą całą naturą górską, z dziwnych obrazów pasterskiego życia, z legend i bajek streszczających całą umysłowość górali – z tych wszystkich motywów silnych i dzielnych składają się opowieści Sabały".

Insurekcja pod Tatrami

Co wiadomo o patriotycznej awanturze, w której w 1846 roku wziął udział 37-letni Sabała, zwanej powstaniem chochołowskim? Powstanie to nazywane „insurekcją pod Tatrami", zaś w gwarze góralskiej „poruseństwem", było wystąpieniem zbrojnym górali z Chochołowa, Cichego, Dzianisza i Witowa przeciwko okupantowi. Rozpoczęło się 21 lutego 1846 roku. Skierowane było przeciwko uciskowi dworskiemu i władzom austriackim. Zorganizowane zostało przez Jana Kantego Andrusikiewicza – nauczyciela i organistę, Juliana Goslara – poetę oraz trzech wojowniczych księży wikariuszy – Józefa Kmietowicza z Chochołowa, Michała Głowackiego i Michała Janiczaka z Szaflar.

Powstanie to zostało przygotowane przez Centralizację, czyli władzę najwyższą Towarzystwa Demokratycznego z Ludwikiem Mierosławskim na czele, i miało zacząć się wraz z ogólnonarodowym powstaniem. Zostało ono jednak odwołane, o czym górali z Chochołowa nie zdołano poinformować. Ci więc ochoczo przystąpili do akcji. Najpierw powstańcy w liczbie około 30 osób z księdzem Kmietowiczem i organistą Andrusikiewiczem na czele zdobyli posterunek straży finansowej w Chochołowie. Tam udało im się pozyskać broń. Następnie opanowali komorę celną w Suchej Górze. Zniszczyli też symbolicznie słupy graniczne i porąbali cesarskiego orła. Potem zdobyli podstępem posterunek straży skarbowej w Witowie. Jeszcze tej samej nocy zarekwirowali broń z nadleśnictw w Witowie i w Kościelisku.

Jako że okazało się, że reszta Polski nie stanęła do walki, 23 lutego powstanie zostało stłumione przy pomocy oddziałów straży z Nowego Targu. Ponad stu powstańców, w tym Sabałę, uwięziono. Siedzieli m.in. w Spielbergu, Kufsteinie i Wiśniczu. Ale gdy w 1848 roku wybuchła Wiosna Ludów, zostali wypuszczeni na wolność. Więzienie przyczyniło się do narastania legendy Sabały.

Sabała kontra niedźwiedzie

Witkiewicz o jego walkach z niedźwiedziami napisze tak: „Takie było dawniej życie w Tatrach! Dziś to się skończyło, może na zawsze; niema ani takich ludzi, ani tyle niedźwiedzi. Tylko z opowieści Sabały dolatują »hruby bek« ranionego niedźwiedzia, echa strzałów i przekleństw, które niegdyś wstrząsały ciszą skalnych pustaci; obrazy tych walk śmiertelnych ludzi z ludźmi i ze zwierzętami.

»Kany myśmy się zwidzieli, to albo ja twój, albo ty mój!«

Takie polowanie to nie jest sport, nie jest to tylko zamiłowanie do strzału – jest to czysta walka o byt, między dwoma różnemi istotami, które siebie traktują na równi.

W walce tej idzie o skórę, o wątrobę drgającą, wyprutą nożem z pod żeber, o mózg z czaszki, rozłupanej łapą uzbrojoną pazurami.

On, to znaczy Niedźwiedź. Ten mieszkaniec hal dzikich, ciemnych lasów i głębokich kolib, gazdujący w obszarach górskich po swojemu".

Walka człowieka z niedźwiedziem ma w owych latach charakter bezwzględny. Pisze Witkiewicz o niedźwiedziu: „W tem właśnie nieszczęście, że nikt w Tatrach jego zdrowia nie szanuje. Ledwo niedźwiedź odrośnie od ziemi, już nań czyhają wszyscy, ile ich jest w górach, tacy co umieją flintę podnieść do zębów, tak z naszej, jako i z Liptowskiej strony, tak z Orawy, jako i ze Spiża. I jeszcze potem wymyślają, że jest »plugac« »nieobitelny dźwierz«, że nie gnieździ i nie siedzi na miejscu, że się »z nim trudno zwidzieć!«.

I podsumowuje sukcesy osiągane przez przyjaciela: „Sam Sabała, w walkach staczanych głowa w głowę, zabił trzynaście! A ileż z potarganemi kudłami, z lotkami w ciele, albo kulką, która trafiła za nisko, nie »na kumorę ku sercu, ino na bandzioch popod tę przegrodę, co jest przegroda w kazdem zwierzęciu«

eprasa.pl 081494c15f

– ile takich poszło »z bekiem« konało w długich męczarniach głodu i bólu, i zginęło bez wieści!".

Chałubiński i Sabała

Wraz z latami Sabała ustatkował się. Poślubił Teresę Wilczakównę i osiadł w Kościelisku, gdzie rozpoczął życie w miarę spokojnego gospodarza. Doczekał się z nią aż dziesięciorga dzieci. Był jednym z pierwszych przewodników tatrzańskich. W Zakopanem stoi do dziś pomnik Tytusa Chałubińskiego i Sabały. Na jego wysokim cokole umieszczono popiersie Chałubińskiego, natomiast poniżej znajduje się siedząca figura górala Jana Krzeptowskiego. Pomnik on odsłonięty 15 sierpnia 1903 roku. Mijają go turyści, którzy idą w kierunku Kasprowego Wierchu, Morskiego Oka.

„Pan profesor to nie ziemski człek, nogami on tu, ale serce jego w niebie" – mawiał Sabała. Faktycznie, rola prof. Chałubińskiego w ucywilizowaniu zbójeckiej natury górali była niemała. Witkiewicz pisze: „Przewodnik tatrzański, ten tak oryginalny i sympatyczny w stosunkach z podróżnym człowiek, o ile z jednej strony miał w sobie wrodzone, rasowe przymioty, o tyle też z drugiej strony jest typem urobionym przez prof. Chałubińskiego. On, z dzikich koziarzy, kłusowników, »zbójnikowatych chłopów« porobił tych opiekunów starannych, te niańki prawdziwe, którym z zupełnym spokojem i ufnością powierza się każdy turysta".

Według Witkiewicza, ów powołany przez Chałubińskiego typ tatrzańskiego przewodnika pozytywnie odróżniał się od swoich odpowiedników w bardziej znanych górach Europy: „Przewodnik polski różni się tem od przewodników alpejskich lub szwabów z węgierskiej strony, że jest on istotnym towarzyszem, rzeczywistym opiekunem; że jego ambicyą, honorem jest, żeby podróżnemu było jak najlepiej. Rzadki, prawie niebywały i okrywający hańbą wypadek, jest »ostawienie« pana, opuszczenie, niechęć".

Upijanie starca wódką

Porzuciwszy myślistwo, Sabała zajął się gawędziarstwem i muzykowaniem. Przez zamożniejszych gazdów uważany była za „dziwaka" lub „dziada". Jak podkreśla Violetta Wróblewska w „Słowniku polskiej bajki ludowej", to Chałubiński przedstawił Krzeptowskiego ludziom kultury i nauki, często odwiedzającym Zakopane, podążając za panującą wówczas modą na góralszczyznę: „Stary zakopiańczyk szybko stał się ich ulubieńcem jako niezrównany gawędziarz i człowiek o budzącej zainteresowanie osobowości – otwarty, bezpośredni, różniący się od chłopów znanym inteligentom z rodzinnych stron. Sabałę chętnie zapraszano na spotkania towarzyskie i wycieczki górskie, gdzie – ze względu na podeszły już wiek oraz słabnący wzrok – nie pełnił funkcji przewodnika, ale raczej kompana umilającego trudy wędrówki zajmującą opowieścią oraz śpiewem i grą na gęślach własnego wyrobu, tzw. złóbcokach". Zabawiał gości prof. Chałubińskiego śpiewem i opowieściami. Wziął udział także w zainscenizowanym dla Heleny Modrzejewskiej napadzie zbójeckim, w czasie którego wystąpił w roli harnasia.

Jak pisze Witkiewicz, „bardzo wielu z pomiędzy bywających tu podróżników, którzy spotykając Sabałę po drogach, zaciągali do siebie, leli w starca wódkę i wyciągali na anegdoty, myśli, że kilka sprośnych konceptów, które usłyszeli, są najlepszą stroną Sabały. Jest to bardzo mylne wyobrażenie. Sabała ma tyle i tak różnorodnych rzeczy do opowiadania, że da każdemu czego on szuka – i mądremu mądre, i głupiemu głupie – wygodzi każdemu [...] I kto przeleje miarkę, kto zanadto »omaszcza« herbatę, podejmując starca, ten nie usłyszy najlepszych opowiadań. Nie każdemu zresztą on chce opowiadać, nie z każdym chce »ugwarzyć«".

A gdy w czasie wyprawy z turystami pojawiło się niebezpieczeństwo? „Sabała się zbudził, poprawił na sobie torbkę i cuhę, klęknął na kamieniu ponad ogniskiem i mówił: – Lógek se na kwilę i zasnął – przy ogniu dobrze sie spi. He, jak kto wie, to przy ogniu może się i wylecyć godnie [...] No, a niedźwiedzie bywają tu ojcze? – pytał ktoś. – He! Nimas na nik godniejszego miejsca, jako tu".

Noblista popularyzuje Sabałę na cały świat

„Sabałowa bajka" Henryka Sienkiewicza po tym, jak został on laureatem Nagrody Nobla, przetłumaczona została na kilkanaście języków. W efekcie postać Jana Krzeptowskiego stała się znana w wielu krajach. Sienkiewicz jedną z opowieści Sabały relacjonuje tak: „Prosem piknie wasych miłości, raz seł chłop ze świdrem i rąbanicą do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzysyła się z nim stara baba. Chłop, ze był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wreście wiercić dziurę do wirby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

– Czego patrzys? – pyta Śmierć.

– Chcesz uznać, to sama zaźrzyj.

Zaźrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic – a bez ten cas ociosał se chłop rąbanicą bukowy kołek.

– Nie widzę nic – powiada Śmierć.

eprasa.pl 081494c15f

– Wleź całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlazła całkiem, zatkał ci ją chłop – prosem piknie – bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

Az tu rok po roku idzie, chłop żyje i żyje; ludziska przestali umierać; zajaziło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wsędy, ze człek koło człeka stał, jako smereki stojom w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić już nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku zyć, poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć – prosem piknie – skoczy, jak weźmie kosić – w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyla się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było".

Sabała nie potrafił pisać ani czytać, a jedynie składać swój podpis, ale jego gawędy góralskie zostały spopularyzowane przez cytowanych Sienkiewicza i Witkiewicza, a także Wojciecha Brzegę oraz opublikowane w wielu zbiorach, takich „Bajki według opowiadań Jana Sabały Krzeptowskiego z Kościeliska" autorstwa Bronisława Dembowskiego czy książce Andrzeja Stopki Nazimka „Sabała. Portret, życiorys, bajki, powiastki, piosnki, melodie". Postać Sabały pojawiła się w polskiej literaturze także u Kazimierza Przerwy-Tetmajera w „Legendzie Tatr", u Władysława Orkana w noweli „Przez co Sabała omijał jarmark w Kieżmarku" czy „Księdze Tatr" Jalu Kurka.

„To właśnie artyści i literaci jako pierwsi zaczęli spisywać opowiadane przez Krzeptowskiego narracje i to oni dokonywali wyboru fabuł, które uważali za najbardziej intersujące i wartościowe. Bez wątpienia osobowość gawędziarza, który w plastyczny i swobodny sposób przedstawiał barwny świat górali, zaważyła na ocenie jego repertuaru w nie mniejszym stopniu niż treść opowiadanych historii. Nie ulega jednak wątpliwości, że to właśnie zafascynowani podhalańską kulturą ludową inteligenci stali się twórcami legendy Sabały jako »Homera góralszczyzny«" – pisze Violetta Wróblewska.

O tej popularności tak informuje portal Zakopane.pl: „Zachwycał się nim ponadto Stefan Żeromski, pod jego urokiem był także Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Znali go niewątpliwie Maria Konopnicka, Karol Potkański, św. brat Albert (Adam Chmielowski). W 1891 r. Sabała został ojcem chrzestnym Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego) podczas jego drugiego, zakopiańskiego chrztu (pierwszy odbył się w Warszawie, tuż po narodzinach, jednak był to chrzest »z wody«). Wspólnie z Sabałą do chrztu podawała małego Stasia słynna aktorka – Helena Modrzejewska".

Wiadomo, że Sabała z kapelą góralską wystąpił 14 sierpnia 1879 roku w Dolinie Kościeliskiej podczas uroczystości wmurowania tablicy poświęconej Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu w skałach Pośredniej Kościeliskiej Bramy.

„Byli chłopcy, ale się mineli"

Witkiewicz o ostatnich latach Sabały pisze tak: „Sabała czegoś smutny, trapi go niepokój, czy aby nie przychodzi już niedołęstwo starcze, którego się boi. Więc się mocuje, próbuje sił swoich, całe tygodnie spędza w pustych, zimnych halach, wraca blady, znędzniały, i ciągle nieprzekonany.

Nawalił okropną watrę, na którą zrąbał i zniósł wielkie krzaki kosodrzewiny. Bucha potężny płomień, i ogromny słup dymu, jak z krateru wulkana, wznosi się ponad czarne turnię.

Sabała grzeje się przy tym ogniu z twarzą okopconą, wyciąga zgrabiałe ręce nad płomieniem i patrzy w ognisko swemi napół zamglonemi oczyma – potem bierze gęśle, gra i śpiewa.

Młodość moja młodość!
Przysłaś mi na marność,
Radość moja ginie,
Jak liść na wierzbinie.

Nie możemy go rozruszać; ani wódka, ani herbata omaszczona koniakiem nie chwyta się dziś jego mózgu".

„Byli chłopcy, byli, ale się mineli. I my się miniemé po malućkiej kwili" – mawiał Sabała. W 1888 roku odszedł Tytus Chałubiński. Sabała zmarł w 1894 roku w willi „Zacisze" należącej do Wandy Lilpopowej, opiekującej się nim w ostatnich latach życia. Pochowany został na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku.

Wspólny pomnik Sabały i Chałubińskiego odsłonięto w 1903 roku w centrum Zakopanego staraniem Związku Przyjaciół Zakopanego. Monument zaprojektował Stanisław Witkiewicz, a figury wyrzeźbił Jan Nalborczyk. Mimo że figura Sabały jest teoretycznie drugoplanową postacią, większość ludzi nazywa go pomnikiem Sabały, a nie Chałubińskiego. Legenda Krzeptowskiego sprawiła, że w domu Sabały na Krzeptówkach otwarto oddział Muzeum Tatrzańskiego. Imieniem Sabały nazwano ulice w Zakopanem, Warszawie, Bydgoszczy, Krakowie, Łodzi i Jeleniej Górze. Narodowy Bank Polski wyemitował w 2010 roku banknot testowy przedstawiający Sabałę. W Bukowinie Tatrzańskiej odbywa się festiwal polskiego folkloru pod nazwą „Sabałowe Bajania". ■

eprasa.pl 081494c15f



Jak kętrzyńscy uczniowie walczyli z komuną

Dariusz Jarosiński



Tomasz Kosior i Jarosław Lipka należą do najmłodszych więźniów politycznych stanu wojennego. W momencie aresztowania, 22 grudnia 1981 roku, mieli po 17 lat, byli uczniami III klasy Liceum Ogólnokształcącego w Kętrzynie. Zostali skazani w trybie doraźnym przez Sąd Wojskowy Bydgoskiego Okręgu Wojskowego na karę 1 roku pozbawienia wolności. Dodatkową karą było relegowanie ze szkoły. Aresztowanie Tomka i Jarka sprawiło, że opór kętrzyńskich uczniów wobec komunistycznej władzy stał się jeszcze silniejszy.

eprasa.pl 081494c15f





FOT. ARCH.

Na swojej drodze życiowej kętrzyńska młodzież spotkała osobę wyjątkową, charyzmatycznego kapłana, ojca Bronisława Srokę. Nikt nie mógł lepiej rozumieć chłopców walczących z komuną jak on, jezuita, posługujący w latach 80. w pobliskim Sanktuarium Maryjnym w Świętej Lipce. Jako uczeń liceum w Gdańsku, szesnastolatek, w roku 1953 został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i skazany na karę pięciu lat pozbawienia wolności za udział w podziemnej organizacji antykomunistycznej.

„Nie było naszej rodzinie po drodze z Peerelem"

W czasie wakacji letnich 1981 roku Tomek i Jarek wybrali się w podróż po Polsce autostopem. Odwiedzili wtedy Kraków, Częstochowę, Wrocław, Gdańsk. Z Gdańska przywieźli kilka pamiątek związanych z „Solidarnością". Na rozpoczęcie roku szkolnego poszli z przypiętymi do swetrów znaczkami z napisem „Element antysocjalistyczny". Jedna z nauczycielek wzięła wtedy Tomka na bok i próbowała wytłumaczyć, jak wiele wszyscy zawdzięczamy socjalizmowi.

Tak naprawdę to dotychczas polityka niewiele ich interesowała. Wiedzieli, że komuna jest zła i to była wiedza wystarczająca. Podobnie jak wielu ich rówieśników, dużo czasu spędzali na boisku, łączył ich sport, a nie polityka. Tomek ze starszym o dwa lata bratem Markiem byli przez dziesięć lat ministrantami w kościele św. Katarzyny, w każdą niedzielę służyli do Mszy świętej. Marek był uczniem V klasy Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Poszedł do tej szkoły wbrew swoim humanistycznym zainteresowaniom, namówiony przez ojca, który chciał, by syn został pilotem agrolotnictwa. Bracia mieli dobry sprzęt muzyczny, trudno dostępne wtedy płyty, więc nigdy nie brakowało chętnych do słuchania – dom zawsze był pełen kolegów. Rodzice mieli duże zaufanie do synów. Mama chłopców, choć ukończyła Liceum Pedagogiczne, nie pracowała jako nauczycielka, lecz w sklepie spożywczym, ojciec prowadził jedyny w mieście w latach 70. i 80. zakład fryzjerski, nic dziwnego, że pana Zenona znali wszyscy w okolicy. I szanowali. Cenili go nie tylko za kunszt fryzjerski, lecz także za kulturę osobistą.

– Panie – mówił mi jeden z dawnych jego klientów – to siedzenie na fotelu pana Zenka to była przyjemność – zawsze coś ciekawego opowiedział, jakąś anegdotę. Potrafił nawet inteligentnie zakpić sobie z komuny do siedzącego na fotelu prokuratora czy innego komucha. Tak to mówił, że nie obrażali się na niego. Dzisiaj już takich fryzjerów nie ma.

– Nie było naszej rodzinie po drodze z Peerelem, komunistami – wspomina Marek Kosior. – Tata wieczorami

eprasa.pl 31494c15f

słuchał Radia Wolna Europa. Jesteśmy z bratem dumni z ojca – to człowiek niezwykle uczciwy, prostolinijny, zawsze mówił to, co myśli. Rodzina mamy mieszkała w Reszlu. Dziadek był w tym miasteczku komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej, babcia z ciocią prowadziły jedyny prywatny wówczas sklep w Reszlu. Można tam było kupić przeróżne rzeczy – począwszy od spodni, a skończywszy na płytach – pocztówkach grających. Nas nie można było oczarować jakimiś ideami socjalizmu.

„Socjalizm trzeba bronić czołgami"

Już 13 grudnia zapadła decyzja, że trzeba zademonstrować swój bunt przeciwko Jaruzelskiemu, komunistom, którzy wypowiedzieli wojnę polskiemu narodowi. Bracia uznali, że najprostsze będzie plakatowanie i rozrzucanie ulotek. Pierwsze plakaty powiesili tuż przed zakończeniem wieczornej Mszy świętej w niedzielę 13 grudnia, tak by ludzie wychodzący z kościoła mogli się z nimi zetknąć. Musieli uważać na krążące po mieście patrole wojskowe. Czasami prawie wpadali na patrol uzbrojonych żołnierzy. Plakaty z hasłami o „Solidarności", Polsce, Wolności powiesili m.in. na gablotach przed kościołem św. Katarzyny, na gablotach kina „Gwiazda", na płocie remontowanego wtedy budynku byłej loży masońskiej. Marek Kosior przyznaje, że to był cud, że wtedy nie wpadli.

Od poniedziałku 14 grudnia zaczęła się już bardziej planowa akcja. Dziewczyny – Gosia Araszkiewicz, Marzena Kuriata, Ela Lipka – malowały plakaty, a czterej chłopcy je rozklejali. Podzielili się ulicami. Jedną parę stanowili bracia Tomek i Marek, a drugą – Tadek Arłukowicz i Jarek Lipka, koledzy z klasy Tomka. Do malowania używane były kartki z bloku rysunkowego, szkolne farby, flamastry, klej robił Marek z mąki. Hasła wypisywane na plakatach, ulotkach były zazwyczaj krótkie, wpadające w ucho, na przykład: „Terror drogą do socjalizmu", „Socjalizm trzeba bronić czołgami", „Precz z komuną". Cytowali też fragment wiersza Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś". Choć nie tworzyli jakiejś organizacji, to podpisywali plakaty i ulotki „Patriotyczny Związek Młodzieży". Chłopcy wychodzili na ulice wcześnie rano, dobrym pretekstem były trwające wtedy rekolekcje, bowiem o godzinie 6:30 zaczynała się w kościele św. Katarzyny Msza święta dla młodzieży szkolnej. Lekcje w szkołach z uwagi na wprowadzony stan wojenny zostały zawieszone.

Na dworze panował tęgi mróz, więc niełatwo było dobrać się szybko do kleju i powiesić zmarzniętymi rękoma plakat. Wieszali w miejscach widocznych, tam gdzie przechodziło dużo ludzi – na przystankach autobusowych, elewacjach budynków. Mieli nadzieję, że słowa z ich plakatów, ulotek wleją w serca mieszkańców Kętrzyna nadzieję, otuchę, że „Wrona Orła nie pokona".

Marek bardzo przeżył wiadomość o dokonanej przez komunistów masakrze w kopalni „Wujek" 16 grudnia. Zginęli niewinni ludzie. Postanowił uczcić śmierć górników, układając z kawałków węgla krzyż koło kościoła św. Katarzyny. W poszukiwaniu odpowiedniego węgla obeszli z kolegą całe miasto, nie chciał, by to był na przykład okrągły brykiet. W końcu trafili na odpowiedni przy jakiejś lokalnej kotłowni. Były to ładne, połyskujące kostki. Ułożony z kawałków węgla krzyż z pewnością robił wrażenie na przechodzących ludziach. Był bardzo wymowny. Spotkał jednak Marka zawód, bo jeden z księży kazał uprzątnąć węgiel.

Nie wsypali kolegów

– Musieliśmy kiedyś wpaść, bo przecież nie znaliśmy zasad konspiracji – wspomina Tomasz Kosior. Z drugiej strony zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nie sposób było uchronić się przed wpadką przy klejeniu plakatów w centrum miasta. Jednak odnieśliśmy jakiś sukces – napsuliśmy krwi komuchom, a ludzie poczuli się lepiej, pewniej, widząc oznaki sprzeciwu wobec junty Jaruzelskiego.

W poniedziałek, 22 grudnia, Tomek był akurat w domu u Jarka Lipki, kiedy nieoczekiwanie przyszli milicjanci. Po krótkiej wymianie zdań, zabrali kolegów na komendę. Tam przejęli ich esbecy. Brali chłopców na zmęczenie – przesłuchiwali non stop, a w czasie przerw od przesłuchań kazali pisać na papierze godzina po godzinie relację z tego, co robili od 13 grudnia. Przesłuchiwani byli oddzielnie.

– Jarek nie wytrzymał – opowiada Tomasz Kosior – przyszedł do mojego pokoju przesłuchań z esbekiem i mówi, że my obaj kleiliśmy. Odebrałem to jako sygnał, że bierzemy to tylko na siebie, że tylko we dwóch to robiliśmy. Tym bardziej miałem podstawy tak sądzić, bo przecież on kleił z Tadkiem Arłukowiczem, a ja z bratem Markiem. Nie pozostało mi więc nic innego jak tylko potwierdzić zeznania Jarka.

W środę, 24 grudnia, w Wigilię Bożego Narodzenia, kętrzyńscy licealiści zostali przewiezieni do Olsztyna. W Olsztynie trafili do aresztu i tutaj zajęła się nimi prokuratura wojskowa. W olsztyńskim areszcie oczekiwali na rozprawę sądową z pospolitymi więźniami oskarżonymi o kradzieże, gwałty, pobicia. Na trzeciej rozprawie sądowej Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na sesji wyjazdowej w Olsztynie skazał na rok pozbawienia wolności oskarżonych o to, że 16 grudnia 1981 roku około godz. 6.00 „rozpowszechniali wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy w ten sposób, że na ulicach Kętrzyna rozlepiali sporządzone przez siebie plakaty o treści antyrządowej".

Jak widać z aktu oskarżenia, chłopcom udowodniono jedynie jednorazowe plakatowanie miasta. W marcu 1982 roku zostali przewiezieni do więzienia w Bar-

eprasa.pl 081494c15f

toszycach, gdzie utworzono oddział dla więźniów politycznych. Osadzani byli tam organizatorzy, uczestnicy strajków po wprowadzeniu stanu wojennego.

Przez kilka dni rodzice Tomka nie wiedzieli, gdzie jest ich syn. Domyślali się jedynie, że został zatrzymany przez SB. Któregoś dnia przyszła do domu grupa uzbrojonych w długą broń wojskowych i esbeków i dopiero wówczas dowiedzieli się więcej.

Oporniki w swetrach kolegów z klasy

– W tę samą noc, kiedy Tomek został zatrzymany, poszliśmy z Tomkiem Jakimuszką kleić plakaty, żeby pokazać, że to nie on rozlepiał plakaty. Później w czasie Pasterki rozrzucaliśmy ulotki przed kościołami. Przez rok działaliśmy we dwóch z Tomkiem Jakimuszką. To był świetny chłopak, skromny, odważny, wysportowany, ćwiczył wschodnie walki, jeśli wymagałaby tego sytuacja, potrafiłby użyć swych umiejętności. Zawsze mogłem na niego liczyć. Był niezawodny.

Pokój Marka stał się pracownią drukarską, śmierdział farbą. Z czasem chłopcy nauczyli się robić powtarzalne plakaty na ramkach, wyglądały na bardziej profesjonalne. Uczyli się samodzielnie techniki drukarskiej sitodruku. Marek, jako uczeń technikum, nie znajdował się w kręgu podejrzanych o plakatowanie w mieście, SB szukała podejrzanych wśród uczniów liceum ogólnokształcącego. Wychodził wcześnie rano z domu, kiedy jeszcze było ciemno na dworze, zabierał do wózka swojego dwuletniego braciszka, pod pled wkładał plakaty, ulotki, klej. Ubierał się tak, że był trudny do rozpoznania – zakładał długi płaszcz, buty kowbojki, damską perukę z zakładu fryzjerskiego ojca.

10 stycznia zostały wznowione lekcje w szkole Marka, w Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Chłopak przyniósł z warsztatu wujka ze Spółdzielni Pracy „Kormoran" pudełko zepsutych 30 oporników. Poprzypinał te oporniki, będące symbolem oporu wobec komunistów, do swetrów kolegów z klasy. Nie wszyscy koledzy byli z tego powodu zadowoleni, po prostu bali się, ale Marek miał na nich taki wpływ, że na pierwszym szkolnym apelu po wprowadzeniu stanu wojennego wszyscy grzecznie stali z opornikami. Nauczyciel wychowania fizycznego, Czesław Kozakiewicz, dostał białej gorączki na ich widok. W szale wyrywał oporniki ze swetrów, ale kiedy doszedł do Marka, ten złapał go za rękę i nie pozwolił sobie wyrwać. Przy całej szkole Kozakiewicz ryknął: „Wypierdalaj, nie jesteś uczniem!".

Marek wrócił do domu, opowiedział rodzicom historię z opornikami. Ojciec udał się na rozmowę do dyrektora szkoły, Ryszarda Melnarowicza. „Panie Zenku – mówił dyrektor – ja panu bardzo współczuję. Jeden syn siedzi w więzieniu, drugi też chuligan". Pan Zenon żachnął się i krótko skwitował: „Jestem dumny i z jednego, i z drugiego syna".

Po kilku tygodniach, kiedy nauczyciel Kozakiewicz odszedł ze szkoły na stanowisko jakiegoś komisarza stanu wojennego, rada pedagogiczna przywróciła Marka w prawach ucznia.

„Dla takich jak ty nie ma miejsca w tej szkole"

25 czerwca 1982 roku Tomek Kosior i Jarek Lipka wyszli z więzienia. Ich koledzy i koleżanki z klasy zaczynali akurat wakacje. O powrocie do dziennego liceum nie było mowy. Otrzymali propozycję uczęszczania do wieczorowego liceum w Bartoszycach, w mieście, w którym siedzieli w więzieniu, mimo że szkoła wieczorowa była też w Kętrzynie. Tomek nie chciał się z tym pogodzić – pisał do dyrekcji szkoły, do rady pedagogicznej, do kuratorium w Olsztynie. Łaskawie kuratorium zgodziło się na szkołę wieczorową w Kętrzynie. Zaczął chodzić do III klasy. Wcześniej chodził do klasy o profilu matematyczno-fizycznym, więc na lekcjach matematyki i fizyki nudził się okropnie, a nauczycielka, zachwycona swoim zdolnym uczniem, chciała go od razu wysyłać na jakąś olimpiadę. Nie poddawał się i w dalszym ciągu przed każdym posiedzeniem rady pedagogicznej pisał podanie o przywrócenie do szkoły dziennej. A wicedyrektor szkoły odpowiadał nieustannie: „Dla takich jak ty nie ma miejsca w tej szkole".

Tomasz Kosior nie wie do dzisiaj, co takiego się stało, ale od II semestru został przyjęty do dziennego liceum do III klasy o profilu matematyczno-fizycznym. Uważał to za swoje małe zwycięstwo nad komuną, bo przecież zależało komunistom na tym, żeby zastraszyć ludzi, żeby byli bierni, bezwolnie stosowali się do paragrafów, zarządzeń. Jarek Lipka nadal chodził do wieczorowego liceum.

Marek po wyjściu Tomka z więzienia starał się chronić brata, wiedział, że jest obserwowany, nie chciał, żeby był sądzony jako recydywista. Tomek miał kuratora sądowego, musiał też jako warunkowo zwolniony z więzienia stawiać się na komendzie milicji i SB, ale nie zaniechał działalności w konspiracji.

To oczywiste, że powrót Tomka z więzienia do szkoły nie pozostał niezauważony przez uczniów, a tym bardziej przez nauczycieli, choć Tomek starał się nie wzbudzać zainteresowania.

– Po powrocie z więzienia nauczyciele nie próbowali mnie umoralniać, może nie czuli się na siłach polemizować ze mną. Nasza szkoła żyła konfliktem „Solidarności" z władzą komunistyczną. Pamiętam, jak przyszli do klasy kiedyś oficerowie Wojsk Ochrony Pogranicza namawiać nas do wstępowania do wojska po maturze. Zostali wygwizdani, nie mogli sobie z nami poradzić. Nauczyciel historii w IV klasie nie mówił w ogóle o najnowszej historii, bo wiedział, czym się to skończy.

eprasa.pl 081494c15f

Młodzi antykomuniści w Kętrzynie, jak w wielu zresztą miastach w Polsce, byli zdani jedynie na siebie. Dopiero kiedy koledzy z dawnej klasy Tomka wyjechali na studia do Warszawy, m.in. Jarek Żukowski, Mariusz Dziemiańczyk, zaczęli dostawać niezależną prasę, książki z drugiego obiegu. Stworzyli niezależną bibliotekę.

– Do akcji na ulicach zbierałem chłopaków, o których wiedziałem, że byli charakterni, chcieli coś robić dla hecy, dla których polityka nie była najważniejsza – opowiada Marek Kosior. Ci mocni intelektualnie, oczytani, słuchający Jacka Kaczmarskiego, nie wszyscy się nadawali do roboty. Cały wieczór mogłem z nimi przegadać o konflikcie między endekami a piłsudczykami w II RP, ale wiedziałem, że nie sprawdzą się na ulicy z puszką farby. Nie miałem o to do nich pretensji. Byli to koledzy z tzw. dobrych domów: „A wiesz, ja nie pójdę, tata jest lekarzem, jeszcze go wyrzucą ze szpitala". Nie naciskałem. Brzmi to może cynicznie, ale żeby malować na ścianie, nie trzeba umieć odróżnić Piłsudskiego od Dmowskiego.

To było ogromne szczęście

Przed świętami Bożego Narodzenia 1982 roku Tomek Kosior wraz z kolegami uczestniczył w rekolekcjach w kościele św. Katarzyny. Z dużą uwagą wysłuchali kazania przybyłego do kętrzyńskiego kościoła na rekolekcje kapłana jezuity. Dzisiaj mówią, że po raz pierwszy w życiu usłyszeli tak odważne kazanie. Nieznany im ksiądz mówił o historii Polski, o zniewoleniu człowieka, o tym, czym jest wolność.

Po kazaniu poszli do zakrystii. Kaznodzieją okazał się ojciec Bronisław Sroka, od niedawna przebywający w pobliskim klasztorze ojców jezuitów w Świętej Lipce. Ojciec Bronisław zaprosił kętrzyńską młodzież do siebie, do Świętej Lipki. Tak zrodziła się trwająca do dzisiaj silna więź duchowa, przyjacielska. Znajomość z o. Bronisławem bardzo zmieniła życie kętrzyńskich uczniów. Przez wiele miesięcy, dopóty, dopóki ojciec Sroka przebywał w Świętej Lipce, jeździli do niego regularnie autobusem PKS dwa razy w tygodniu. W pewnym momencie musieli podzielić się na dwie grupy, bo tak dużo było chętnych. Ojciec Sroka nazywał to żartobliwie kółkiem różańcowym, ale to były wykłady z historii Polski, na temat sytuacji politycznej.

Poznali bliżej ojca Bronisława. Urodził się przed wojną w Bratysławie, gdzie jego ojciec został skierowany przez Rząd II RP do pracy dyplomatycznej przy Polskim Konsulacie. W czasie wojny na polecenie rządu organizował w Budapeszcie pomoc dla polskich uchodźców. Bronisław chodził do szkoły w Budapeszcie, poznał język węgierski, do dzisiaj pozostała mu wielka sympatia dla narodu węgierskiego. Po wojnie zamieszkał z rodziną w Gdańsku. Będąc uczniem drugiej klasy liceum, został aresztowany za udział w podziemnej organizacji antykomunistycznej. Miał wówczas 16 lat. W 1953 roku został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy na karę 5 lat więzienia. Karę odbywał w Sztumie, Sosnowcu Radosze, pracował też jako górnik w kopalni w Jaworznie. W 1968 roku przyjął święcenia kapłańskie. W latach 70. związany był z niepodległościowymi, antykomunistycznymi organizacjami – Ruch i ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela). Za działalność w Ruchu zapłacił półrocznym pobytem w więzieniu. Przez wiele lat był duszpasterzem akademickim w Gdańsku. Tutaj też przejął opiekę duszpasterską po o. Ludwiku Wiśniewskim nad młodzieżą związaną z Ruchem Młodej Polski (dzisiaj nie jest zadowolony ze wszystkich swoich wychowanków RMP). 14 grudnia 1981 roku odprawił Mszę świętą dla strajkujących stoczniowców w sali BHP Stoczni Gdańskiej.

– To było ogromne szczęście, że na swojej drodze życiowej spotkaliśmy tak wspaniałego kapłana, niezwykle zasłużonego dla niepodległości Polski – wspomina Tomasz Kosior. To środowisko, które kiedyś skupiało się wokół o. Bronisława, trwa do dzisiaj. Jesteśmy już dorośli, mamy swoje rodziny, wiele osób wyjechało z Kętrzyna, ale przynajmniej raz na jakiś czas spotykamy się. Odwiedzamy też ojca Bronisława – w 1985 roku wyjechał ze Świętej Lipki do Piotrkowa Trybunalskiego, obecnie przebywa w Gdyni. Jesteśmy jedną dużą rodziną ojca Bronisława. Kiedy do nas mówił, to wiedzieliśmy, że nie są to puste słowa, bo miał za sobą piękny, bohaterski życiorys. W 1984 roku mówił do nas: „Musicie się kształcić, bo wy będziecie rządzić wolną Polską. Polska już niebawem będzie wolna i musicie być na to przygotowani". Często podkreślał, że Polska nie musi być socjalistyczna, odrzucał hasło „socjalizm tak, wypaczenia nie". Namówił nas do wydawania pisma i wydawaliśmy „Początki Jutra". Wspomnę jeszcze, że ojciec Bronisław udzielił sakramentu małżeństwa naszym przyjaciołom Jarkowi Lipce i Ewie.

Ojciec Bronisław sprawił, że kętrzyńscy uczniowie zaczęli uczestniczyć w pielgrzymkach na Jasną Górę. Chodzili z warszawską siedemnastką w grupie zielono-biało-czerwonej z pielgrzymami z Węgier, których poznali dzięki księdzu. Zawiązały się przyjaźnie trwające do dzisiaj, a nawet małżeństwa. Imre Molnar, od wielu lat węgierski dyplomata, ożenił się z Polką, Moniką, poznaną na pielgrzymce; Krzysztof Szczerba z Kętrzyna ożenił się z Węgierką Norą. Tak się złożyło, że oba małżeństwa mieszkają przy tej samej ulicy na przedmieściach Budapesztu. Na pielgrzymkach zawsze były niesione flagi Polski, Węgier, „Solidarności", a także słynna flaga Tomka i Marka Kosiora z orłem w koronie, którą uszyła ich mama.

Szeregowy Marek Kosior

Pod koniec października 1983 roku Marek Kosior został wcielony do wojska. Początkowo przebywał w jedno-

eprasa.pl 081494c15f

stce w Lublinie naprzeciwko Majdanka. Chodził wtedy na msze do kościoła ojców jezuitów, do munduru przypinał znaczek „Solidarności". Z Lublina z wojska przywiózł kiedyś petardy, które były używane na poligonie. W dosyć oryginalny sposób urozmaicili z Tomkiem Jakimuszką zebranie komunistów odbywające się w kętrzyńskim hotelu „Agros" – wrzucili im przez okno petardę. A potem oczywiście trzeba było uciekać co sił w nogach. Tomek Jakimuszko rzucił jeszcze w czasie ucieczki petardę pod nogi przechodzącym żołnierzom z patrolu. Przez pół nocy czekali w domu, czy nie przyjdą po nich esbecy.

Koledzy Marka Kosiora twierdzą, że urodził się w czepku. Mimo brawurowych akcji ulicznych nie dał się złapać. Przesłuchiwany zawsze potrafił się wyłgać. Posiadał zdolności aktorskie, więc przekonująco opowiadał esbekom jakieś dziwne historie bez mrugnięcia okiem. Nigdy nie okazywał strachu, zdenerwowania, zawsze był opanowany.

Z Lublina został przeniesiony do jednostki wojskowej w Kazuniu naprzeciwko Modlina. Bez konspirowania nie mógł żyć nawet w wojsku. W 1984 roku, kiedy odbywały się wybory do rad narodowych, przeprowadził w jednostce akcję bojkotu wyborów. Żołnierze puste karty wyborcze składali w toaletach. Przynajmniej 50 kart do głosowania znalazło się w toalecie, a później fruwało nad Wisłą. Po godzinie dwudziestej, po zamknięciu tzw. lokalu wyborczego, zebrało się grono zaufanych żołnierzy zetesempowców i wypełnili dowiezione czyste karty. Wynik musiał być co najmniej 99 proc. poparcia dla komunistów. Na drugi dzień po wyborach został zarządzony w jednostce alarm, kadra przeprowadziła rewizje w salach żołnierskich. Markowi jak zwykle się upiekło.

– Parę razy byłem w porządnych tarapatach i nie było mi do śmiechu. Z pozoru banalna sprawa – zostałem zatrzymany za noszenie znaczka z orłem w koronie. Kupowałem w Warszawie większą ilość znaczków u grawera dla kolegów z Kętrzyna. Milicja pozwalała na kupowanie znaczków, ale nie wolno było ich nosić. Zostałem zatrzymany na komisariacie MO przy ulicy Jezuickiej, gdzie akurat dosłownie dwa dni wcześniej śmiertelnie pobili Grzegorza Przemyka. Trzymali mnie całą noc i straszyli, że skończę jak Grzegorz Przemyk. Wyszedłem stamtąd z duszą na ramieniu. W bramie czekał na mnie całą noc niezawodny Tomek Jakimuszko.

Szeregowy Marek Kosior uczestniczył też w Warszawie w demonstracjach, oczywiście nie w mundurze, a w cywilnym ubraniu. Na demonstracje przyjeżdżali koledzy z Kętrzyna, m.in. Jurek Wielicki „Jureczek", Tomek Jakimuszko, byli też koledzy studiujący na Uniwersytecie Warszawskim – Jarek Żukowski, Mariusz Dziemiańczyk. Grupa kętrzyńska, podobnie jak na pielgrzymkach do Częstochowy, tak na demonstracjach miała zawsze ze sobą flagę z orłem w koronie, którą uszyła mama Marka i Tomka. Traktowali tę flagę jak rzecz świętą. Niektórzy wierzyli, że dopóty, dopóki im towarzyszy, nic im nie grozi ze strony komuny.

Po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki z inicjatywy kętrzyńskich uczniów zaczęły być organizowane raz w miesiącu w kościele św. Jerzego Msze święte w intencji Ojczyzny. Marek był autorem kilku wystaw w kościele, recytował też wiersze patriotyczne. Do udziału w nabożeństwach zapraszani byli znani w Polsce artyści, politycy, m.in. Antonina Krzysztoń, Kazimierz Świtoń. Później zapraszane osoby nocowały w mieszkaniu państwa Janiny i Zenona Kosiorów.

Ze względów zdrowotnych Marek wyszedł z wojska wcześniej – w styczniu 1985 roku. Nie zasłużył się, bo wyszedł w stopniu szeregowego. W drugiej połowie lat 80. do młodzieżowej opozycji antykomunistycznej zaczęły dołączać coraz młodsze osoby i z różnych szkół, nie tylko z liceum ogólnokształcącego, ale to już był nowy rozdział w historii Kętrzyna. Ich liderem stał się Adam Dydziński ps. Duduń (rocznik 1967), uczeń technikum, który, jak mówią jego koledzy, nie wiedział, co to jest strach. Uczył się niemal we wszystkich szkołach średnich w Kętrzynie, ponieważ z każdej był wyrzucany za antykomunistyczne wypowiedzi. Wraz z Jurkiem Wielickim „Jureczkiem" zostali skazani przez Sąd Rejonowy na karę 10 miesięcy pozbawienia wolności. Po wyjściu z więzienia Adam Dydziński został liderem Federacji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur i pod tym szyldem młodzież kętrzyńska jeździła na demonstracje do Gdańska i do Warszawy, wydawała też m.in. pismo „Larwa".

Marek Kosior dużo pomagał młodszym kolegom. Załatwiał im papier, farbę, w wielu sprawach doradzał, jeździli też razem na demonstracje. W 1988 roku ożenił się, wykorzystał możliwości, jakie dawała tzw. ustawa Wilczka, i założył własną firmę tapicersko-stolarską. Tutaj mieściła się wówczas główna siedziba kętrzyńskiej opozycji – m.in. drukowane były ulotki. Za zarobione pieniądze Marek kupował książki do niezależnej biblioteki. ■

***

Po 1989 roku ani Tomasz, ani Marek nie podjęli działalności politycznej. Obaj bracia prowadzą działalność gospodarczą, udzielają się też w swoich środowiskach społecznie. Tomasz pozostał w Kętrzynie, Marek Kosior mieszka w Gdańsku, 10 listopada uczestniczył we Mszy świętej w Gdyni u o.o. jezuitów, gdzie kazanie głosił o. Bronisław Sroka. Niestety, jest już coraz bardziej schorowany. Marek pamięta, jak w 1992 roku o. Bronisław przyjechał rowerem z Bydgoszczy do Kętrzyna. 11 listopada duże grono przyjaciół spotkało się w Kętrzynie. Mama Tomasza i Marka, pani Janina Kosior, odebrała w Olsztynie Medal Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Ktoś jeszcze pamięta o dzielnej matce i jej synach.

eprasa.pl 081494c15f

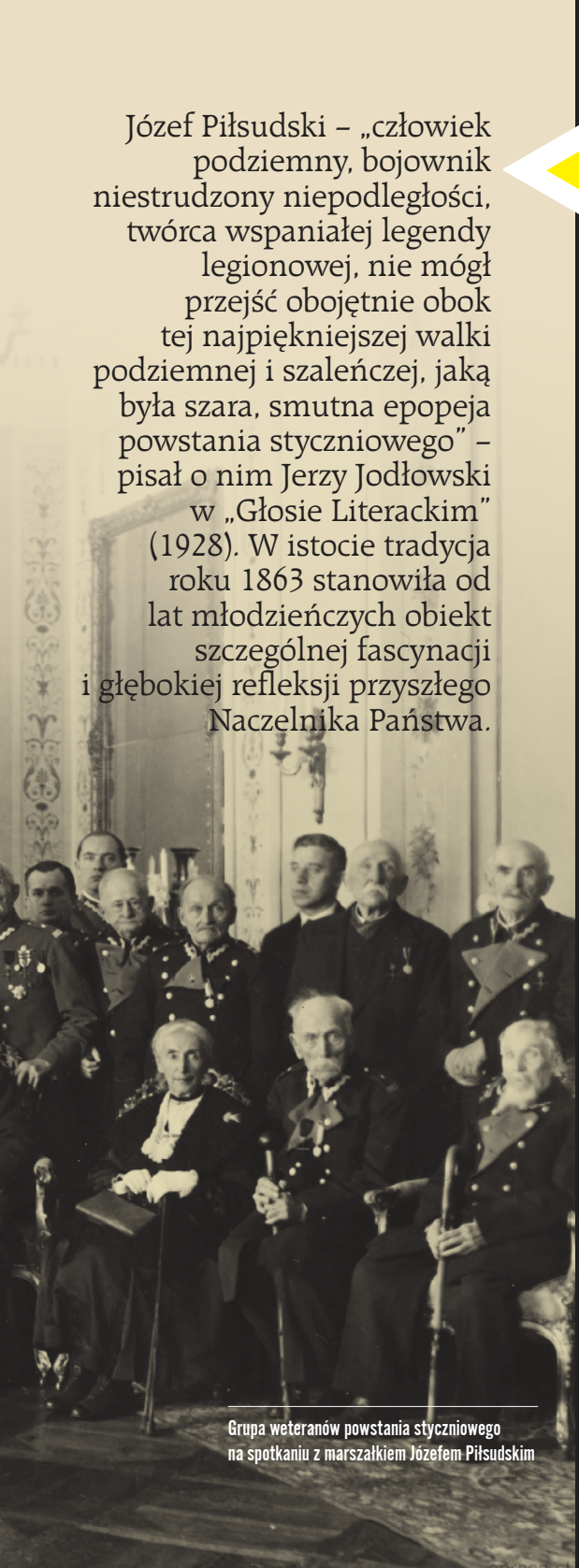
„ZGINĘLIŚMY NIE DARMO”. JÓZEF PIŁSUDSKI O POWSTANIU STYCZNIOWYM

Agnieszka Kowalczyk



Egospodarka.pl 031494c15f

Józef Piłsudski – „człowiek podziemny, bojownik niestrudzony niepodległości, twórca wspaniałej legendy legionowej, nie mógł przejść obojętnie obok tej najpiękniejszej walki podziemnej i szaleńczej, jaką była szara, smutna epopeja powstania styczniowego" – pisał o nim Jerzy Jodłowski w „Głosie Literackim" (1928). W istocie tradycja roku 1863 stanowiła od lat młodzieńczych obiekt szczególnej fascynacji i głębokiej refleksji przyszłego Naczelnika Państwa.



Grupa weteranów powstania styczniowego na spotkaniu z marszałkiem Józefem Piłsudskim

FOT. NAC

Urodzony kilka lat po klęsce narodowego zrywu, należał Piłsudski do pokolenia, które „z leśnych grobów powstańczych żywot swój poczęło". Zbrojne wystąpienie styczniowe było przedmiotem jego dogłębnych studiów historycznych, które prowadził w różnych okresach swojego życia, zwłaszcza zaś przed wybuchem I wojny światowej (1912–1914), a potem po odzyskaniu niepodległości, w zaciszu sulejowskiego dworku (1923–1926). Na początku lat 20. podjął się nawet próby powołania do istnienia katedry historii powstania styczniowego na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, którą sam zamierzał objąć.

22 stycznia 1863

W imponującym dorobku pisarskim Józefa Piłsudskiego szczególne miejsce zajmują prace poświęcone powstaniu styczniowemu, spośród których swą oryginalnością i zarazem głębią analityczną wyróżnia się popularnonaukowy szkic historyczny o wymownym tytule „22 stycznia 1863". Mówi o przygotowaniach do powstania, o burzliwych wypadkach nocy styczniowej i o pierwszych dniach walki, w których zbuntowani Polacy mieli zaskoczyć rozrzucone po kraju garnizony rosyjskie, a opanowawszy miasta, stworzyć podstawy dalszych działań zbrojnych. Rekonstruując przebieg pierwszego aktu styczniowego dramatu, Piłsudski patrzy nań z jednej strony okiem zdystansowanego badacza-historyka, zachowującego obiektywizm i krytycyzm w przedstawianiu faktów, w analizowaniu strategii i taktyki walki obu stron oraz w ocenie stanu psychicznego walczących, z drugiej zaś, swemu historycznemu przekazowi nadaje kształt literacki, tak iż w wielu fragmentach opowieść o 22 stycznia zyskuje cechy narracji powieściowej. Jej bohaterami czyni postacie historyczne, autentycznych uczestników wypadków powstańczych – Zygmunta Padlewskiego, Stefana Bobrowskiego, Walentego Lewandowskiego, Mariana Langiewicza, Bronisława Deskura, Romana Rogińskiego, ks. Walentego Nawrockiego. Sięgając po właściwą powieści metodę analizy psychologicznej, w sugestywny sposób kreśli duchowe portrety przywódców i przekonująco oddaje prawdę ich myśli i siłę uczuć. Jego bohaterowie stają się ludźmi żywymi i prawdziwymi, gotowymi zmierzyć się z nieodgadnionym żywiołem historii.

„Nic nam nie pozostało jak umrzeć z honorem"

Na początku swej opowieści ukazuje Piłsudski pracę tajnej kwatery władz powstańczych w Warszawie – głównego centrum decyzyjnego podporządkowanego osobie Zygmunta Padlewskiego, członka Centralnego

epasa.pl 0.1494c15f

Komitetu Narodowego, a od lutego do kwietnia 1863 roku naczelnika wojennego województwa płockiego. Nazywa go „wodzem ówczesnej Polski" i przedstawia w chwili, gdy decyzja o wybuchu powstania została już podjęta, a on sam postawiony w sytuacji dramatycznej. Przygnieciony ciężarem odpowiedzialności, pełen obaw i instynktownych przeczuć traci wiarę w zwycięstwo, choć równocześnie przekonany jest o potrzebie walki i gotowy na śmierć w imieniu obrony honoru swego narodu. Padlewski widzi słabość polskich sił, brak broni, chaos i niepewność, jakie towarzyszą podjętemu przedsięwzięciu, które musi dokonywać się w głębokiej konspiracji, zważywszy że sam warszawski ośrodek dowodzenia znajduje się w zasięgu działania wroga, zaledwie kilkaset kroków od jego siedziby. Szereg kłębiących się myśli, które dręczą i osaczają przywódcę, odkrywa Piłsudski w pełnym emocji rozbudowanym monologu wewnętrznym bohatera, stanowiącym jednocześnie dogodną sposobność do zarysowania realnej sytuacji pierwszych chwil powstania:

„Wahał się: jechać do Puszczy Kampinoskiej czy też zostać w Warszawie? Po raz dziesiąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru. – Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany [...]. Ma w rozporządzeniu swym 3–4 tysiące ludzi. Jakie tam rozporządzenie? – Znowu wyrastała w głowie wątpliwość. Ludzie w chatach, po dworach, rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangelię. Kto ich zmusi? [...] A wreszcie, co najgorsza, z czym ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku z marną dubeltówką na karabiny i armaty! [...] Wszystko w tym przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne! [...]. Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna! [...] Nic nam nie pozostało, jak umrzeć z honorem i po to jadę".

Pesymizmowi Padlewskiego przeciwstawia Piłsudski entuzjazm młodego Stefana Bobrowskiego, członka Centralnego Komitetu Narodowego, który próbuje wszczepić w duszę wodza nadzieję na pomyślny bieg wypadków i powodzenie akcji powstańczej, twierdząc, że nie wszystko jeszcze stracone w sytuacji, gdy po jednej stronie staje do walki „człowiek wolny, o wolność walczący", a po drugiej zmuszony do służby w carskim wojsku „niewolnik pędzony batem, a do wolności wzdychający skrycie". Przypomina mu o spiskujących oficerach sprzyjających powstaniu i gotowych wesprzeć go w chwili wybuchu. Dla Padlewskiego – człowieka, który zgłębił arkana wojskowości, absolwenta Akademii Artylerii w Petersburgu i członka działającego tam tajnego koła oficerskiego, a potem wykładowcy w polskiej szkole wojskowej w Genui i Cuneo – wojskowe grupy rewolucyjne stanowiły „niezawodną siłę" i „wielki atut w polityce powstańczej". W swojej refleksji odautorskiej Piłsudski podkreśla, że chociaż zawiązany w twierdzy modlińskiej spisek wojskowy, będący główną nadzieją powstania ze względu na potężne zaplecze militarne tej fortyfikacji, nie doszedł do skutku w wyniku aresztowań i translokacji podejrzanych o możliwość wspierania polskiej sprawy, to i tak znaczna liczba oficerów zaangażowana była w podziemny ruch powstańczy. W związku z tym krzepiące słowa zapewnień ze strony towarzyszy wojskowych, które padały podczas konspiracyjnych spotkań, stanowiły dla Padlewskiego „opokę nienaruszalną", a „szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzie indziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody".

Zew wojny w Puszczy Kampinoskiej

Takie zadanie stanęło przed nim, gdy opuściwszy Warszawę dotarł do Puszczy Kampinoskiej, w której gromadziły się zastępy powstańcze tworzące chaotyczną i samowolną zbieraninę, co w krytycznej ocenie Piłsudskiego-historyka wojskowości dowodziło braku „myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia". Słabości sił powstańczych dopatrywał się w braku dobrej organizacji wojskowej, wyszkolenia walczących, dyscypliny nakazującej podporządkowanie zwierzchnikom, a także w niedostatku wyższej kadry oficerskiej mobilizującej żołnierza do działania i „zmuszającej do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i niemiłej". Do tego dochodził jeszcze niesprawny system łączności i brak odpowiedniego uzbrojenia, ponieważ formowane oddziały powstańcze poza znikomą ilością broni palnej miały do dyspozycji jedynie kosy, drągi i pałki. Pisząc o stanie przygotowań wojskowych i o ich wpływie na losy walki, Piłsudski stwierdzał, że „[...] były zaniedbane już to dla braku środków, już to ze względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawienia tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych [...]. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojennych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące malały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikały, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu – gdzieniegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu – potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie".

Pragnąc dać wyobrażenie trudności piętrzących się przed Polakami w przeddzień wybuchu powstania, au-

eprasa.pl 081494c15f

tor „22 stycznia 1863" ukazuje sytuację, w której postawiony zostaje Padlewski, gdy zmuszony jest nadać bezładnym ludzkim masom charakter zorganizowanej siły zbrojnej i wpoić im najelementarniejszą wiedzę militarną, mając jednocześnie świadomość, że lada chwila Rosjanie mogą osaczyć powstańców, by wyłapać uciekających od przymusowego poboru do carskiego wojska. Śledząc jego wyprawę w kierunku Płocka, ukazuje, w jak poniżający sposób rosyjskie władze wojskowe traktowały powstańców, porównując go do polowania na dziką zwierzynę, podczas którego snujące się po leśnych drogach patrole miały rozkaz brać Polaków „żywcem" – „iść na te łowy bez nabitej broni, chwytać osaczonego zwierza gołymi rękami, by tym bardziej go upokorzyć, tym większy wzniecić w nim szacunek dla siły władzy prawowitej". Dzięki jednakże doświadczeniu wojskowemu Padlewskiego i jego wewnętrznej energii pobudzającej do działania niewprawnego w boju żołnierza udało się prowadzonym przezeń oddziałom przeprawić przez Wisłę w okolicach Secymina i połączyć z pozostałymi siłami powstańczymi w województwie płockim.

Muzyka kos głosem prowincji

W dążeniu do stworzenia syntetycznej wizji historycznej momentu wybuchu powstania na ziemiach Królestwa, Piłsudski ukazuje to, co dzieje się we dworach ziemiańskich, w zaściankach szlacheckich, na wiejskich plebaniach, w prowincjonalnych miasteczkach bądź w miastach takich jak Płock, Siedlce czy Biała Podlaska. W związku z tym przenosi czytelnika na przykład do cichego, szlacheckiego dworku podlaskiego w Horostycie, który jest dla najbliższej okolicy tajną kwaterą główną i punktem koncentracji, gdzie gromadzi się broń, amunicję i zapasy żywności. Trwają tam gorączkowe przygotowania do rozpoczęcia walki, bowiem, jak dowiadujemy się z opowieści Piłsudskiego, „pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekła, wieczorami zaś szyto jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. [...] W kuchni [...] gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jak gdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne". Panem zaś opisywanej włości był znany na Podlasiu obywatel ziemski Bronisław Deskur, którego rząd powstańczy mianował majorem, powierzając mu zadanie zdobycia Radzynia.

Przedstawiając postać Deskura, Piłsudski usiłuje wczuć się w sytuację człowieka, któremu trudno przyjąć rolę dowódcy ze względu na brak wykształcenia i doświadczenia wojskowego. Do zaoferowania ma jednak wiele – całkowite oddanie sprawie, niespożytą energię działania, wolę walki, która liczy się z poniesieniem ofiary – posiada więc to, co stanowi o niezbędnej sile moralnej, dzięki której, mimo psychicznej udręki i narastających wątpliwości, a w końcu nawet mimo groźby aresztowania, nie zaprzestaje przygotowań do bitwy o Radzyń i żegnany przez zrozpaczoną rodzinę rusza na wyznaczone miejsce zbiórki.

Do losów Deskura Piłsudski powróci jeszcze w dalszej części swej opowieści, przenosząc tymczasem czytelnika w inny rejon, który stał się ogniskiem myśli i działalności powstańczej – do Huszczy, gdzie znana ze swego patriotyzmu szlachta zaściankowa sposobiła się do powstania pod przewodnictwem tutejszego proboszcza księdza Walentego Nawrockiego. Piłsudski przedstawia go w chwili, gdy zdąża z wieścią o mającej rozpocząć się walce do swego przyjaciela starego Macieja, z którym w 1831 roku służył w drugim pułku ułanów. Moment, w którym dawni powstańcy listopadowi gotują się do nowego czynu wolnościowego, staje się dla Piłsudskiego dogodną płaszczyzną porównania charakteru obydwu ruchów narodowowyzwoleńczych. Wyłaniająca się ze wspomnień księdza Nawrockiego barwna wizja walki powstańczej z roku 1830 pozwala ukazać żołnierza listopadowego, który stawał do boju otwarcie, zgodnie z obowiązującym kodeksem rycerskim, poddany całemu uroczystemu ceremoniałowi dawnej wojny. Jej żywiołowemu charakterowi, ujmującej odświętnej atmosferze przeciwstawiony zostaje w chwili wybuchu styczniowego zrywu zupełnie inny rodzaj walki – partyzanckiej, prowadzonej z ukrycia, której w przekonaniu bohatera nie będzie towarzyszyła już radosna pieśń żołnierska:

„Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parskających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz jak złodziej – jak zbój jaki, razić będziesz wroga zza węgła, z ukrycia. Pójdziesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega".

W opowieści o gotującej się do powstania Huszczy zawiera się swoista synteza przygotowań wojennych, jakie właściwe były setkom polskich dworów i zaścianków ogarniętych duchem walki w przeddzień 22 stycznia: „W kuźni na gwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonałach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa.

eprasa.pl 081494c15f

A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przeszpiegi, na pilnowanie wszystkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusie – wojscy nowocześni – próbowali łagodzić smutek zrzędzeniem, wszystko, co było silnym, zdrowym, wziąwszy w tęgie, spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiędze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków – Wiski i Tuczna – tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w sołdaty na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficerskimi".

Piłsudski uświadamia czytelnikom, że „takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanii, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała [...] – było mnóstwo w dni owe w naszym kraju". Docenia znaczenie, jakie dla rozwijającego się powstania miały środowiska prowincjonalne, które przejmowały na siebie cały ciężar działań wojennych.

▶ Myśliwskie strzelby kontra moskiewskie armaty

Terenem najzagorzalszych walk, które Piłsudski starał się zrekonstruować w swej książce, były Płockie, Podlaskie i Sandomierskie przeobrażające się nocą 22 stycznia w jeden rozległy plac boju, kiedy to kosy zetrzeć się miały z bagnetami i karabinami, a myśliwskie strzelby z armatami. Według jego obliczeń podczas tych pierwszych zmagań przeciwko 6000 Rosjan wystąpiło 4500 polskich powstańców i prawie wszędzie szala zwycięstwa przechylała się na stronę nieprzyjaciela. Polacy bili się zacięcie, z wielką determinacją, zwłaszcza na Podlasiu, gdzie nieznacznej sile polskiej 1500 „licho uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników" przyszło się zmierzyć z 5 tysiącami bagnetów wrogiej armii oraz z 32 działami gotowymi rozpocząć dzieło zniszczenia. Obok porażek i klęsk, które tej nocy spadły na polskie oddziały, mniej liczne i gorzej od rosyjskich uzbrojone, autor „22 stycznia 1863" ukazuje też bardziej śmiałe, a nawet brawurowe akcje zbrojne i wielkie akty odwagi powstańców, o czym świadczy chociażby scena, która rozegrała się w Białej Podlaskiej, gdy naprzeciw grupy sześćdziesięciu kilku spiskowych, którym rozdano kosy, siedem dubeltówek i cztery strzelby myśliwskie, stanęły na rynku miasta całe zastępy rosyjskie. Na ten widok kilkunastu żołnierzy polskich służących w baterii nieprzyjacielskiej manifestacyjnie porzuciło swe szeregi i dołączyło do powstańców.

„I ta drobna garstka – opisuje Piłsudski ten niezwykły moment konfrontacji obu sił – wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierza, przez parę godzin w trwożnym napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmiałków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnym spojrzeniem boa-dusiciela".

Paradoksalnie jednak to nie Rosjanie zahipnotyzowali polski oddziałek, ale sami powstańcy wprawili w osłupienie wroga, z chwilą gdy oczekujący bezskutecznie na posiłki Roman Rogiński, komisarz wojenny województwa podlaskiego, „ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską – przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa, skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc". Piłsudski wyeksponował moment tego zaskakującego manewru, podczas którego zapanowała absolutna cisza, tak że słychać było tylko „szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego". Była to utrzymująca w najwyższym napięciu dramatyczna chwila oczekiwania na najgorszy scenariusz, który jednak się nie spełnił, ponieważ zadziałał tu czynnik zupełnie nieoczekiwany dla wroga – czynnik psychiczny, objawiający się w nieugiętej, bezkompromisowej postawie ludzi gotowych na śmierć. Sytuacja, w której, jak mówi autor, „garstka prawie bezbronnych straceńców spokojnie defiluje przed najeżonymi bagnetami, to niewątpliwe zwycięstwo Polaków, dające się odczytać bardziej w kategoriach moralnych niż w aspekcie wyczynu militarnego, choć i takich w tym powstaniu nie brakowało. Piłsudski wymienia tylko niektóre z nich: w Kodniu na przykład Nencki (dawny zesłaniec na Kaukaz) rozgromił siły kilkuset Rosjan, a kilkunastu wraz z oficerem wziął do niewoli, podczas gdy reszta w bezładnym popłochu uciekła z miasteczka; w Łomazach szlachta zaściankowa z Huszczy rozbiła do szczętu szwadron ułanów, zabierając im rynsztunek i konie; w Łukowie natomiast ksiądz Stanisław Brzóska, który przejdzie do historii jako „ostatni partyzant Polski", przepędził z miasta dwie kompanie piechoty. Piszący podkreśla też wagę sukcesu polskich powstańców pod Ciołkowem, kiedy to oddziały Aleksandra Rogalińskiego, uzbrojone jedynie w dwie strzelby myśliwskie, kosy i kije, dały odpór siłom pułkownika Kozlaninowa, który padł w walce z rozpłataną głową. Uznawszy, że rola pierwszych zwycięstw przesądza o dalszych losach woj-

eprasa.pl 081494c15f

ny, Piłsudski dał wyraz temu przekonaniu już w „Zarysie historii militarnej powstania styczniowego", twierdząc, że w początkach każdej rewolucji, każdego powstania tkwi zalążek jego zwycięstwa, które determinowane jest czynnikiem wiary w powodzenie podjętego czynu. Wychodzi bowiem z założenia, że tam, „gdzie wiara jest poderwana, tam nie może być mowy o zwycięstwie. [...] Z chwilą, kiedy wiara została podcięta, kiedy pierwszy krok wykazał słabość, kiedy wszystkie pierwsze próby dają przewagę nieprzyjacielowi, wyjątkowe tylko wypadki i siła moralna dać mogły podniesienie moralne rewolucji".

Rekonstruując dramatyczne walki o Płock, Piłsudski ukazuje, jak jego mieszkańcy, pomimo ponoszonych nieustannie strat i oczekiwania na pomoc oddziałów powstańczych, czynili rozpaczliwe wysiłki, by opanować miasto, tym bardziej że miało się ono stać głównym centrum ruchu powstańczego. Mówiąc o przyczynach przegranej, wskazuje na chaos, jaki zapanował w polskich szeregach, chociaż była to jedyna bitwa, w której powstańcy swoją liczebnością przewyższali wroga. Relacja z przebiegu walki przynosi refleksję, że przełamanie oporu wymagało dłuższego wytrwania w ogniu i było zbyt trudne pod względem moralnym i organizacyjnym dla niedoświadczonych żołnierzy, którzy cofali się bez rozkazu, na własną rękę, uciekając w bezładzie. Nie pomogły nawet zintensyfikowane działania dowódcy Kazimierza Błaszczyńskiego „Bończy", który zdołał jeszcze doprowadzić do ataku na koszary rosyjskie. „Wkrótce stało się widocznym – konkluduje autor – że bez zewnętrznej pomocy i wlania przez to nowej energii w szeregi polskie, atak nie posunie się naprzód, że przeciwnie nawet, znowu nastąpi kryzys bojowy w duszy żołnierza, niezdolnego do dłuższej walki".

W ocenie Piłsudskiego walka wypowiedziana zaborcy w różnych częściach polskiej ziemi jednocześnie, mimo iż nie przyniosła Polakom upragnionego sukcesu, przerodziła się w wielką demonstrację wojenną – „demonstrację udaną, która najwidoczniej przegraną taktycznie bitwę zmieniała w duże strategiczne zwycięstwo".

„Zginęliśmy nie darmo"

Poświęcona pierwszym bojom styczniowym opowieść historyczna Piłsudskiego rodziła się w okresie poprzedzającym wybuch wielkiej wojny, w momencie intensywnej pracy nad rozwojem i umacnianiem ruchu strzeleckiego, z którego powstać miały przyszłe kadry wojska polskiego. Wtedy też czyn narodowowyzwoleńczy roku 1863 stał się dla Komendanta organizacji strzeleckich tematem o wielkiej aktualności politycznej, ponieważ Polacy, podobnie jak pół wieku temu, tak i teraz, w roku 1914, stanąć mieli w obliczu przerastającej ich siły wojny z Rosją. Rozważania na temat upadku powstania, jakich dokonał autor „22 stycznia 1863", doprowadziły go do przekonania, że niezbędnym warunkiem wygranej w kolejnej wojnie o niepodległość jest konsekwentne budowanie zaplecza zbrojnego i wyszkolenie żołnierza, który w sytuacji konfliktu międzynarodowego gotów będzie zmierzyć się z groźniejszym przeciwnikiem.

Należy też podkreślić, że Komendant czuł zawsze szczególną więź duchową ze swoimi poprzednikami z roku 1863 i nigdy nie należał do rzędu tych, którzy uważali styczniowy zryw jedynie za czyn szaleńczy, za niepotrzebny przelew krwi. Wyobrażał sobie, że gdyby stanęli przed nim ci dawni powstańcy, wówczas usłyszałby od nich zapewne to, co nieraz w duchu sam sobie powtarzał: „Zginęliśmy nie darmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może...". W jego przekonaniu dzieło Legionów wyrastało z etosu wartości roku 1863 i było świadomą kontynuacją drogi, na jaką wkroczyli bohaterowie pamiętnej nocy styczniowej. W żołnierzach odrodzonej Rzeczypospolitej upatrywał ich kontynuatorów, a o swych walecznych poprzednikach mówił dumnie i wzniośle już jako Naczelnik Państwa, oddając im cześć w rozkazie styczniowym z 1919 roku: „Pięćdziesiąt lat temu ojcowie nasi rozpoczęli walkę o niepodległość ojczyzny. Szli nie w lśniących mundurach, lecz w łachmanach i boso, nie w przepychu techniki, lecz ze strzelbami myśliwskimi i kosami na armaty i karabiny. Prowadzili wojnę rok cały, pozostając, jako żołnierze, niedoścignionym ideałem zapału, ofiarności i trwania w nierównej walce, w warunkach fizycznych jak najcięższych [...]. Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863 roku są i pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy".

Wobec tak wielkich zasług położonych dla ojczyzny przez bohaterów 1863 roku Naczelny Wódz wydał 21 stycznia 1919 roku rozkaz specjalny, na mocy którego do szeregów Wojska Polskiego przyjęto weteranów powstania styczniowego oraz byłych powstańców listopadowych i bojowników z okresu Wiosny Ludów. W ten sposób uczestnicy ostatniego zrywu narodowego zyskiwali prawo do stałej pensji państwowej, a ich znakiem rozpoznawczym w odrodzonej Polsce stały się charakterystyczne granatowe mundury z karmazynowymi wypustkami oraz czapki rogatywki ozdobione srebrnym orłem bądź biało-czerwoną kokardą. W grudniu 1919 roku specjalna komisja państwowa przyznała prawa weterana 3644 osobom, spośród których 59 żyjących odznaczono Orderem Virtuti Militari (1921), a zmarli i polegli uhonorowani zostali pośmiertnie przez prezydenta Ignacego Mościckiego Krzyżem Niepodległości z Mieczami (1933). ■

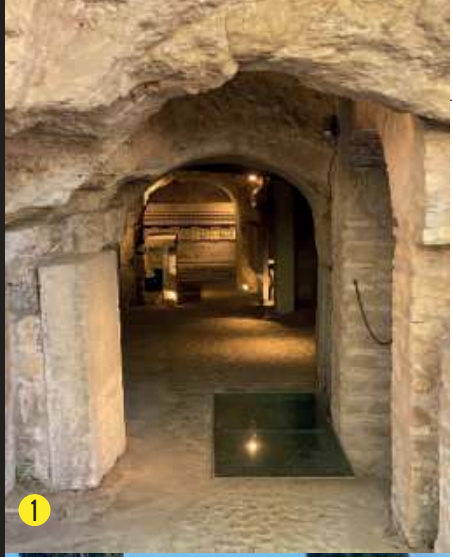
eprasa.pl 081494c15f

Śpią tam snem wiecznym Korneliusze Scypioni. Zdobywcy świata. Pogromcy Kartaginy. Spoczywający w nikomu nie znanym miejscu długie wieki, zostali przypadkowo odkryci przez dwóch księży pragnących powiększyć piwniczkę w swoim domu. Grobowiec Scypionów stoi przy najstarszej rzymskiej drodze – Via Appia.

Tomasz Łysiak



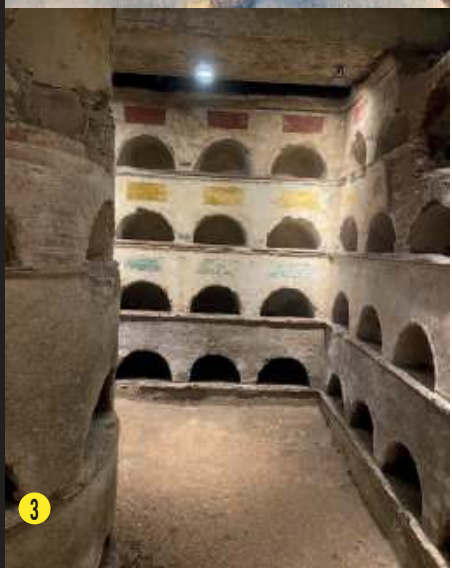
NOC PRZY GROBOWCU SCYPIONÓW



1



2



3

1. Wejście do grobowca Scypionów, w tle sarkofag Korneliusza Lucjusza Scypiona Barbatusa.
2. Via Appia Antica.
3. Kolumbarium przy grobowcu Scypionów.

eprasa.pl 081494c15f

Tej bramy już nie ma. Bo nie ma też już tych murów, które, jak mówi legenda, opasywały Rzym jeszcze za czasów królewskich – murów serwiańskich. Miał je stawiać Tarkwiniusz Stary, a kończyć jego następca Serwiusz Tuliusz, lecz w istocie powstały już za Republiki, na polecenie senatu, po najeździe Galów z roku 390 przed Chrystusem.

Niewiele pozostało z dawnego muru, więcej jest fragmentów tego późniejszego, wznoszonego przez cesarza Aureliana w latach 271–275. Spacerując po współczesnym Rzymie co chwilę widać jego wspaniałe pozostałości, można też przejechać samochodem lub autobusem przez jedną z majestatycznych bram – Porta Maggiore, Flaminia czy San Sebastiano. Te bramy przetrwały wszelkie zawieruchy i ciągle zachwycają turystów, ale Porta Capena nie istnieje. Stała kiedyś w miejscu, w którym spotykają się trzy rzymskie wzgórza – Palatyn, Awentyn i Celius. To tam, gdzie znajduje się Circus Maximus i obecny plac noszący jej imię, to zaś pochodziło od miasta Kapui – Porta Capena. W stronę Kapui bowiem prowadziła jedna z najstarszych dróg rzymskich, Via Appia, biegnąc aż do portu w Brindisi. Droga ta została wybudowana na polecenie cenzora Appiusa Claudiusa Caecusa (Appiusza Klaudiusza Ślepego) w roku 312 przed Chrystusem. Wspaniały efekt prac inżynieryjnych, podziwiany już przez starożytnych, kilkuwarstwowa droga, której górna powierzchnia ułożona była ze ściśle przylegających, płaskich kamieni, przetrwała do dzisiaj. Mogły się na tej „autostradzie" mijać swobodnie dwa wozy jadące w przeciwległych kierunkach. I była tak długa, że można było przy niej, jak to zrobili Rzymianie, równie „swobodnie" ukrzyżować sześć tysięcy niewolników, powstańców bijących się w trakcie rewolty Spartakusa.

Wszystkie drogi prowadzą z Rzymu

W każdym razie droga wzięła nazwę od Appiusza, jego imieniem nazwano także jeden z najstarszych akweduktów – Aqua Appia. Obecna brama świętego Sebastiana, przez którą wyjeżdża się z miasta wprost na antyczny już odcinek duktu, nosiła kiedyś także nazwę cenzora – mówiono na nią Porta Appia. My jednak nasze kroki postawimy wcześniej, idąc od strony owej bramy Kapueńskiej. Tu znowu, siłą wyobraźni, zobaczymy nieistniejącą już również świątynię – Aedes Honoris et Virtutis – świątynię Honoru i Cnoty, Odwagi. I wkroczymy na starożytną Via Appia, by ruszyć na południe, w stronę świata, w stronę Wielkiej Grecji. Omnes viae Romam ducunt („Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu") – mówi antyczne przysłowie. A przecież *de facto*, gdy pomyślimy o rzymskich traktach, to było właśnie na odwrót. Prowadziły „z Rzymu" na zewnątrz, były śladem i spoiwem nieustającej ekspansji i wzrostu, krwiobiegiem powstającego Imperium, którego Rzym był sercem i głową. Caput Mundi – głowa świata. Tak też nazywano Romę.

Jakaż piękna ta symbolika świątyni Honoru i Cnoty, ustawionej właśnie za główną bramą miejską. Zupełnie tak, jakby jej fundator Kwintus Fabiusz Maksimus ową świątynią, postawioną w roku 234 przed Chrystusem na pamiątkę zwycięstw nad Ligurami, chciał rzec do każdego, kto z Rzymu wychodzi lub do niego wchodzi – „pamiętaj o Honorze i Cnocie, gdyż tyko w ten sposób będziesz prawdziwie Rzymianinem".

Idąc dalej Via Appia miniemy Termy Karakalli, a gdy już w oddali ujrzymy bramę Sebastiana, nagle nasz wzrok przykuje przedziwnie wyglądające stanowisko archeologiczne. Oto po lewej stronie drogi widać pozostałości dawnej rzymskiej rodzinnej nekropolii, zaś nad nią... postawiony wiele wieków później budynek.

Niezwykłe odkrycie w XVIII wieku

W roku 1780 w Rzymie dokonano niezwykłego odkrycia. Dwaj księża, bracia Sassi, mieszkający w domu na niewielkim wzniesieniu tuż koło starożytnej Via Appia, postanowili powiększyć piwniczkę. Czy raczej „winniczkę", gdyż szukali miejsca do przechowywania wina. Wiedzieli już wówczas, że poniżej, pod podłogą domu, zapewne jest jakiś stary grobowiec. Nie spodziewali się jednak tego, co znajdą, gdy wbijali pierwszą łopatę w grunt i próbowali przebić się przez strop z tufu wulkanicznego za pomocą kilofa. Otóż dostali się oni w ten sposób do wnętrza olbrzymiego mauzoleum, do miejsca pochówku jednego z najsłynniejszych i najbardziej znaczących rodów w historii Republiki – rodu Korneliuszy, z odgałęzienia zwanego Scypionami.

Im dalej się zagłębiano w grobowiec, tym większe było zdumienie odkrywców, bowiem znajdowały się w nim sarkofagi wielkich starożytnych postaci. Przez tyle wieków, ba, grubo przez ponad millenium, nad grobowcem stał zbudowany już w III wieku kilkupiętrowy dom. Czy pierwsi właściciele zdawali sobie sprawę, na czym się tak naprawdę „pobudowali", tego nigdy się nie dowiemy. Ale przez te wszystkie setki lat, nad śpiącymi snem wiecznym Scypionami, toczyło się zwykłe życie rodzinne kolejnych pokoleń – jedzono tam obiady i kolacje, wywieszano pranie na sznurkach, a w ogrodzie przydomowym hasały wesoło dzieci. Ich stópki przebiegały tuż nad sklepieniem, pod którym, w kamiennych grobach leżeli Scypioni, śpiący snem wielowiekowej nocy....

eprasa.pl 081494c15f



Via Appia Antica – pocztówka z XIX wieku

Poza murami

Grobowiec został wybudowany najprawdopodobniej przez najstarszego z rodu Scypionów, czyli Lucjusza Korneliusza Scypiona Brodatego – konsula z roku 298 przed Chrystusem. Lub przez jego syna. Został wkomponowany w taki sposób w niewielki pagórek, by jego frontowa ściana zwrócona była w stronę Porta Capena, w kierunku północno-zachodnim. W niewielkich niszach, nad położonymi niżej wejściami do grobu, stały posągi. Jednak fasada, sprawiająca wrażenie, że za nią, za owymi niszami i rzeźbami jest jakiś budynek, miała jedynie funkcję dekoracyjną. Z tyłu było tylko zbocze wzgórza i wykuty w skale grób. Kierunek zwrócenia grobowca jest tu ważny – widział go każdy, kto wyruszał w drogę z Rzymu. Podróżny zmierzający do miasta, po minięciu mauzoleum musiał się obrócić przez prawe ramię, by na niego spojrzeć. A zatem myśl o tym, że droga prowadzi „z" miasta, a nie „do" niego, wydaje się uprawniona. Czemu zbudowano go właśnie przy drodze? Ano z tego względu, że prawo rzymskie, zapisane na słynnych dwunastu tablicach i regulujące życie republikańskiego Rzymu, mówiło, że zmarłych nie wolno chować w obrębie murów miejskich. Jeśli dzisiaj zwiedzamy mauzoleum Scypionów pomiędzy murami serwiańskimi i aureliańskimi, to tym bardziej pozwala nam to datować grób na okres przed wybudowaniem drugiego, nowszego systemu murów miejskich.

Spotkanie czasów i przestrzeni

Odnaleziony grobowiec wzbudził szerokie zainteresowanie archeologów, naukowców i ludzi kultury już od początku. Był akurat w owym roku w Rzymie Alessandro Verri, który tak mocno przeżył chwile, w których dane mu było ujrzeć wyłaniające się sarkofagi, że motyw grobowca umieścił w swojej książce „Noce rzymskie u grobowca Scypionów", wydanej w 1782 roku. Pisał o krokach, które stawiał, idąc w stronę wejścia do mauzoleum, o bieli marmurów i wydobywanych kości oraz o chciwych sensacji oczach gapiów, przechodniów i pielgrzymów. Dokonywało się niezwykłe spotkanie czasów i przestrzeni, krzyżowały się spojrzenia i rzeczywistości. Milczący Scypioni byli bezbronni wobec rąk robotników, wobec uderzeń młotków i łopat. Zostali wywleczeni z mroku rzymskiego do światła współczesności. A najważniejszego z nich można „spotkać" dzisiaj w Muzeach Watykańskich. Drzemie tam ukryty pod płytą sarkofagu wyciągniętą w górę w trakcie wykopalisk i przeniesioną do muzealnych przestrzeni na polecenie papieskie. Turyści rzadko zatrzymują się przy owym elogium, ustawionym w przejściu do sal z rzeźbami antycznymi. A tymczasem sarkofag ten z napisem wyrytym na płycie, to jeden z najważniejszych śladów zostawionych przez dawnych Rzymian, jedno z najstarszych pisanych źródeł do historii Republiki! Niektórzy twierdzą, że najstarsze.

Służba dla państwa

Elogium, pisane zresztą rzymskim wierszem, zawiera tekst stanowiący opis życia i kariery fundatora mauzoleum. Brzmi on: „Korneliusz Lucjusz Scypion Brodaty, z Gneusza zrodzony, dzielny mąż i rozumny, którego postać cnotom jego dorównywała. Konsul, cenzor i edyl wśród naszego ludu, Taurazję, Cyzaunę, Samnium zdobył. Podbił całą Lukanię, zakładników pojmał". Tekst był ułożony i napisany przez przodków, którzy chcieli ukazać swego „pater familiae" w jak najlepszym świetle. Wedle historyków starożytności „Barbatus" Samnitów raczej nie pokonał, bo Liwiusz pisze co innego. Ale nie na tym skupia się oko i wrażliwość. Chodzi o coś zupełnie innego. Oto w tym najstarszym „mini-życiorysie" Rzymianina zawartych jest kilka fundamentalnych pojęć i spraw. Mamy tam opis jego „cursus honorum" – czyli służby dla państwa rzymskiego na kolejnych urzędach. Słowo „honorum" odnosi się tu do „honosu, honoru" – czyli czci, sławy zdobywanej na polach bitewnych. Obok mamy „virtus" – cnotę odwagi. Ta zaś jak bliska jest słowu „vir", czyli mężczyzna. Jednym słowem „vir", czyli „mąż, mężczyzna", winien pielęgnować cnotę „virtus" (czyli odwagi, mężności"). Te same związki znajdziemy w polszczyźnie – bycie mężczyzną, to bycie mężnym, od-

eprasa.pl 081494c15f



ważnym. A cielesność Lucjusza Scypiona (co było wspomniane w wyrytym tekście) szła w parze z jego zaletami duchowymi. *Mens sana in corpore sano* – w zdrowym ciele zdrowy duch.

...nie będziesz mieć moich kości

Gdy wchodzi się do mauzoleum Scypionów głównym korytarzem wyżłobionym w tufowej skale, w jego krańcu widzi się okazały grobowiec Scypiona „Barbatusa". Ale są tam też inne – choćby jego syna, konsula z roku 259 przed Chrystusem, na którym znajduje się równie ciekawy opis drogi życiowej. Idąc śladem ojca, był konsulem, cenzorem, edylem. W wierszu saturnijskim czytamy: „O nim samym jest zgoda wśród większości Rzymian, iż był najlepszym z optymatów: Lucjusz Scypion, syn Barbatusa. [...] Zdobył Korsykę i miasto Aleria".

Czy w mauzoleum znajdziemy jednego z najsłynniejszych Scypionów, Publiusza Korneliusza, który zyskał przydomek „Afrykański", po tym, gdy pokonał Hannibala pod Zamą? Nie. Wszakże po oskarżeniu o korupcję wycofał się z Rzymu, krzycząc „Ingrata patria, ne ossa quidem mea habes" – „Niewdzięczna ojczyzno, nie będziesz mieć nawet moich kości!"... Zmarł w Liternum, w Kampanii, w roku 183 przed Chrystusem. Ale pochowany był tu Scypion Azjatycki, dowódca wojsk rzymskich w bitwie pod Magnezją. Oraz ten ostatni ze słynnych – Scypion Emilianus o przydomku Afrykański Młodszy. To on dokończył dzieła i zniszczył do szczętu Kartaginę w roku 146 przed Chrystusem. Ponoć płakał, gdy patrzył na jej upadek – jak zanotował Polibiusz, doradca i prawa ręka Scypiona. Miał oto ronić łzy, wiedząc, że właśnie przykłada ręki do zamknięcia jakiegoś rozdziału w dziejów, że oto kończy się coś bezpowrotnie, obraca w pył. I może z tego względu, iż przeczuwał, że kiedyś ten sam los spotka jego Rzym...

Krzyż, krzyż, krzyż

Gdy wyjdzie się z mauzoleum i minie kolumbarium (miejsce pochówków z niszami na prochy i urny), można ruszyć Via Appia Antica na południe, w stronę Kapui i Brundizjum. Jeden za drugim nasz marsz będą odmierzać kamienie milowe. Odnajdziemy na tej drodze olbrzymi grobowiec Cecylii Metelli, grobowce rodzin rzymskich, a nawet popatrzymy w twarze niektórych z nich. Oto na grobie rodu Rabirich ujrzymy, jak małżonkowie – utrwaleni na wieki w kamieniu – trzymają się za ręce. Przy grobowcu Seneki myśl nasza uleci do czasów Nerona i wymuszonego samobójstwa myśliciela. Ale też przy tej samej drodze znajdziemy i kościółek zwany Quo Vadis, w miejscu którego św. Piotr miał zobaczyć Chrystusa zmierzającego do Wiecznego Miasta. „Dokąd idziesz, Panie?" – pytał w powieści Sienkiewicza apostoł. „Do Rzymu, by tam mnie ponownie ukrzyżowano" – odpowiedział Zbawiciel. Henryk Sienkiewicz w innej swej książce świetnie spuentował to, co stało się z Rzymem w ciągu wieków – fakt, iż na pogańskim świecie, w centrum świata starożytnego, w ośrodku pogańskich bóstw, zaczęła wyrastać nowa, prawdziwa wiara. Na ruinach Rzymu wznosił się Kościół – dziedzictwo św. Piotra. Napisał: „Niech pani sobie wyobrazi tamtą potęgę, cały świat, miliony ludzi, żelazne prawa, siłę, jakiej nigdy przedtem ani potem nie widziano, organizację, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władnące światem, i ten tam oto Palatyn, władnący miastem, zdawałoby się, że żadna moc ziemska tego nie obali – tymczasem przychodzi dwóch z kraju żydowskiego, Piotr i Paweł – nie z bronią, lecz ze słowem i patrz pani – i tu ruina, na Palatynie – ruina, na Forum – ruina, a nad miastem: krzyż, krzyż, krzyż". I Połaniecki rzekł: „Tak, w tem tkwi coś nadludzkiego. Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc".

Warto więc zawrócić od Seneki i Rabiriów. Od Metelli i grobowca Kwintusa Apulejusza. By minąć kościół św. Sebastiana. I kościół Quo Vadis. I iść Appia Antica, mijając Scypionów. Przejść nieistniejącą Porta Capena. Obejść Circus Maximus. Minąć Forum Boarium i Teatr Marcellusa, przejść obok resztek Teatru Pompejusza i Largo Argentina. By dojść. Dojść do Mostu Anioła. Stanąć nad brzegiem. Najlepiej o świcie. I za Tybrem, w oddali, ujrzeć wielką kopułę bazyliki Świętego Piotra, wzniesioną dokładnie w miejscu, w którym pochowano apostoła. Słońce pozłoci drogę. Najpiękniejszą drogę. ■

eprasa.pl 081494c15f

Piotr Lisiewicz

O mentalności niewolniczej, o wyśmiewaniu romantyzmu, wreszcie o znaczeniu słowa drukowanego w walce o duszę narodu – fragmenty pism Marszałka Józefa Piłsudskiego na ten temat przedrukowujemy dziś w dziale Retrospekcje. Zaczynamy do „Listu do Feliksa Perla", o którym rozmawiam dziś z prof. Wojciechem Roszkowskim. To z niego cytat zmyślił bowiem Donald Tusk. Tymczasem przesłanie listu jest odwrotnością tego, jakie chciał mu przypisać lider PO. Piłsudski pisał te słowa, licząc się z tym, że może zginąć w czasie napadu na rosyjski pociąg w Bezdanach. Drugi tekst to fragment przemówienia Marszałka w 10. rocznicę powstania Legionów. To kpina z tych, którzy wyśmiewali Legiony za romantyzm i używają określenia „romantyczny" jako synonimu słowa „głupi". I dziś takich nie brakuje. Wreszcie trzeci fragment to zakończenie „Bibuły" Piłsudskiego z roku 1903, traktujące o czymś jednocześnie nieuchwytnym, a niesłychanie ważnym jak dusza narodu, język i prawo do prawdziwej informacji i wiedzy o własnym narodzie. Wszystko to wydaje się dziś niezwykle aktualne.

List do Feliksa Perla

Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem i nahajką.

Do Felka
lub tego, co mój nekrolog pisać będzie.

Mój Drogi! Niegdyś obiecywałeś mi, że napiszesz śliczny nekrolog, gdy diabli mnie wezmą. Teraz, gdy idę na wyprawę, z której może nie wrócę, posyłam Ci swoją kartkę, jako nekrologiście, z małą prośbą. Nie idzie mi, naturalnie, o to, bym ci miał dyktować ocenę mojej pracy i życia – nie! – masz pod tym względem zupełną swobodę, proszę tylko o to, byś nie robił ze mnie „dobrego oficera lub mazgaja i sentymentalistę...", tj. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej. Teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie – te mazgajstwa i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył – takie to słabe i beznadziejne! Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja

eprasa.pl 081494c15f

nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem i nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa.

Ostatnią moją ideą, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partii, a tym bardziej naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu „humanitarystów" określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku) funkcji przemocy brutalnej. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zginę. Zrobiłem już dosyć dużo w tym kierunku, ale za mało, by móc wypocząć na laurach i zająć się serio przygotowaniem bezpośrednim do walki, i teraz stawiam siebie na kartę.

I jeszcze parę słów o tym. Wiesz, że jedynym wahaniem moim jest, że oto ja zginę przy ekspropriacji i ten fakt chcę wyjaśnić. Pierwsze – to sentymentalizm. Tylem ludzi na to posyłał, tylem przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że ich wódz nie gardził ich robotą, nie posyłał ich jedynie jako narzędzia na brudną robotę, zostawiając sobie czystą. To raz. Drugie – to surowa konieczność. Moneta! Niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak, jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u zdziecinniałego z tchórzostwa społeczeństwa polskiego, bo przecie jej nie mam, a mieć muszę dla celów zakreślonych. Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą, i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólno-narodowej, podkreślić tę gorzką bardzo prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim. No, to tyle. A teraz buzi, chłopcze, Tobie i wszystkim Wam, starzy druhowie, z którymi się przemarzyło tyle, przeżyło jeszcze więcej i kochało się dobrze.

Twój i ich.
Ziuk.

_____
Przedruk za: „List do Feliksa Perla", 1908 r.

W dziesiątą rocznicę powstania Legionów

A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa „romantyczny" po prostu jako „głupi", pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak na pamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią napamięć utwory „romantycznego" Mickiewicza.

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiadanej a głęboko dla mnie zabawnej opinji o czynie legjonowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznem interpelowaniem słowa „romantyczny". Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszem, najbardziej używanem określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskiem. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznem. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata; okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnó-

eprasa.pl 081494c15f

stwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczoną jego wielkiem imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 63-go r., słowo „romantyczny" nabrało jakiegoś dziwacznego charakteru, zaczęło oznaczać poprostu „głupi".

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania napamięć wierszy „romantycznego" wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa „romantyczny" poprostu jako „głupi", pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak napamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią napamięć utwory „romantycznego" Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinji polskiej i używać słowa „romantyczny" jako „głupi". Jest zwyczajem nazywać grzecznie „romantycznym" tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz „romantycznym". „Romantyczny", to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a naprzykład kosmyk włosów matki!

I takiem właśnie romantycznem dzieckiem mieliśmy być my, legjoniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegóż chcieli legjoniści? Poco wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód stawianych im w tem nietylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych" Polaków, – błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, któremi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legjonów z pracą ich krytyków. Z pracą tych „nieromantycznych"! Chcieli oni, siedząc na ręku matki – państw zaborczych – mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na „romantyczne" a zatem głupie główki legjonistów, pomyśleć o własnej „romantyczności" i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć o swojej nieumiejętności orjentacyjnej, która w 1914-ym r. zmusiła szanownych krytyków do błądzenia pomiędzy trzema sosnami zaborczemi, do czepiania się każdej z nich pokolei, i do tracenia często przytem dużo zdrowia moralnego.

Sz. Panie i Sz. Panowie! Kończę, prosząc zawsze o jedno. Spróbujmy spokojnie odnieść się do faktów, które się działy ongiś. Spróbujmy sobie spokojnie powiedzieć: grzechy, zrobione przy wybuchu wojny przez wielu Polaków, głupota, ongiś przez nich wykazana, nie upiększają, być może, historji naszej Ojczyzny, – działo się to jednak tak dawno, a my sami przeżyliśmy tyle zmian, że, doprawdy, nie warto o tych wypadkach tak dużo kłamać. Nie warto na nasze polskie imię narzucać tyle fałszu i tyle bezecnego łgarstwa, aby, jak to mi niegdyś mówił jeden z wielkich ludzi tego świata, Polak i łgarz było zwyczajnym synonimem. Nie warto pracować tak usilnie fałszem, aby słowom i określeniom polskim nie chciano nigdzie dawać wiary. Na nasz czyn legjonowy narzucono niewiadomo dlaczego tyle śmieci, tyle brudu i tyle kłamstwa, tylu ludzi pragnęło być „auch ein wenig" legjonistami, jak gdyby chciano ciągle i dalej stwierdzać, że byłoby najlepiej dla Polski, gdyby w niej nie było ani jednego wyjątku i wszyscy Polacy w chwili, gdy godzina dla nas na dziejowym zegarze biła, poddali się bez zastrzeżeń woli, nakazowi, żądaniom i nawet kaprysom swoich zaborców. Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli, niewoli upokarzającej Polaków i Polskę? ■

> Czegóż chcieli legjoniści? [...] Chcieli dać Polsce żołnierza. [...] Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, któremi Polska może się szczycić.

———

Przedruk za: „W dziesiątą rocznicę powstania Legionów", 1924 r.

eprasa.pl 081494c15f

Bibuła

Tym polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski.

Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postępami, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacyi i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historyi swego narodu; dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którem stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce – a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nieodpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczy", żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko – tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swem łonie wytwarza, jak i inne szczęśliwsze narody, stronnictwa i partye, żyje skomplikowanem, nowoczesnem życiem politycznem, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane – bibuła. [...]

Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pętami cenzury słowa, to przedewszystkiem ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich – demokratów – i na innem polu, polu, które tak długo, niestety, odłogiem u nas leżało. Tym polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna. A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i teraźniejszości — ciemnota i niewola, knut najezdnika i interes wyzyskiwacza — sprzysięgły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że „lud drga i szumi jak fala wód", to zawdzięczać to należy „gorącemu oddechowi słowa", słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. ■

I OTO, JAKO DOWÓD TEGO ŻYCIA, WYTWARZAMY WSPANIAŁE ZJAWISKO – TAJNĄ, NIELEGALNĄ LITERATURĘ.

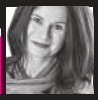
_____

Przedruk za: „Bibuła", 1903 r.

eprasa.pl 081494c15f

Z PASZCZY LWA DO SEKRETÓW BALDUNGA

Olga Doleśniak-Harczuk



600 lat historii, sztuki i kultury europejskiej – tak reklamuje się Germańskie Muzeum Narodowe w Norymberdze, mieście Albrechta Dürera i Wita Stwosza, będące jednocześnie największym muzeum sztuki w niemieckojęzycznym obszarze językowym. Podobnie jak w kolońskim Muzeum Wallrafa powinni się tu poczuć w żywiole miłośnicy średniowiecza, zauroczeni niemieckim Spätgotikiem, rzeźbą od średniowiecza po klasycyzm, bronią, sztuką użytkową, dawnymi strojami, romańskimi witrażami, instrumentami dawnymi, przyrządami naukowymi z najstarszym globusem Martina Behaima na czele czy sztuką funeralną baroku. Słowem – każdy powinien móc wybrać coś dla siebie spośród 1,3 mln obiektów zgromadzonych w gotycko-modernistycznym kompleksie muzealnym przy Kartäusergasse 1. Ja jak zawsze wpierw zapadłam się w malarstwo późnego średniowiecza i renesansu. A tam czekali Cranach i Baldung.

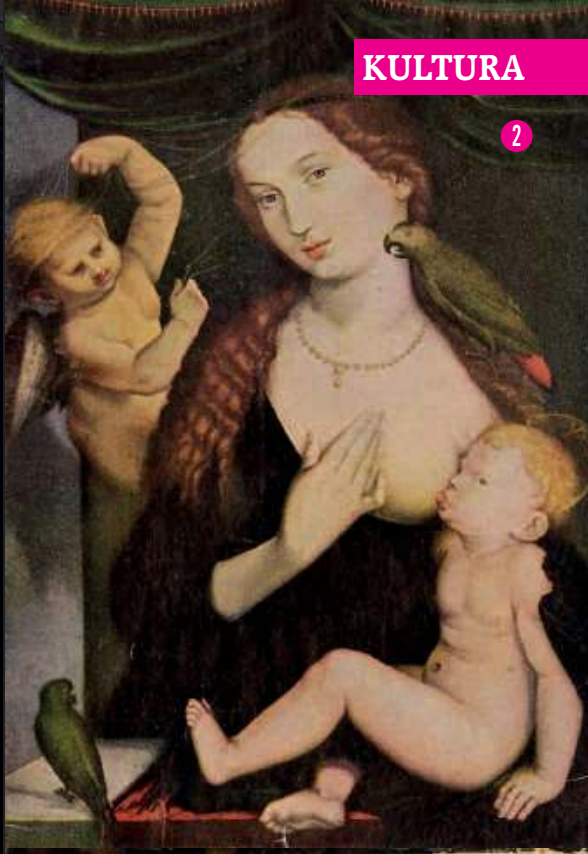
1. Hans Baldung Grien „Judyta z głową Holofernesa", 1525
2. Hans Baldung Grien „Maryja z Dzieciątkiem i papugami", 1533
3. Lucas Cranach Starszy „Wenus z Amorem, złodziejem miodu", około 1537

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 081494c15f



1



2



3

Rudowłosa kobieta w ciężkiej, butelkowozielonej sukni wkłada dłoń w paszczę lwa. Drugą dłonią trzyma się dość desperacko szat brodatego mężczyzny w kostiumie błazna. Zgromadzeni wokół mężczyźni z napięciem patrzą w stronę lwiej paszczy, zaś kobiety trzymają się w bezpiecznej odległości, na ich twarzach można dostrzec pobłażliwy uśmiech. Za chwilę zostanie wydany wyrok. Jeżeli lew odgryzie dłoń niewiasty, będzie to oznaką jej wiarołomności. Zwierzak spełnia tu bowiem rolę „Ust prawdy" (wł. Bocca della Verità, niem. Mund der Wahrheit), antycznego reliefu przemianowanego w średniowieczu na probierz prawdomówności lub oldschoolowy detektor kłamstwa. Żaden kłamca nie ujdzie sprawiedliwości marmurowego bóstwa, a rudowłosa piękność nie bez przyczyny trzyma białą dłoń między lwimi kłami. Czy ją straci?

Zamiast żmii

Postacie na obrazie Lucasa Cranacha Starszego zastygły w oczekiwaniu na krwawy finał. Legenda o rycerzu (mająca swe źródła już u Wergiliusza), który podejrzewając swą małżonkę o zdradę z woźnicą, zabiera ją w pokutną podróż do Rzymu, by tam dowiodła swej niewinności, wkładając dłoń w paszczę metalowej żmii. Jeżeli jest winna zdrady, żmija to wyczuje i niewierna pożegna się z kończyną. Bohaterka tej historii wykazuje się refleksem i bezczelnością, poleca woźnicy przebrać się w szaty błazna i przysięga przy żmii, że „nie miała z woźnicą więcej do czynienia niż z tym błaznem, którego tu i teraz trzyma za kaftan". I dłoń uratowana... Jak głosi legenda, konstruktor żmii wyposażonej w radar kłamstwa zniszczył swe dzieło, widząc, że kobieta użyła podstępu. Cranach wolał lwy, to jasne nie od dziś, paszcza lwa zastąpiła więc żmijową. Morał jednak ten sam: panowie, uważajcie na rudowłose dziewczyny o migdałowych oczach albo coś w tym duchu. Tak czy inaczej kobiety Cranacha obcinały już głowy Holofernesowi i św. Janowi, wsunąć dla nich dłoń w paszczę lwa to rutyna.

A jak pisze w eseju dotyczącym „Kobiecej władzy i sprytu" historyk sztuki Sabine Lata, w malarstwie późnego średniowiecza i wczesnego renesansu temat przebiegłości i władzy niewiast stanowił jeden z najchętniej eksploatowanych w sztuce dworskiej. Zresztą niemałe zasługi dla popularyzowania tej gałęzi (zwłaszcza męskich) zainteresowań miał włoski dominikanin Antonin Pierozzi, święty Kościoła katolickiego, autor dzieła „Summa moralis", gdzie pojawia się m.in. „Alfabet złych kobiet", a wśród najgorszych przywar i grzechów jest i kobieca przebiegłość. O tym, że ta przebiegłość do dziś potrafi sporo mężczyzn kosztować, dowiodła w 2015 roku aukcja drugiego obrazu Cranacha poświęconego temu samemu motywowi. Dom aukcyjny Sotheby's wylicytował 9,3 mln funtów za lwi test numer 2, nabywcą miał być Amerykanin, który o przebiegłą rudowłosą walczył, zdecydowanie jak lew, z chętnym do zakupu Chińczykiem.



Lucas Cranach Starszy „Legenda o Ustach Prawdy", 1534

FOT. WIKIPEDIA

Bezlitosny i czuły

U Cranacha motyw kobiecej władzy, przebiegłości widzimy również w przedstawieniu tzw. nierównej pary, czyli starca z młodą dziewczyną, której kocio przymknięte oczy zdradzają (przynajmniej zdaniem znawców tematu) nieczyste zamiary względem sędziwego oblubieńca. Ale motyw władzy jest też obecny, choć już inaczej, na obrazach przedstawiających Wenus z Amorem ujądlonym przez pszczoły, gdzie naga i powabna bogini grozi palcem zbolałemu Amorowi w myśl maksymy, że za każdą słodką chwilę zapomnienia słono się płaci. Też jeden z ulubionych zabiegów malarzy epoki. I nieprzypadkowo

eprasa.pl 081494c15f



w sąsiedztwie „Legendy o ustach prawdy", a raczej wariacji na temat w wykonaniu Cranacha, umieszczono właśnie Wenus z Amorem jako złodziejem miodu. A tuż obok groźną Judytę z głową Holofernesa, ale już nie Cranacha, tylko Handa Baldunga Grien, ucznia Albrechta Dürera (spędził w warsztacie mistrza 5 lat, historycy sztuki wskazują, że Baldung musiał cieszyć się uznaniem Dürera, skoro po śmierci A.D., przesłano mu kosmyk jego włosów), ale pozostającego w późniejszym okresie pod dość silnym wpływem Matthiasa Grünewalda („Siedem etapów z życia kobiety" Baldunga z 1544 roku przypomina o fascynacji realizmem, z jakim Grünewald malował ludzkie ciało; jest to chyba zresztą jeden z najbardziej bezlitosnych dla niewiast obraz w historii sztuki, obraz można podziwiać w Lipsku; był ostatnim w życiu malarza). Judyta Baldunga jest ciężka, groźna, ze splecionymi mocnymi nogami, jakby sam wąż oplótł się wokół rajskiego drzewa. Judyta emanuje siłą, jest przeciwieństwem innej Baldungowej bohaterki – dziewczyny trzymanej za włosy kościstą ręką śmierci namalowanej osiem lat wcześniej. A naprzeciw Judyty wisi jeszcze inny obraz Baldunga potwierdzający frazę, że z równą swobodą poruszał się on w sferze sacrum, co profanum. Raz malował święte, raz czarownice, po aktach brał się za zamówienia dla katolickich klientów, by za chwilę znowu wrócić do swoich wiedźm i ich męskich ofiar.

▶ Sztuczność zamierzona?

Obraz wiszący vis-a-vis ściany z Baldungową Judytą i rudowłosymi Cranacha przedstawia „Madonnę z Dzieciątkiem i papugami". Dzieciątko siedzi na kolanach Maryi, jest karmione, ale jednym oczkiem bystrze obserwuje otoczenie. Madonna jest piękna, kasztanowłosa, o bladej karnacji, spowita w ciemną zieleń (ulubioną barwę artysty), patrzy łagodnie, ale z pewnym zaciekawieniem, Dzieciątko zaś z czujnością. Temu wizerunkowi Madonny zarzuca się sztuczność, zwłaszcza że jest tak dojmująco inny niż inne Madonny malowane przez ucznia Dürera. Baldung namalował ten obraz w 1533 roku w Strasburgu, mieście już wcześniej uważanym za centrum ruchu reformacyjnego. Jak czytamy w opisie załączonym do obrazu: „W latach 1526–1530 warunki [w Strasburgu] uległy pogorszeniu: zniesiono mszę i całkowicie usunięto obrazy, wcześniej usuwano tylko te uznawane za haniebne. Na tym tle przedstawienie karmiącej Maryi było o tyle ryzykowne, że motyw ten uznano za jeden z najbardziej nagannych. W Strasburgu obrazy Maryi, takie jak obrazy norymberskie Baldunga, oznaczały obrazę: na przykład w 1541 roku eksperci sztuki zostali wysłani do warsztatu strasburskiego malarza Josta Kriega von Barra, by zbadać jego obrazy. Gdyby te przedstawiające Matkę Boską okazały się »haniebne i z motywem nagości«, z miejsca by ich zakazano. Powstaje zatem pytanie, czy poreformacyjne obrazy Madonny Baldunga nie powinny być traktowane jako próba negocjacji z siłami reformacji, by ocalić temat malarski, który stanął w ogniu krytyki, a który jest przecież centralnym dla tradycji. Sztuczność, z którą namalował obraz Madonny, zdaje się to sugerować, nawet jeśli taka interpretacja nie może być poparta źródłami historycznymi. Należy się zatem zastanowić, czy Baldung nie służył raczej takimi dziełami ekskluzywnemu kręgowi starobrzędowców. Jako potomek rodziny uczonych z wpływowymi koneksjami rodzinnymi na dworze habsburskim i uniwersytecie we Fryburgu, który pozostał katolicki, najwyraźniej zapewnił sobie bazę klientów, którą nadal zaopatrywał w obrazy, nawet po reformacji". A zatem przebiegły jak Baldung? W pewnych okolicznościach i ta cecha nabiera zupełnie innego sznytu. ■

eprasa.pl 081494c15f





Krzysztof Karnkowski

Nie tylko rodzinne dramaty

Jesień to od kilku lat czas, w którym na chwilę w warszawskich, a coraz częściej nie tylko stołecznych, kinach pojawiają się w większej liczbie azjatyckie produkcje filmowe. Tegoroczny sezon otworzyła kolejna, ósma już edycja Warsaw Korean Film Festival. Dość nietypowo jedną z ważniejszych projekcji imprezy był pokaz filmu „Baby Broker”.

eprasa.pl 081494c15f

W 2013 roku, przede wszystkim dzięki zauważeniu i docenieniu na festiwalu w Cannes, również u nas, głośno było o filmie Hirokazu Koreedy – „Jak ojciec i syn". Japoński reżyser pokazał w nim historię dwóch małżeństw, które po kilku latach dowiadują się, że wychowują zamienione w szpitalu dzieci. Koreeda, wraz ze swymi bohaterami, szukał odpowiedzi na pytanie, czy czyimś dzieckiem lub rodzicem jesteśmy tylko ze względu na więzy krwi, czy też znaczenie mają także relacje wynikłe ze szczęśliwego bycia razem – wspólnego życia, zabaw, wychowania, stworzonych pomiędzy dziećmi i dorosłymi relacji rodzicielskich. „Jak ojciec i syn" był filmem ciepłym, opowiadającym o zwykłych, dobrych i chcących dobrze osobach, postawionych w zaskakującej dla nich sytuacji i szukających z niej wyjścia, stworzonym – co cenne i ważne – z życzliwością dla bohaterów, ich emocji i rozterek. To, co normalne, jest w filmie – czy szerzej: w sztuce – dobrem rzadkim, zwłaszcza na Zachodzie, zapewne stąd w dużej mierze bierze się zachwyt nad tymi produkcjami z dalekiej Azji, które, traktowane jak egzotyka, pokazują nam na nowo normalność, stającą się tym samym dobrem importowanym. Był to więc film dobry w znaczeniu podwójnym, równocześnie dobrze zrobiony i poprowadzony, jak i dobry swoim przekazem.

Koreeda bardzo lubi motyw relacji rodzinnych i relacji dorosłych z dziećmi, wreszcie zmianę dynamiki relacji tych pierwszych w wyniku nowych okoliczności z dziećmi związanych. Wokół tego tematu kręcił się kolejny wielki i doceniony na wielu festiwalach przebój Japończyka, nakręcone w 2018 roku „Złodziejaszki". Co ciekawe, do tego filmu często porównywano późniejszy światowy hit azjatyckiego kina, głośny dramat „Parasite" Joon-ho Bonga z 2019 roku. Wygląda na to, że sam Koreeda postanowił pójść tym tropem.

▶ Ni to paczka, ni trupa, ni rodzina

„Baby Broker" powstawał w Korei, a jedną z głównych ról reżyser powierzył Ho-Song Kangowi, czyli ojcu rodziny z „Parasite" Bonga. Z kolei jedną z ważnych, choć drugoplanowych ról odgrywa inna koreańska gwiazda światowego formatu, Doo-na Bae, która u Japończyka kilkanaście lat temu zagrała ożywioną plastikową lalkę w filmie „Air Doll". Jednak główną postać kobiecą gra tutaj IU, koreańska aktorka i piosenkarka młodego pokolenia, która zresztą również miała okazję spotkać się z Bae na planie etiudy składającej się na cykl „Persona", dostępnej na Netfliksie. IU swą karierę rozpoczęła jako 15-latka i od tamtej pory podbija sceny i plany filmowe Korei Południowej. Uwielbienie wobec niej czasem przyjmuje też mniej sympatyczne formy, dość wspomnieć, że jako prawdopodobnie pierwsza gwiazda z tego kraju padła ofiarą technologii „deep fake" – twarz dziewczyny została cyfrowo wklejona w film pornograficzny, rozpowszechniany później w internecie.

Tyle o wybranych odtwórcach głównych ról, którym zresztą partnerują inni aktorzy z koreańskiej pierwszej ligi. Pora opowiedzieć coś więcej o samym filmie. Podstawowe składniki, typowe dla Hirokazu Koreedy, są tu oczywiście zachowane. Młoda dziewczyna So-young (IU) zostawia swoje dziecko przy oknie życia ośrodka prowadzonego przez księży. Nie wie, że równocześnie obserwowana jest przez dwie policjantki i przez handlarzy dziećmi, którzy zabierają porzucone maleństwa i dostarczają je za sporą opłatą zdesperowanym parom. Dzień później So-yeong męczona wyrzutami sumienia wraca po dziecko, ale tego nie ma w ośrodku, nie ma też po nim śladu. Trafia jednak do handlarzy, starszego (Ho-song Ko) i młodszego (Don-wong Gang), by... razem z nimi szukać jak najlepszych nowych rodziców dla swojego synka, któremu sama nie czuje się na siłach zapewnić godnego życia. Porywacze i sprzedawcy dzieci okazują się zresztą tak naprawdę ciepłymi ludźmi z własnymi historiami, osadzonymi w świecie sierocińców, rozczarowań i biedy. So-yeong – prostytutka, która urodziła dziecko klienta, a ojca tegoż dziecka zamordowała, będąc w tym związku równocześnie katem i ofiarą – znajduje z handlarzami wspólny język. W dalszą drogę w poszukiwaniu kupców-rodziców ruszają więc już razem, coraz bardziej ze sobą zżyci i zaprzyjaźnieni, ścigani przez policjantki i niezbyt umiejętnych gangsterów, mających tu własne porachunki.

W ich ekipie znajdzie się ktoś jeszcze, a całość stanie się, jak to u Koreedy, ni to paczką, ni to trupą, ni to rodziną. Przy czym nie jest to też – tyle chyba mogę napisać – film nihilistyczny czy demoralizujący, wręcz przeciwnie, chodzi raczej o unikanie zbyt pochopnych ocen. I stąd pewnie, jak i z tego typowego dla niego dostrzegania w bohaterach ludzi, wzięła się otrzymana w Cannes główna nagroda menu ekumenicznego. Dodajmy, że Ho-song Kang został na tym samym festiwalu doceniony jako najlepszy aktor. Niestety, jak prawie zawsze u nas bywa, dystrybucja kinowa kuleje i nie wiem, czy po ukazaniu się tego

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 081494c15f

tekstu „Baby Broker" będzie jeszcze do obejrzenia na dużym ekranie, na pewno trafi jednak na streamingi, więc okazja na pewno się znajdzie.

▶ (Nie)banalna historia

Oczywiście obok filmu Koreedy na festiwalu kina koreańskiego nie mogło zabraknąć produkcji rdzennie koreańskich. Chyba największym wydarzeniem imprezy był otwierający ją pokaz nowego filmu Chan-wook Parka „Podejrzana" (międzynarodowy tytuł „Decision to leave"). Reżyser, znany raczej w koreańskim brzmieniu swego nazwiska (czyli z imieniem na końcu, Park Chan-wook), przez lata był chyba najbardziej, może poza Ki-duk Kimem, rozpoznawalnym filmowcem z tego odległego kraju. Kim kręcił trudne i brutalne dramaty, przesycone ciężkim spojrzeniem na seks, człowieczeństwo i wiarę (Kim miał związki z katolicyzmem, choć w filmach poruszał się na styku chrześcijaństwa i buddyzmu), z których wspomnieć trzeba choćby „Pietę", jednak z obiegu wyłączyły go nadużycia i skandale, ujawnione przy okazji lokalnej edycji akcji #MeToo, po czym, już będąc na bocznym torze, zmarł w 2020 roku.

Park z kolei przez lata romantyzował i estetyzował przemoc, tworząc takie arcydzieła gatunku, jak „Trylogia zemsty" („Pan Zemsta", „Pani Zemsta", „Oldboy"), by kilka lat temu poruszyć festiwalową widownię specyficznie feminizującą i bardziej moralnie dwuznaczną „Służącą". W „Podejrzanej" twórca na swój sposób dorosleje, pozwala sobie na dużo mniej szaleństwa, nie epatuje brutalnością ani seksem i tworzy przy tym bardzo dobry, nie wiem nawet czy nie najlepszy w swej karierze film. Dość banalna historia policjanta zakochującego się w podejrzanej, została tu przedstawiona w sposób absolutnie niebanalny, ambitny i artystycznie świeży, a przy tym wciągający. Przynajmniej do czasu, bo od pewnego momentu można jednak odnieść wrażenie, że właściwie historia powinna się już skończyć, bez straty dla całości opowieści.

▶ Stałe miejsce w naszym festiwalowym krajobrazie

Podobny zarzut można było mieć do filmu „Dwie kobiety w mieszkaniu" („The Apartment with Two Women"), mocnej i naturalistycznej opowieści o patologicznej relacji niepanującej nad emocjami i stosującej przemoc matki a jej próbującej żyć normalnie córki. Dramat społeczny i psychologiczny w jednym do pewnego momentu wciągał, później już tylko męczył. Natomiast opowiadający o przyjaźni i dojrzewaniu film „Świadectwo końcowe Kim Min-young" („Kim Min-young of the Report Card") już tylko nudził, aż dziw, że właśnie tak postanowiono zamknąć imprezę.

Jednak obok filmów z gatunku tzw. kina festiwalowego (czytaj: ambitnych i nudnawych) znalazło się jednak miejsce dla porządnego filmu sensacyjnego. I tak w ramach skromnej, bo obejmującej tylko trzy filmy, retrospektywy Ma Dong-seoka, znakomitego aktora, zobaczyliśmy dyptyk „Outlaws" i świetny, robiący międzynarodową furorę spektakularny dramat sensacyjny „Gangster, glina i diabeł", będący krwawą opowieścią o współpracy oficera policji i szefa mafii, którzy muszą połączyć siły, by znaleźć psychopatycznego mordercę. Ta opowieść zauroczyła m.in. Sylwestra Stallone'a, który zapowiedział wyprodukowanie jej amerykańskiej wersji, do której zresztą również zaangażować ma Dong-seoka.

Do produkcji niewątpliwie wartych uwagi trzeba też zaliczyć „Przesyłkę specjalną" („Special delivery"), gdzie poza typową akcją pojawia się popularny ostatnio wątek szukania sobie miejsca w południowym społeczeństwie przez młodych uciekinierów z Północy. To właśnie stamtąd wywodzi się główna bohaterka, która dostarcza tytułowe przesyłki specjalne. Wątek współpracy, tym razem wymuszonej, między ludźmi z obu Korei pojawia się też w pokazanym w Warszawie wielkim przeboju z ubiegłego roku – „Ucieczce z Mogadiszu". To oparta na faktach historia personelu obu koreańskich ambasad, wspólnie uwięzionych w samym środku krwawej rewolty. Poza wymienionymi tytułami, ofertę festiwalu uzupełniła spora liczba animacji, w tym pokazywany już u nas kilkakrotnie horror „Kropla piękna", piętnujący koreańską obsesję na punkcie idealnego wyglądu.

Jak już wspomniałem, nasi dystrybutorzy kinowi wciąż ignorują modę na Koreę, jednak oferta festiwalowa cieszy się sporym powodzeniem. Ósma edycja „Warsaw Korean Film Festival" była – co nie zawsze jest w przypadku tej imprezy normą – bardzo udana i pełna ciekawych propozycji dla polskiego (i nie tylko polskiego) widza. Azja wywalczyła sobie stałe miejsce w naszym festiwalowym krajobrazie, do Korei Południowej należy zaś najmocniej eksponowana pozycja. Oby równie dobrze było w Warszawie za rok, gdy Centrum Kultury Koreańskiej w Polsce zaprosi nas po raz dziewiąty. ■

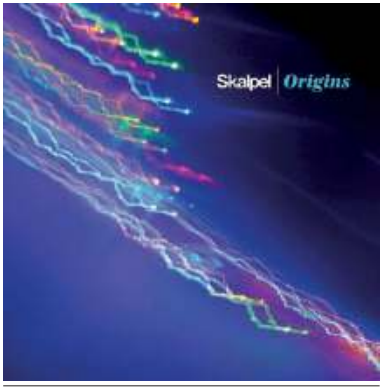
eprasa.pl 081494c15f

Marek Kalinowski

Muzyka cięta na miarę

Duet Skalpel wraca na scenę z nowym albumem „Origins". Igor Pudło i Marcin Cichy z właściwą sobie precyzją wycinają brzmienia lat 90., by zanurzyć je we współczesnej elektronice. Nagrania ucieszą zarówno miłośników jazzu, hip-hopu, jak i odkurzonego nurtu drum'n'bass, słuchaczy otwartych na nowe muzyczne doświadczenia.

Pochodzący z Wrocławia duet Skalpel to od wielu lat wizytówka polskiej sceny elektronicznej. O zespole zrobiło się już głośno od pierwszej płyty, którą w 2004 roku wydali w legendarnej, londyńskiej Ninja Tune – wytwórni, z której wychodziły już płyty Bonobo, The Cinematic Orchestra, Zero 7 czy Coldcut. Nagrania błyskawicznie przyciągnęły uwagę mediów z całego świata, a debiut Skalpela nominowany został do nagrody BBC – Gilles Peterson Worldwide Music Awards, konkurując o pierwsze miejsce z Björk, gwiazdorskim składem N.E.R.D. i znanym artystą drum'n'bass Ronim Sizem.



Skalpel, ORIGINS, NoPaper Records

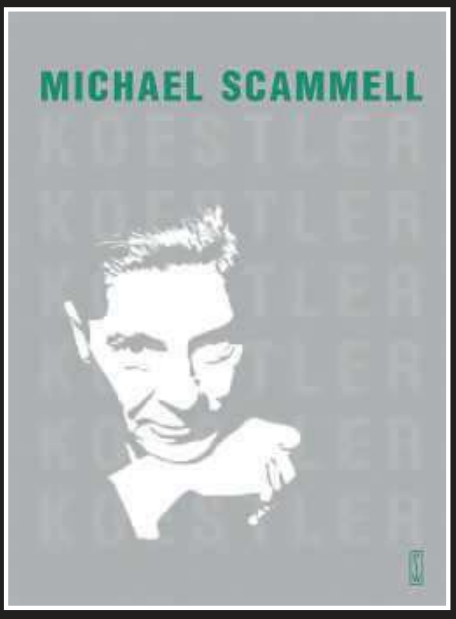
Na czym polegała wyjątkowość założycieli Skalpela? Igor Pudło (Igor Boxx) oraz Marcin Cichy (znany również pod pseudonimem Meeting by Chance), tak samo jak tysiące innych DJ-ów z całego świata, spędzali godziny na buszowaniu w sklepach z winylami, gromadząc materiał do samplowania, ale w jakiś szczególny sposób upodobali sobie klasykę polskiego jazzu, płyty z lat 60., 70. wydawane m.in. w znanej serii Polish Jazz. Wycięte ze starych nagrań fragmenty w pomysłowy sposób łączyli z innymi inspiracjami, budując w ten sposób własne, unikalne muzyczne klimaty.

Nie ma się co dziwić, że choć współczesna, to zanurzona w klasycznym jazzie muzyka z łatwością dała się przełożyć na język żywych instrumentów. Siedemnastoosobowy skład Skalpel Big Band zadebiutował w 2019 roku, gdy Igor Pudło i Marcin Cichy mieli już na koncie trzy płyty długogrające, nie licząc EP'ek i solowych produkcji. To otworzyło nowy rozdział w muzycznej wyobraźni duetu, ale także uruchomiło nowe pomysły koncertowe, w których stół mikserski okazał się jedynie dodatkiem dla rozbudowanej sekcji dętej, wibrafonu, perkusji i kontrabasu.

Wydany właśnie piąty album zespołu Skalpel, zatytułowany „Origins", zbiera wieloletnie doświadczenia i fascynacje założycieli. Jak sami mówią, w najnowszych nagraniach wracają do swoich pierwszych inspiracji z lat. 90., jednak powrót do przeszłości opowiedziany jest nowoczesnym językiem dźwięków. Wielość konwencji, w które owinięty jest „Origins", jest zarazem jego największą zaletą, bo może się okazać interesujący dla różnych grup słuchaczy. Wielbicieli jazzu uwagę zwróci zarówno ostrzejszy w rytmice „Prism", jak i delikatnie płynący „White Label" z powracającym w obydwu utworach kobiecym głosem. Przede wszystkim nie będą zawiedzeni fani wracającego do łask nurtu drum'n'bass, bo głębokie, niskie dźwięki dochodzą do głosu już od drugiego singlowego utworu „Why Not Jungle", na szczęście przełamując lekką monotonię mocnym, poszarpanym rytmem. Trip-hopowym sznytem lat 90., w jazzowym anturażu ucieszy z kolei końcówka albumu.

Poprzednia płyta Skalpela ukazała się w 2020 roku, na początku pandemii, niestety bez szans zaprezentowania na żywo. Jest więc sporo do nadrobienia, tym bardziej że zespół pojawi się teraz na koncertach zarówno w DJ-skim duecie, jak i z muzykami na żywo. ■

eprasa.pl 081494c15f



Michael Scammell, „Koestler. Literacka i polityczna odyseja dwudziestowiecznego sceptyka", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022

Krzysztof Wołodźko



KOESTLER. PISARZ, SZARLATAN, PRAWDOMÓWCA

„Ciemność w południe" Arthura Koestlera uznawana jest za jedną z najlepszych anglojęzycznych powieści XX wieku. Na poły osobiste, na poły pokoleniowe rozliczenie z fascynacji stalinizmem i komunistyczną Rosją dało autorowi sławę. Budziło też kontrowersje – choćby pisarzy tej miary co Gustaw Herling-Grudziński. Ale o wiele bardziej fascynujące od książki było zakończone samobójstwem długie życie Koestlera. Intelektualisty – tułacza, równie niespokojnego jak cały XX wiek.

eprasa.pl 081494c15f

Gdy rozpocząłem lekturę „Koestlera" Michaela Scammellego, nie mogłem uciec przed skojarzeniem ze „Światem wczorajszym" Stefana Zweiga, podzwonnym dla Wiednia i Europy sprzed czasów dwóch wojen światowych. Nie bez powodu – autor „Ciemności w południe" urodził się w Budapeszcie w 1905 roku. I choć dziś nazywa się go angielskim pisarzem i dziennikarzem węgierskiego pochodzenia, prawda jest bardziej skomplikowana. Tak skomplikowana jak dawna Europa sprzed totalitarnej pożogi wznieconej przez nazistowskie Niemcy i komunistyczną Rosję.

Kozetka Freuda i samobójstwo Europy

Rodzina Koestlera wywodziła się z węgierskich Żydów, wiernych poddanych cesarza Austro-Węgier. Byli to urzędnicy i kupcy, intelektualiści i utracjusze. Szczególnie dobrze sytuowani i ustosunkowani byli bliscy Adele, matki późniejszego pisarza. Jako młoda dziewczyna trafiła na kozetkę do Zygmunta Freuda, gdyż dokuczał jej tik nerwowy. Nie wspominała tego dobrze: zaintrygowanym szczegółami wizyty przyjaciółkom zdradziła, że ojciec psychoanalizy podczas masażu karku miał pytać ją, czy ma kochanka. Henrykowi, ojcu Koestlera, najlepiej żyło się przed I wojną światową – gdy prowadził handel odzieżą. Dostatnio wiodło się i jemu, i jej: bywali „w bogatym Leopoldstadt Casino nad Dunajem, do którego rozrzutni żydowscy przedsiębiorcy przyjeżdżali wypoczywać i wydawać swoje fortuny". Ale słynne zabójstwo w Sarajewie na czas jakiś przyniosło kres tej beztrosce: biznesy Henryka raptownie upadły, w wyniku czego cała rodzina musiała wrócić do Wiednia – pod skrzydła rodziny Adele. Po I wojnie światowej para raz jeszcze wróciła na Węgry, ale szybko wygnała ich stamtąd fala gwałtownego, po części skierowanego przeciw komunistom antysemityzmu.

Poświęcam tyle miejsca tamtym wydarzeniom, bo w dziejach Europy były one jednymi z najbardziej niezwykłych: to była coraz mniej oczywista epoka pożegnania ze światem ukształtowanym jeszcze przez la belle époque. Choć Polsce I wojna światowa przyniosła wyzwolenie, Andrzej Chwalba nie bez powodu swojej znakomitej książce o latach 1914–1918 dał tytuł „Samobójstwo Europy". To było również duchowe samobójstwo, które po dwóch dekadach przyniosło kolejną wielką grozę. Arthur Koestler urodził się przed wielką wojną, ale jako młody mężczyzna przyłożył rękę do budowania świata totalitarnych potęg, które nie tylko rozszarpały dawny europejski porządek, ale nie dały szans ładowi, który na lat dwadzieścia wyłonił się po 1918 roku. I stanowił wielką nadzieję również dla Rzeczypospolitej.

Koestler w Palestynie

Wróćmy do Koestlera. Nieudane studia inżynieryjne na wiedeńskiej politechnice co prawda nie poszły zupełnie na marne („był rzadko spotykanym przypadkiem intelektualisty, który umiał naprawić bezpiecznik"), ale też nie przyniosły mu większej satysfakcji. Koestler interesował się najpierw psychoanalizą, należał do półtajnego akademickiego pangermańskiego bractwa żydowskiego Unitas (sic!), nie stronił od alkoholu i bił się do krwi ze studentami z liberalnych bractw. Wreszcie poznał kontrowersyjnego żydowskiego polityka Władimira Zeewa Żabotyńskiego, założyciela Legionu Żydowskiego, „poetę, myśliciela, żołnierza, mówcę, polityka i człowieka czynu".

Kariera Koestlera rozwijała się błyskawicznie: został przewodniczącym federacji bractw syjonistycznych w Wiedniu. W 1926 roku ruszył w podróż do Palestyny. Był jednak niespokojnym duchem – nie chciał się uczyć hebrajskiego (znał jidisz – tak porozumiewał się ze swoim dziadkiem), więc żydowscy osadnicy z doliny Jezreel uznali, że nie nadaje się do takiego życia. Pierwsze kroki w dziennikarstwie stawiał w Jerozolimie, gdzie jako dwudziestodwulatek objął stanowisko korespondenta zagranicznego domu wydawniczego Ullsteina. To była dobra szkoła. Koestler z jednej strony jako reportażysta szczegółowo opisywał palestyńską rzeczywistość (choćby wspólnotę Samarytan, którzy „sprowadzali do siebie polskie Żydówki – chcąc w ten sposób poprawić spadający współczynnik urodzeń"), z drugiej opracowywał analizy dotyczące politycznych, społecznych i ekonomicznych zmian na Środowym Wschodzie. Scammell pisze, że jak na syjonistę Koestler okazywał zaskakująco dużą sympatię Arabom i zdecydowanie krytycznie pisał o brytyjskiej polityce w regionie. Tęsknił jednak do Europy – nieledwie uciekł z Palestyny. Spędził rok w Paryżu. 14 września 1930 roku przyjechał do Berlina – NSDAP świętowało wówczas wielki sukces w wyborach do Reichstagu.

Utopia i eugenika

Wydawnictwo Ullstein, dla którego wciąż pracował, było wówczas w Niemczech potęgą. Wydawali książki naukowe, dzienniki i bulwarówki. Koestler parał się w tym czasie dziennikarstwem naukowym – przybliżał berlińskiej publice nowinki technologiczne: pisał o badaniach nad atomem, genetyce, astrofizyce, elektryczności i zamiennikach dla paliw ropopochodnych. Nauka łatwo mieszała się z marzeniami, a Koestler był w głębi duszy humanistą. W jednym z artykułów pisał o nadchodzącej epoce „utopijnej rasy", gdy „maszyny nie będą już napędzane przez nieestetyczne, nieekonomiczne i prymitywne procesy spalania, lecz przez czyste, naturalne i niewyobrażalnie potężne siły wyższego stopnia". Scammell zwraca uwagę, że rozczarowany syjonizmem Koestler poszukiwał już wówczas nowej wiary – utopijnego świata, który zostanie ustanowiony nie na drodze politycznych przemian, ale rewolucji naukowo-technologicznej.

eprasa.pl 081494c15f

Fascynowały go również paranaukowe koncepcje genetyczne, które stanowiły podbudowę licznych teorii eugenicznych. Autor jego biografii zauważa: „Znamienne, że w grudniu 1930 roku, gdy rosnące siły nazistów było widać gołym okiem, Koestler jako Żyd nie widział nic złego w tych teoriach i z ostrożnym optymizmem przyjmował przyszłą możliwość »korekty« wad genetycznych: »Współczesna utopia jest rzeczywistością jutra«". Warto jednak pamiętać, że tego rodzaju koncepcje były wówczas popularne nie tylko wśród narodowych socjalistów: stanowiły jeszcze jedną intelektualną modę, z której Niemcy pod rządami Adolfa Hitlera uczynili narzędzie zbrodni. I jeszcze jedno: ten utopijny trop pokazuje, że późniejsze zainteresowania Koestlera parapsychologią, nie wzięły się znikąd: jak wielu intelektualistów XX wieku próbował uprawomocnić naukowo miękką, choć szkodliwą szarlatanerię, znaną lepiej jako New Age.

Podróż do Sowietów

Pierwsze spotkanie Koestlera ze stalinowską Rosją to relacja z pierwszego lotu Grafa Zeppelina w okolice bieguna północnego latem 1931 roku. To było wspólne niemiecko-rosyjskie przedsięwzięcie: kierownictwo wyprawy powierzono Sowietom, brało w niej udział trzech radzieckich, ośmiu niemieckich i dwóch amerykańskich naukowców. Koestler opisywał później wystawny bankiet w Leningradzie, wydany na cześć podniebnych podróżników: „Rosyjska gościnność, choćby została wcześniej zaplanowana, po kilku pierwszych kieliszkach wódki staje się spontaniczna i jest naturalnym, prawie niemożliwym do odparcia sprzymierzeńcem sowieckiej propagandy". Możemy tylko podejrzewać, że słowa te nic nie straciły ze swojej aktualności w czasach nie tak odległej przecież przyjaźni niemiecko-rosyjskiej, epoki Angeli Merkel, która przyniosła Europie tak tragiczne skutki w 2022 roku. Dlaczego to akurat on miał szczęście wziąć udział w tym locie? Nie od rzeczy będzie wskazać pewien trop: nieco wcześniej zapisał się do Towarzystwa Przyjaciół Związku Sowieckiego.

Relacje z podróży Grafem Zeppelinem przyniosły Koestlerowi uwielbienie czytelników i czytelniczek w Niemczech. I więcej jeszcze: „stał się wschodzącą gwiazdą na firmamencie berlińskiego dziennikarstwa". Nie od rzeczy będzie zacytować Scammellego: „Czołowi dziennikarze i redaktorzy w Berlinie lat trzydziestych cieszyli się statusem współczesnych prezenterów telewizyjnych czy gwiazd kina. Oglądano się za nimi na ulicach, wymyślano na ich temat legendy i anegdoty, oni sami anektowali zaś kluby i kawiarnie, byli też ważnymi gośćmi na przyjęciach i kolacjach. Nie ominęło to Koestlera". Mógł prowadzić życie bon vivanta: zamieszkał w luksusowym berlińskim apartamencie, rozbijał się po mieście sportowym czerwonym kabrioletem, jak sam mówił, „żył w niezwykle rozwiązły sposób" (po dekadach zapłacił za to oskarżeniem o gwałt i usunięciem pamiątkowego popiersia na Uniwersytecie w Edynburgu, gdzie ufundował... katedrę parapsychologii). A wreszcie postanowił zostać komunistą.

Rosyjski Berlin i polski Żyd

Koestler miał „nawrócić się" na komunizm za sprawą polskiego Żyda Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, którego kochanką była Eva Striker, gwiazda ówczesnej bohemy artystycznej Berlina. W jej salonie ogniskowało się życie towarzyskie i umysłowe pisarzy, dziennikarzy, projektantów mody, muzyków, naukowców. I bogatych kapitalistów znudzonych kapitalizmem. Weissberg, naukowiec z prawdziwego zdarzenia, a przy tym miłośnik Szekspira i Rilkego, zaimponował Koestlerowi intelektem i erudycją. Przyszły autor „Ciemności w południe" chciał jednak czegoś więcej niż salonowej dialektyki. Zdradził nowemu przyjacielowi: „Zamierzam pójść do pracy w jakiejś wielkiej fabryce jako robotnik. Myślę, że nie można być uczciwym komunistą, jeśli się samemu nie doświadczyło życia w klasie robotniczej". Weissberg szybko go od tego odwiódł: dobrze wiedział, że Sowieci bardziej niż robotników potrzebują wpływów wśród ludzi zachodnich elit.

Na konwersję Koestlera na komunizm wpływ miał jeszcze jeden ważny czynnik. To wpływowa rosyjska diaspora w Berlinie: „Rosjanie mieli swoje księgarnie, restauracje, teatry, gazety, czasopisma i kluby, język rosyjski można było usłyszeć na ulicy". Choć początkowo wśród Rosjan przeważali biali, czyli zwolennicy upadłego caratu, z czasem coraz większe wpływy na niemieckie dusze zdobywali czerwoni Rosjanie: „Bauhaus, niemiecki ekspresjonizm w filmie, awangardowy teatr masowy Erwina Piscatora, plebejskie przedstawienia i musicale Brechta, Weilla i Eislera... – można było odnieść wrażenie, że wpływy rosyjskie są wszędzie". Znaczącą ekspozyturą Sowietów w Niemczech była Międzynarodowa Pomoc Robotnicza: „przekonywała do [ZSRS – K. W.] masy za pośrednictwem gazet, popularnych wydawnictw, filmów i wystaw. Promowano prostą tezę: zachodnie społeczeństwo kapitalistyczne jest przegniłe i umiera, a przyszłość należy do sowieckiego komunizmu".

Marks, Freud i przemoc

Poznany za pośrednictwem książek komunizm zachwycił Koestlera. Choć żył w Berlinie pośród kapitalistycznego komfortu, widział wokół narastające skutki kryzysu. Niemieckie życie w tamtym czasie opisywano krótko: bezrobocie i nędza, agitacja i propaganda. Między niemieckimi komunistami a narodowymi socjalistami toczył się śmiertelny spór, który można odczytywać jako bratobójczy. Koestler oddał swoje pióro komunistom: został sekretarzem do spraw agitpropu. Celował w pamfletach na so-

eprasa.pl 081494c15f

cjaldemokratów i zgniły kapitalizm. Świadkowie opowiadali, że „pisał w szybszym tempie, niż większość ludzi potrafiłaby przepisywać". Wierzył w komunizm także dlatego, że jego nadejście miało rozwiązać wszelkie kwestie ekonomiczne, polityczne, społeczne czy rasowe. Łącznie z kwestią antysemityzmu. Dziś jest to truizm – wtedy była to sprawa wiary. Scammell pisze mocno: „Koestler z łatwością przyswoił sobie talmudyczny sposób myślenia marksizmu, podobnie jak historię komunistycznych schizm i sporów ideologicznych". Komunizm miał też realną przewagę nad freudyzmem i syjonizmem, które wcześniej fascynowały młodego autora: „za jego pomocą sprawowano realną władzę polityczną w Związku Sowieckim".

Komunizm wydawał się utopią o krok od spełnienia. A przy tym, daleko od Moskwy, wciąż miał w sobie pewien powab, który pod czujnym okiem Stalina dawno już utracił na sowieckiej ziemi: wabił niemiecką bohemę obyczajowym ekscesem. Koestler zaprzyjaźnił się z Wilhelmem Reichem, założycielem Instytutu Polityki Seksualnej. Reicha można traktować jako jednego z protoplastów Nowej Lewicy lat 60. XX wieku: w przedwojennych Niemczech wydał książkę „Funkcja orgazmu", w której łączył Freuda z Marksem, dowodząc, że „seksualny brak zaspokojenia proletariatu ogranicza jego potencjał rewolucyjny i że wyzwolenie seksualne w sposób nieuchronny będzie prowadzić do wyzwolenia politycznego". Scammell z pewną dozą sarkazmu stwierdza, że „dla Koestlera takie koncepcje były z oczywistych względów interesujące". Warto jednak pamiętać, że w tej przygodzie z komunizmem w grę nie wchodziły jedynie przyjemności: przemoc rządziła ulicami Berlina, narodowi socjaliści zdobywali coraz większe wpływy w państwie, co przekładało się także na bezpośrednie rezultaty krwawych bójek między czerwonymi i brunatnymi.

Sowiecki agent

Podróż po Sowietach, głośne usprawiedliwienie Hołodomoru na Ukrainie, agenturalna praca dla Kominternu, czyli dla Rosjan w Hiszpanii w czasie wojny domowej – to dalsze koleje jego losu. Działał choćby w Komitecie Nieinterwencji: antyfaszystowskiej organizacji, która gromadziła tuzy opinii publicznej z lewicy, prawicy i centrum. Formalnie Komitet był apolityczny i niezależny – w praktyce zależał od rosyjskich służb. I wreszcie więzienna cela w Maladze – jedna z kilkunastu, które odwiedził w kolejnych latach. Koestlerowi groziła kara śmierci z rozkazu generała Franco, prawdopodobnie za szpiegostwo, lecz pomogła mu sława, jaką się cieszył: „Był tak naprawdę jednym z pierwszych dziennikarzy, za którego uwolnieniem lobbowano na szczeblu międzynarodowym". Dziś rzadko wspominany, wówczas sprzedawał książki w kilkudziesięciotysięcznych nakładach.

Odejście Koestlera od komunizmu było stopniowe i pełne wahań. Nie obyło się bez politycznych perypetii – przez lata pisarz był pod ścisłą obserwacją i nadzorem brytyjskich służb. W Hiszpanii miał zrozumieć, że stalinizm i komunizm nie dają odpowiedzi na wielkie dziejowe pytania i zwykłe życiowe rozterki. Choć z naszej perspektywy brzmi to jak truizm, dla wielu XX-wiecznych intelektualistów po obu stronach żelaznej kurtyny takie spostrzeżenie było oczyszczającym odkryciem. I wielkim niebezpieczeństwem dla Sowietów.

Orwell lubi to

„Ciemność w południe", najsłynniejsza powieść Koestlera, jego rozliczenie z komunizmem, ukazała się zimą 1940 roku – gdy siedział w brytyjskim więzieniu jako „wrogi cudzoziemiec" (Brytyjczycy w czasie II wojny światowej uznali za takich wszystkich Niemców i Austriaków). Również bohater jego książki siedział w więzieniu – tyle że w sowieckim. To Mikołaj Rubaszow, weteran rewolucji, wzorowany na postaciach Lwa Trockiego, Karola Radka i Nikołaja Bucharina. Rubaszow postanowił, że w imię świetlanej przyszłości pod komunistycznymi sztandarami przyzna się do wszystkich zarzucanych mu czynów, choć wie, że cały proces to farsa, a zarzuty to fikcja.

Dla Gustawa Herlinga-Grudzińskiego powieść Koestlera była psychologicznie naiwna i faktograficznie niewiarygodna. Ale była też jedną z pierwszych prób odrzucenia – nie tylko sowieckiej – propagandy na Zachodzie. Mocno uderzała szczególnie w dogmaty francuskich intelektualistów: ukazywała komunizm jako niemożliwą do zrealizowania utopię zbudowaną na kłamstwach. Dlatego początkowo książka została przemilczana – poznał się na niej George Orwell. Docenił próbę zrozumienia moskiewskich procesów pokazowych i krytykę zachodniej lewicy, która nie sprzeciwiała się stalinowskim czystkom. W tamtym czasie Koestlerowi znacznie większą popularność w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych przyniosła zresztą wspomnieniowa książka „Szumowiny ziemi", po części „ponura ocena moralnego upadku Francji" po 1940 roku, a po części analiza upadku wiary autora w komunistyczną rewolucję. Nieco złośliwie można stwierdzić, że to właśnie ta książka zdobyła mu serca i zaufanie Brytyjczyków. I to dzięki niej Koestler opisywany jest dziś jako brytyjski autor.

Książka Scammellego jest niezwykle drobiazgowa, ale też klarowna. Przedstawiłem tylko jeden z jej rozlicznych wątków. To świetnie napisana biografia, znakomita i frapująca również w opisach tła historycznego i politycznego epoki, którą współtworzył Koestler. W świecie, którym przyszło nam żyć, to także ważny głos na temat miejsca kłamstwa w globalnej polityce. Kłamstwa, przemocy i manipulacji, w których Rosja wciąż jest mistrzem, choć w innych już nieco niż przed dekadami szatach. ■

eprasa.pl 081494c15f



Autor w iziumskim lesie – miejscu kaźni ukraińskich cywilów.



Jakub Augustyn Maciejewski

NAJCZARNIEJSZA CIEMNOŚĆ, CZYLI SŁOWO O ROSYJSKICH OKUPANTACH

Śpią z trupami, porzucają ciała nawet swoich kolegów z oddziału, pastwią się nad ocalałymi, którzy chcą tylko pochować swoich bliskich. Śmierć dla ludu rosyjskiego stała się jak wódka – uzależniająca, obojętna, towarzysząca im jak zjawa. Oto nowa twarz „rosyjskiej duszy", o której nie wiedzieli nawet najwięksi pesymiści.

eprasa.pl 081494c15f



Ranny ukraiński żołnierz w karetce.

FOT. AUTORA

eprasa.pl 081494c15f

Od XIX wieku inteligencja z Moskwy czy Petersrburga – Leningradu dywaguje sobie, co tam u Rosjanina drzemie w duszy. A to że zdrowe chłopstwo z prowincji łaknie hierarchicznego prawosławia (jak twierdził Pobiednoscew), a to że słowiańska krew kocha pokój i sielankę (wizerunek jasnowłosego chłopa na przykład u Eisensteina), car dobry, ale i lud dobry, to gdzieś pomiędzy zachodnimi wpływami u bojarów a cudzoziemcami w stolicy zatruwa się sielankę wielkiej Rosji. I oto do akcji wkracza właśnie ten miłujący pokój chłop z prowincji, i co? Gwałci, kradnie, pije i nienawidzi. Nienawidzi i gardzi człowieczeństwem jak nikt wcześniej.

Iziumski las

Piętnaście minut spaceru przez las iziumski napełniło głowę niedowierzaniem, pytaniami o wolną wolę ludzką, szarpnęło nawet otrzymanym z chrześcijaństwa przekonaniem, że człowiek to jednak znaczy, że ma duszę, że jest kimś, a nie czymś. Bo jak wyjaśnić to cmentarzysko na obrzeżach miasteczka, jak zrozumieć porzucone w sosnowym lesie 466 ciał między drzewami, płytko zasypanych, wcześniej mordowanych, torturowanych, będących przedmiotem sadystycznych zabaw? Bo Rosjanie zaczęli mordować od pierwszych dni, gdy w połowie marca wojska Putina zajęły obrzeża miasta i uporczywymi bombardowaniami zdobywały osiedle za osiedlem, ulicę za ulicą.

Spacerując wśród drewnianych krzyży, liczyłem ofiary i liczyłem dni, przez które okupant siedział w mieście – statystyka brutalnie podsunęła fakt, że średnio Moskale zabijali dwie i pół osoby dziennie. I tak oto czterdziestojednoletniego Aleksandra Wiktorowicza zabili 14 kwietnia. Sześćdziesięcioletniego Nikolaja Iwanowicza dziesięć dni później. Wadim Wasilewicz obchodził swoje dwudzieste urodziny w dniu inwazji Rosji – taki prezent od Władimira Putina. Chłopaka zabili 7 marca, a więc zaraz po zajęciu obrzeży Iziumu. Zginął wraz z ojcem i wujem, prawdopodobnie rozstrzelani przez rozsierdzonych żołdaków najeźdźcy. A jednak na tle ofiar porzuconych w iziumskim lesie wyżej wymienieni to „szczęściarze" – ich bliscy sowicie opłacili łapówkę dla Rosjan, by w miejscu zakopania zwłok zostawić tabliczkę z imieniem i nazwiskiem. Większość ciał została płytko i bezimiennie zakopana, niektórzy po dwie–trzy osoby w jamie, niektórzy mieli związane ręce. Michaił Semenowicz miał na przykład 87 lat – musiał pamiętać nazistowskich Niemców, choć był wówczas dzieckiem. Dożył drugiego najazdu nazistów, tym razem ze wschodu.

Ale to, co uderzało najbardziej, to odór. W powietrzu unosił się słodko-lepki zapach zepsutych ludzkich zwłok, które rozkładając się całymi tygodniami, bez trumien, wsiąkały w wilgotny piach. Smród był intensywny, wchodził nozdrzami, drażnił poczucie węchu i smaku, wywoływał zawrót głowy – to 466 ofiar kaźni zostawiło po sobie leśny ślad. Rosjanie zabijali ich spontanicznie – a to zastrzelili kobietę, która nie chciał ich wpuścić do domu, a to przejechali czołgiem przechodnia. Rosyjskie dowództwo okazało się nadzwyczaj cywilizowane – dostając informacje o cywilnych ofiarach swoich podwładnych, postanowili zaprowadzić porządki. Pracownikom niedalekiego cmentarza dano trochę pieniędzy i alternatywę – albo chowanie zwłok, albo kula w łeb. Ukraińscy grabarze zwozili więc zwłoki i pod lufami karabinów próbowali chować zmarłych. Kilka dni po wyzwoleniu miasta odkryto złowieszcze cmentarzysko.

Podczas ponurego spaceru po iziumskim lesie dobiega do nas pies i wesoło zaczyna skakać pomiędzy otwartymi grobami. Znajduje kość człowieka i zaczyna się w niej tarzać. Przeganiam go, ale zwierzak myśli, że się z nim bawię, wskakuje do kolejnych jam, dopada do mnie i z powrotem wraca do grobu. Porzucam gonitwę za psem, zapach podrażnił na tyle, że chce się wymiotować. Miejsce – świadek zbrodni – w którym powinno zachować się szczególną powagę, rozstraja i prowokuje. Nie mam specjalnego filtru na maseczce, jak mają amerykańscy dziennikarze, zasłaniam nos koszulką, ochcę oddalić się od grobów, ale obok nich widzę kolejne dziwne rzeczy. Drzwi w głąb gruntu wskazują, że to była ziemianka, a ślady ognia pomiędzy kamieniami świadczą o kuchence polowej. Widzę, już wiem, ale nie rozumiem – dopiero kobieta mieszkająca w domu na skraju lasu tłumaczy wprost: „oni tu żyli trzy miesiące, tu mieli swoją bazę wojskową, od pierwszego dnia słyszałam zza zasłoniętych okien warkot ciężkiego sprzętu". Słyszę jak przez ścianę. My tutaj, w miejscu kolejnej zbrodni, w odorze gnijących ludzkich ciał nie możemy wytrzymać 15–30 minut, a Rosjanie tutaj jedli, spali, palili papierosy i śmiali się w codziennych rozmowach? To jest ta rosyjska dusza, ta słowiańska sielanka, ten dobry, błogosławiony lud prawosławny?

Rosyjski Bóg

Być może oni w to wierzą. W wiosce Wołchowyj Jar, nieopodal Iziumu, Rosjanie nawet bardzo nie krzywdzili. Kilka osób pobili, zabrali telefony komórkowe, postraszyli śmiercią, wymachując karabinami, ale na tle innych wiosek, na tle zbrodni w postaci więzienia trzystu osób w jednej szkolnej piwnicy (jak w Jagodnem pod Czernihowem) to byli tam „łagod-

eprasa.pl 081494c15f



Podczas ponurego spaceru po iziumskim lesie dobiega do nas pies i wesoło zaczyna skakać pomiędzy otwartymi grobami...

ni". A jednak zabijali, starsze kobiety, które przeżyły okupację, nie chcą opowiadać szczegółów, tylko płaczą i pytają nas: „Ale oni już nie wrócą, prawda? Już nie wrócą?" – wołają ze łzami w oczach, stojąc w kolejce po emeryturę, wypłacaną w gotówce przez ukraińskich urzędników, którzy przyjechali do wsi. W Wołchowym Jarze nie ma już prądu, wody i gazu – cała infrastruktura została zniszczona, nie ma też sieci telefonicznej. W szkole, gdzie stacjonowali Rosjanie, wszystko rozgrabione, zniszczone, zawalone śmieciami, fekaliami. I w tej oto aurze na zielonej ścianie korytarza widnieje dumny, wielki napis niczym miejskie graffiti, głoszący z wyższością: „Jesteśmy Rosjanami, Bóg jest z nami".

Czyżby? Jakiż to bóg jest z wami?

Gdy kilka dni później opowiadam to żołnierzom na donbaskim froncie, wspominają o podobnej inskrypcji, w Buczy, słynnej już z rosyjskich zbrodni strzelania do cywilów podkijowskiej miejscowości. W jednym z mieszkań ofiar, kompletnie zdewastowanym domu, jeden z okupantów napisał na ścianie: „Kto wam pozwolił tak pięknie żyć".

Nie wystarczy zatem, że zabijają, mordują, rabują i gwałcą, mają tu jeszcze cały zestaw makabrycznych nawyków. Nienawidzą za to, że ktoś żyje lepiej od nich. Nienawidzą, ale do tego czują posłannictwo Boga, w tych trupach, wnętrznościach, krzykach i płaczu kobiet i dzieci odnajdują metafizykę, być może tę samą, którą w pierwszych dniach wojny przywołał prawosławny patriarcha Cyryl, mówiąc, że inwazja na Ukrainę, pardon – „specjalna operacja wojskowa", to „metafizyczna walka". W istocie tak jest – dobro i zło zmagają się obecnie nad Dnieprem i w Donbasie, tylko że mateczka Rassija chyba nie spodziewała się roli akurat wcielonego diabła. I jakby tej szatańskiej metafizyki było mało, ludzie „wielkiej Rosji", „z którymi jest Bóg", siedzą na płytko zakopanych, gnijących trupach, gotując kaszę z mięsem i śpiąc pod kocami w przed chwilą wykopanych ziemiankach. Znajdźcie mi, Drodzy Czytelnicy, większą makabrę.

▶ Znęcanie się nad zmarłymi

Coś niepojętego dzieje się w stosunku Rosjan do zmarłych i poległych. Jak ordynarny rechot brzmiało hasło Kremla z pierwszych tygodni inwazji: „swoich nie porzucamy", które miało mobilizować poddanych Putina do solidarności. Jak rechot, albowiem

FOT. AUTORA

eprasa.pl 081494c15f



Starsza kobieta po ostrzale jej bloku w Słowiańsku.

porzucanie rosyjskich mundurowych jest w tej wojnie na porządku dziennym pod wszystkimi względami. Jeszcze w lipcu kapitan Gwardii Narodowej, ps. Gringo, opowiadał mi, jak ukraińscy wojskowi odnajdują w podkijowskich lasach zabłąkanych rosyjskich żołnierzy. Przypomnijmy – wojska Putina wycofały się stamtąd na przełomie marca i kwietnia – zostawiając swych poległych, ale i rannych, a nawet tych zdrowych, którzy nie dotrzymali kroku reszcie. Pod Czernihowem, we wsi Słoboda, Rosjanie siedzieli ponad trzy tygodnie. Zastraszonych ludzi trzymali w piwnicach, mężczyzn rozbierali do naga, szukali na ich ciałach – zgodnie z kremlowską propagandą – „faszystowskich tatuaży", i bili, gdy nic nie znaleźli – a nie znaleźli ani razu. Ale lista okrucieństw z tej samej jednej wioski jest dłuższa. Pijani żołnierze zabili na przykład starszą mieszkankę wsi, a jej ciało zostawili w ogrodzie. Córce nie pozwolili pochować zwłok, które leżały i straszyły przez kilka dni. Kobieta płakała w miejscowości Kukuliwka, gdy ukraińscy żołnierze ewakuowali ją z wioski pod osłoną nocy, i wołała, że „to był obowiązek, jestem przecież prawosławna". Rosjanie też są niby prawosławni, ale na moście przez rzekę Desnę, pod Czernihowem, potrafili zostawić ciała własnych żołnierzy, ba, mało tego – strzelali do tych Ukraińców, którzy podjęli próbę zabrania ciał.

Ale sama Słoboda była świadkiem jeszcze innych incydentów. Zupełnie niepojęte jest, co dwóch sołdatów Putina zrobiło z kobietami nieroztropnie idącymi przez wieś w biały dzień, za okupacji. Okrutny gwałt byłby jeszcze – w pewnych wojennych realiach – może nie tak zaskakujący, ale tutaj po barbarzyńskiej zbrodni gwałciciele powiesili kobiety na przydrożnych drzewach. Nie wystarczyło im się seksualnie zaspokoić, nie wystarczyło upokorzyć, zdominować, zaznaczyć swą władzę i przewagę, ba, nie wystarczyło nawet zabić. Bo żołnierze rosyjscy często strzelają do cywilów, przecież mogli oddać dwa strzały z pistoletów i mieć spokój, ale nie, nie bojownicy „metafizycznej walki", nie „Rosjanie, z którymi jest Bóg", oni musieli jeszcze znaleźć linę, szarpać się z kobietami, wybrać odpowiednie drzewa, odpowiedni konar, przerzucać linę, robić pętle i męczyć swe ofiary duszeniem i dodatkowym upokorze-

eprasa.pl 081494c15f

niem. Po co? Na co? Czy też w nienawiści za to, że ktoś tym kobietom „pozwolił tak dobrze żyć"? Na dodatek do tej litanii zbrodni mieszkańcy Słobody mówili raz po raz, że u nich to było spokojnie, „jedźcie do Jahidnego, tam to się dopiero działo". Jeśli ludzie bici, gwałceni i obrabowani mówią, że „u nas to względnie spokojnie", to powiedzcie mi, Drodzy Czytelnicy, co się mogło dziać w miejscowości oddalonej o kilkanaście kilometrów? Jeśli powieszenie ofiar gwałtu to „jeszcze nic", to czym nas przestraszyć miało Jahidne?

Nie było to łatwe do ustalenia. W Jahidnem bowiem ludzie wcale nie chcieli mówić. Połowa domów była już tylko stertą cegieł osmalonych ogniem pożarów, wokoło słychać było stukot młotków wolontariuszy, którzy próbowali odbudować część budynków przed nadchodzącą zimą, a mieszkańcy wsi głównie siedzieli na ławkach czy na trawie – w milczeniu. Trzy starsze kobiety, z surowo zaciśniętymi ustami, wpatrzone w spalony i zmiażdżony wrak samochodu nie chciały rozmawiać w ogóle. „Ani teraz, ani nigdy". Udało się znaleźć natomiast trzech niemłodych mężczyzn, z których jeden z jakimś takim czarnym humorem ośmielił resztę do opowieści.

To, co się działo w Jahidnem, pod Czernihowem, można by było nazwać podziemnym obozem koncentracyjnym. W wiejskiej szkole do piwnicy spędzono 300 osób, a część – kilkanaście z nich, może więcej – która próbowała schować się w domach, znaleziono i zastrzelono na miejscu. W piwnicy trzymano zatem całą wioskę, a był to zimny marzec, gdzie z sufitu krople zimnej wody spadały na leżących obok siebie ludzi. Część mieszkańców była słaba, schorowana, dziesięcioro z nich zmarło w ciągu 28-dniowego pobytu w ciemności. Rosjanie – znowu – nie pozwolili pochować ciał. Nawet ich wynieść i zakopać. Zmarła twoja matka? Niech leży. Siedź i dalej módl się, by te wybuchy wojennych ostrzałów nad waszymi głowami nie pogrzebały i ciebie pod gruzami szkoły. Okna były zamknięte, powietrze zatęchłe, dusiło, ciała zaczęły się rozkładać. Co by się stało z żywymi, gdyby pod koniec marca Ukraińcy nie odbili Jahidnego i w podziemnym obozie koncentracyjnym, z własnymi rozkładającymi się zmarłymi, mieszkańcy siedzieliby przez kolejne tygodnie?

Zgubione człowieczeństwo

Takich pytań Rosjanie sobie raczej nie stawiają. Potwierdził to jeden z urzędników ukraińskiego Ministerstwa Zdrowia, który w obwodzie zaporoskim monitorował poziom radiaktywności okolicy, po tym jak Moskale zajęli elektrownię atomową w Enerhodarze, nad Dnieprem. Nawet Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej wyraziła troskę, czy okupanci należycie przestrzegają zasad bezpieczeństwa w ośrodku, który przecież zawiera tony radioaktywnych odpadów, a i same urządzenia – choć należące do najlepiej zabezpieczonych w Europie, stanowią pewne zagrożenie. Ukraiński urzędnik z jednej strony, zwłaszcza przed kamerami, uspokajał, że sytuacja jest pod kontrolą, a główne zagrożenie – z marca, gdy Rosjanie tam wkroczyli, i z sierpnia, gdy wprowadzili ciężki wojskowy sprzęt do budynków administracji elektrowni – naprawdę minęło. A jednak poza kamerami urzędnik mówił, że po wejściu okupanta do Enerhodaru strona ukraińska zadzwoniła do Rosjan, by udzielić wskazówek dotyczących zabezpieczeń bardziej złożonych urządzeń wytwarzających energię z atomu. „Oni byli kompletnie pijani" – mówił urzędnik. Próbował rozmawiać z inżynierami, z oficerami, ale nie było tam nikogo trzeźwego. Ukrainiec próbował przekonywać do powagi: „przecież jeśli doprowadzicie do wybuchu, to zanim zaszkodzi to nam, to wy zginiecie jako pierwsi!" – wołał. „I ch.j!" – rzucił wulgarnie Rosjanin.

Pogarda dla życia, pogarda dla śmierci, pogarda dla człowieczeństwa i wyzucie z człowieczeństwa przebijają przez tysiące i dziesiątki tysięcy incydentów rosyjskiej okupacji. Ja jeden, malutki, pojedynczy, podróżujący przecież w promil promila wojennych miejsc na Ukrainie, mógłbym jeszcze długo opisywać poszczególne makabryczne sceny, okrucieństwa i niezrozumiałą wolę niszczenia. Ale i na mnie trafiła opowieść, w którą nie do końca mogę uwierzyć, która wydaje się już przesadą tak wielką, tak niezrozumiałą, tak abstrakcyjną, że mogła ona dziać się w najwymyślniejszych opowieściach Henryka Sienkiewicza o „Dzikich Polach", nie zaś na wschodniej Ukrainie XXI wieku. Otóż ukraiński zwiad spod Lymana w Donbasie opowiadał, wróciwszy w szoku, z niedowierzaniem w oczach, że wokół obozowiska rosyjskiego leżą ich polegli pobratymcy, już się rozkładający, wydzielający intensywny fetor. Czy to morale tak niskie, że druhowi z tego samego plutonu nie chce się sięgnąć po szpadel, czy to odgórny rozkaz, by na przykład nie wypłacać odszkodowania rodzinom zabitych – nie wiemy.

Niemożliwe, prawda? Ale czy możliwe są te wszystkie wcześniejsze sceny? Żyjemy przecież w XXI wieku, czasie szybkich fast foodów, fascynujących platform serialowych w internecie, znakomitej kawy w dobrych lokalach, człowiek miał wyleczyć się z totalitaryzmów XX wieku i wejść w nowe stulecie lepszym, mądrzejszym.

Zresztą – czy to w ogóle możliwe, by człowiek miał w duszy tak czarne ciemności? Może lepiej w to naprawdę nie wierzyć... ■

FOT. AUTORA

eprasa.pl 081494c15f



Ajatollahowie stawiają wszystko na jedną kartę – rosyjską

Antoni Rybczyński

eprasa.pl 081494c15f



Rosja ma tylko dwóch mających jakieś znaczenie sojuszników w wojnie z Ukrainą: Białoruś i Iran. O ile w przypadku reżimu Łukaszenki nie ma nic niespodziewanego, o tyle wspieranie militarne Moskwy przez Teheran, i to tak, że ma to duże znaczenie dla przebiegu wojny, ktoś mógłby uznać za zaskoczenie.

FOT. SERGEI SAVOSTYANOV/KREMLIN POOL/SPUTNIK/POOL

Skąd takie zaangażowanie, szczególnie, że po zmianie gospodarza Białego Domu pojawiła się wielka szansa na przywrócenie umowy JCPOA dotyczącej irańskiego programu atomowego, a mogącej znieść sankcje i otworzyć bramę do współpracy gospodarczej Republiki Islamskiej ze światem? Wszak, gdyby spojrzeć na to przez pryzmat interesów, Iran na wojnie Rosji z Ukrainą i na popieraniu Rosji traci. Rosyjska ropa zalewa bowiem rynki azjatyckie, gdzie dotąd udawało się sprzedać część irańskiego „czarnego złota". Teraz cenowo „trędowata" ropa irańska przegrywa z rosyjską. Teheran miał okazję dogadać się z USA i w ten sposób wzmocnić też swą pozycję wobec głównego rywala w regionie, tym bardziej że Arabia Saudyjska nie ma teraz najlepszych relacji z Amerykanami. Skąd więc ta polityka jednoznacznego poparcia Iranu dla Rosji w wojnie z Ukrainą?

Jak Moskale z Persami

Na początku listopada wizytę w Teheranie złożył sekretarz Rady Bezpieczeństwa FR Nikołaj Patruszew, prawa ręka Władimira Putina. Z swoim irańskim odpowiednikiem Alim Szamchanim powiedzieli, że będą wspólnie walczyć z tym, co nazwali zachodnią ingerencją w ich krajach, i rozszerzyć więzi gospodarcze we wspólnym wysiłku, aby uniknąć sankcji. Patruszew spotkał się też z prezydentem Ebrahimem Raisim. Zapewne Iran nie wspierałby tak stanowczo Rosji w wojnie z Ukrainą, narażając się przy tym na kolejne sankcje i podpisując wyrok na możliwym wznowieniu umowy atomowej, gdyby w Teheranie był nieco inny układ władzy i twardogłowego wielkiego ajatollaha nieco równoważył prezydent i jego ministrowie, z szefem dyplomacji na czele. Tymczasem niedawno radykalni duchowni przejęli pełnię władzy w państwie. Prezydentem został wcześniejszy szef sądownictwa Ebrahim Raisi, też duchowny. Z parlamentu i rządu wyeliminowano zaś ludzi nie dość konserwatywnych. W efekcie cały aparat centralny Republiki Islamskiej stawia dziś na radykalny kurs polityczny. I jak widać, postawił na Rosję, niezależnie od konsekwencji. Przy czym to stawianie na Moskwę wynika również ze świadomości ajatollahów, że klęska Rosji, albo na dodatek upadek reżimu putinowskiego, pociągną za sobą poważne problemy irańskiego reżimu, z nową rewolucją, tym razem antyislamską na czele.

W najważniejszych kwestiach polityki międzynarodowej Rosja i Iran mają bliskie lub wręcz identyczne stanowiska. Od lat łączy je chęć zmiany porządku międzynarodowego. Moskwa dąży do odbudowy statusu globalnego supermocarstwa, Iran chce być hegemonem regionalnym. W obu przypadkach Rosję i Iran łączy wspólny wróg, czyli USA. Wielki Szatan – jak mó-

eprasa.pl 0x1494c15f

wią w Teheranie. Ale zaraz potem jest Mały Szatan, czyli Izrael. I tu już jest wyraźna różnica zdań między Rosją a Iranem. Moskwa utrzymuje poprawne relacje z Izraelczykami, pozwalając im nawet atakować z powietrza cele irańskie w Syrii. Syria jest zresztą tym polem, gdzie sojusz rosyjsko-irański umocnił się w ostatnich latach. To Teheran namówił Moskwę do zaangażowania wojskowego po stronie Asada. Ten wspólny rosyjsko-irański projekt syryjski przyniósł efekt. Asad wygrał wojnę domową. Moskwę i Teheran łączy wiele w różnych obszarach. To zarówno dostawy broni i technologii wojskowych (działa w obie strony), jak też wymiana know-how ws. unikania sankcji (tutaj Rosja więcej może się dowiedzieć od Iranu). Jest współpraca energetyczna, ale przede wszystkim wspólne cele w polityce międzynarodowej, od Kaukazu Południowego (wsparcie Armenii przeciwko Azerbejdżanowi i Turcji), przez współpracę na Bliskim Wschodzie (Syria, Irak, Liban, Palestyna) po wspieranie bandyckich reżimów, jak Korea Północna, Syria, Wenezuela, Kuba i współpraca z Chinami.

Mówiąc o sojuszu Moskwy z Teheranem wspomnieć należy o znaczeniu, jakie dla Rosjan ma Iran jako czynnik destabilizujący strategiczny region Bliskiego Wschodu i angażujący uwagę i środki wrogów Kremla, z USA na czele. Co jest szczególnie ważne teraz, w czasie wojny na Ukrainie. Niedawno Arabia Saudyjska ostrzegła USA przed nadciągającym atakiem Iranu na cele w Arabii i Iraku, by odciągnąć w ten sposób uwagę od protestów. Celem ataku miałyby się stać również obiekty wojskowe USA i amerykańscy żołnierze w irackim Kurdystanie. W ostatnich tygodniach Teheran oskarżał Rijad i Waszyngton o ingerowanie w trwające od ponad miesiąca protesty w Iranie, oskarżając je o inspirowanie demonstracji. Dla Moskwy eskalacja konfliktu w Zatoce byłaby na rękę, angażując Amerykanów, ale też wpływając na wzrost cen ropy.

▶ Od Lewantu po Kaukaz

Jeśli już mowa o Bliskim Wschodzie, to Iran namówił Rosję do interwencji w celu ratowania chylącego się ku upadkowi reżimu Baszara el-Asada. Co ciekawe, z trzech ludzi, którzy doprowadzili do militarnego zaangażowania Rosji w Syrii, żyje już tylko jeden: szef Hezbollahu Hassan Nasrallah. Generał Hossein Hamedani, który dowodził siłami Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) w Syrii, zginął tam już w październiku 2015, tuż po rozpoczęciu rosyjskiej interwencji wojskowej. Najgłośniej było jednak o śmierci dowódcy elitarnych Sił Quds Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Generał Qasem Soleimani zginął w styczniu 2020 r. w Bagdadzie, zabity pociskiem z amerykańskiego drona. Rosja i Iran do dziś blisko współpracują w Syrii, ale należy pamiętać, że ich cele powodujące zaangażowanie po stronie Asada, są różne. Teheran potrzebuje przyjaznego reżimu w Damaszku, aby zapewnić sobie bezpieczny pomost lądowy do Libanu, gdzie działa wierny ajatollahom Hezbollah, i prowadzić działania antyizraelskie. Rosji zależy na utrzymaniu w Syrii baz wojskowych, przede wszystkim morskiej w Tartus i lotniczej w Chmejmim. To klucz do utrzymania jej obecności militarnej na Bliskim Wschodzie i we wschodniej części Morza Śródziemnego, ważny punkt logistyczny dla najemników działających w Afryce, wreszcie atut nie tylko wobec Zachodu, ale też Izraela i Turcji. Na Ankarę można wpływać choćby groźbą uruchomienia ofensywy na ostatni bastion rebeliantów, czyli prowincję Idlib, która stała się nieformalnym protektoratem tureckim. Szczególnie drażliwy jest jednak czynnik izraelski. Rosja od lat nie przeszkadza w atakach powietrznych Izraela na obiekty związane z Iranem na terenie Syrii. Ale Teheran zdaje się przyjmować to ze zrozumieniem – widać mimo wszystko gotów jest płacić taką cenę w zamian za inne korzyści wynikające z sojuszu z Rosją.

Na Kaukazie z kolei Moskwa i Teheran stawiają na Armenię. Choć jednocześnie celem Rosji jest utrzymanie dobrych relacji z Azerbejdżanem, w którym z kolei Iran widzi zagrożenie. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w Iranie żyje bardzo duża mniejszość azerska. Po drugie, Baku współpracuje w sferze bezpieczeństwa z Izraelem. Irańczycy twierdzą wręcz, że to szpiegowski przyczółek Państwa Żydowskiego. Iran od lat zagraża sąsiedniemu Azerbejdżanowi, z którym dzieli 765 km granicy. W obu krajach dominuje szyicki odłam islamu, choć Azerbejdżan, w przeciwieństwie do Iranu, jest państwem świeckim. Niemniej jednak okazało się to dla Iranu drugorzędne, gdy na arenę wkroczył Izrael. Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew jest w Iranie uważany za „syjonistę". Azerbejdżan na długo przed odbiciem większości Górskiego Karabachu i wyzwoleniem okolicznych terytoriów (jesień 2020) polegał na współpracy z Izraelem w zakresie broni i komunikacji strategicznej. Na tle szczególnych relacji Azerbejdżanu z Turcją, rola Izraela w sukcesach Azerbejdżanu nie jest tak widoczna, ale jest znacząca. Azerbejdżan jest drugim po Indiach największym odbiorcą broni z Izraela – to ponad 15% proc. eksportu broni izraelskiej. Według różnych szacunków nawet 40% ludności Iranu (25–35 mln z ok. 80 mln) to etniczni Azerowie, zwarcie osiedleni w północno-zachodniej części kraju w pobliżu granicy z Azerbejdżanem. W Iranie jest więcej Azerów niż w Azerbejdżanie. Wraz ze zwycięstwem Azerbejdżanu w Górskim Karabachu wzrosła agresywność Iranu, który staje po stronie Armenii, ale nie pomógł jej militarnie w żaden istotny sposób. Ostatnie militarne sukcesy Azerbejdżanu i związany z tym wzrost

eprasa.pl 081494c15f

wpływów Turcji niepokoi Irańczyków. Nie przypadkiem co jakiś czas przy granicy z Armenią i Azerbejdżanem Teheran organizuje manewry wojskowe. Ostatnio podpisał też umową energetyczną z Armenią i grozi Azerbejdżanowi konsekwencjami w przypadku dalszej współpracy z Izraelem.

Współpraca Rosji i Iranu nie ogranicza się zresztą tylko do spraw wojskowych i geopolitycznych. W pierwszej połowie bieżącego roku obroty w handlu dwustronnym wzrosły o 45 proc. w stosunku do analogicznego okresu 2021 roku i wyniosły 2,8 mld dolarów. Jednym z najważniejszych pól współpracy jest energetyka. Latem tego roku Gazprom i National Oil Company of Iran (NIOC) podpisały umowę o współpracy strategicznej. Podpisane zostało zaś rosyjsko-irańskie wstępne porozumienie w sprawie inwestycji Rosji w rozwój wydobycia gazu w Iranie (wartość projektu to 4 mld dolarów), a przede wszystkim umowę o budowie gazociągów i urządzeń do produkcji LNG (40 mld dolarów). Z kolei na mocy umowy podpisanej pod koniec października Iran dostarczy Rosji 40 turbin gazowych, aby pomóc jej przemysłowi gazowemu w obliczu zachodnich sankcji. Sektor gazowy jest zresztą dobrym przykładem, jak Rosja może uczyć się od Iranu radzenia sobie z sankcjami. Otóż aż 85 proc. obiektów i urządzeń potrzebnych dla irańskiego przemysłu gazowego jest budowanych w samym Iranie. Inna umowa rosyjsko-irańska dotyczy wymiennych dostaw węglowodorów – ma obejmować na początku 5 mln ton ropy i do 10 mld m^3 gazu rocznie. Pierwsze dostawy rosyjskiego gazu do Iranu przez Turkmenistan mogą mieć miejsce już w tym roku.

Wóz albo przewóz

Iran mający co najmniej trzy otwarte fronty – Izrael, Arabię Saudyjską, Azerbejdżan – postanowił wziąć udział w największej wojnie w Europie od 1945 roku. Wysłał Rosjanom setki dronów-kamikadze oraz zobowiązał się do wysłania pocisków balistycznych, szczególnie groźnych dla Ukraińców, którzy nie dysponują środkami obrony przed tym typem broni. Dostarczane przez Iran drony są wykorzystywane przez Rosję do terroryzowania ukraińskich cywilów i uderzania w infrastrukturę energetyczną Ukrainy. Teheran wysłał swoich ludzi na Białoruś i Krym, żeby szkolili Rosjan, a nawet sami sterowali dronami-kamikadze wysyłanymi na Ukrainę. Ostatnie doniesienia o kolejnych dostawach takich dronów z Iranu muszą niepokoić Ukrainę. Chociaż znaczna liczba dostarczonych przez Teheran aparatów bezzałogowych została zestrzelona, to w przyszłości może być gorzej. Iran ma w swoim arsenale bardziej sprawną tzw. amunicję krążącą. No i jest jeszcze groźniejsza irańska broń – pociski balistyczne – które lada moment mogą być wykorzystane przez Rosję w zmasowanych atakach na ukraińską infrastrukturę.

Jednak dalsze kroki w dostarczaniu Rosji broni niosą ze sobą duże ryzyko dla Iranu. Irańskie rakiety balistyczne niszczące cywilną infrastrukturę Ukrainy, która przez wiele miesięcy tej wojny miała napięte stosunki z Izraelem, trudno byłoby zaliczyć do jednorazowych pomyłek. Dostarczenie rakiet balistycznych oznaczałoby, że Iran, nie rozwiązując żadnego ze swoich dawnych konfliktów, jest świadomie przygotowany do doprowadzenia do długotrwałej wrogości także swoich relacji z Ukrainą oraz do rzucenia wyzwania głównym graczom w europejskim bezpieczeństwie, w tym UE i NATO.

Trudno sobie wyobrazić, że Iran, który nauczył się żyć pod surowymi międzynarodowymi sankcjami, zgodził się dostarczyć Rosji drony i rakiety balistyczne tylko dla pieniędzy. Chodzi o coś dużo ważniejszego. Po pierwsze, reżim w Teheranie walczy teraz z protestami zagrażającymi mu chyba najbardziej od 1979 roku. Pacyfikuje przeciwników władzy, tak jak kiedyś swoich Kreml. Doniesienia o rosyjskim wsparciu dla reżimu irańskiego w tłumieniu demonstracji nie mogą więc zaskakiwać. Ajatollah Ali Chamenei i prezydent Raisi wiedzą, że gospodarczo polityka wspierania Rosji w wojnie z Ukrainą się nie opłaca. Ważne są jednak cele polityczne. Solidarność dyktatur. A co najważniejsze: szyicki reżim w Iranie wie, że jeśli Rosja przegra, zadziała efekt domina. Wydaje się jednak, że kluczowym powodem tak znacznego wsparcia militarnego Teheranu dla Moskwy jest oczekiwanie rosyjskiej pomocy w szybkim uzyskaniu przez Iran bomby atomowej. To byłby prawdziwy game-changer w regionie i osiągnięcie tego, o czym Teheran marzy od dawna. Wzmocnienie pozycji wobec posiadającego już broń atomową Izraela, nie mówiąc o Arabii Saudyjskiej. Dlatego pewnie Teheran wkalkulował w pomoc Rosji koszty związane z nowymi sankcjami zachodnimi i pogrzebaniem możliwości powrotu do JCPOA, międzynarodowego porozumienia zawartego w 2015 roku mającego na celu ograniczenie działań nuklearnych Iranu, które zostało porzucone przez administrację Donalda Trumpa w maju 2018 roku. Od początku swej kadencji Joe Biden dążył do przywrócenia JCPOA, ale rokowania nie były łatwe: Teheran żądał gwarancji, że USA nie zmienią znów zdania w tej kwestii, jak to zrobił Trump po Obamie. Potem zaś zaangażowana we wspieranie Ukrainy i próby rozwiązania problemów ekonomicznych administracja amerykańska odłożyła na potem sprawę – co najmniej do czasu po wyborach w USA 8 listopada. Tymczasem Iran kontynuuje postępy w działaniach związanych ze wzbogacaniem uranu i nie tylko nie rezygnuje z pomocy wojskowej Rosji, ale nawet zacieśnia sojusz z Putinem. ■

eprasa.pl 081494c15f

Mimo że stopień inwigilacji i prześladowań katolików w Chinach się zwiększył, Watykan zdecydował się po raz drugi przedłużyć umowę z Pekinem w sprawie mianowania biskupów. Ugoda jest krytykowana za to, że pomogła Pekinowi „zabić" Kościół podziemny w Chinach. Jest także widziana jako odrzucenie postawy Jana Pawła II, który komunizm widział jako zło.

Hanna Shen



CHIŃSKIE ZAUROCZENIE FRANCISZKA

eprasa.pl 081494c15f



FOT. ANGELO CARCONI/AP/EPA

Porozumienie pomiędzy Stolicą Apostolską a Chinami zostało podpisane 22 września 2018 roku i odnowione po raz pierwszy 22 października 2020 roku. Pełna treść umowy pozostaje tajna, ale wiadomo, że Pekin zgodził się, by papież miał prawo głosu w procesie nominowania biskupów w Kościele oficjalnym, tzw. Patriotycznym Stowarzyszeniu Katolików Chińskich, podporządkowanym komunistycznemu rządowi. W zamian za to Watykan uznał biskupów desygnowanych poprzednio przez władze komunistyczne, akceptując także tych, którzy wcześniej zostali ekskomunikowani. W praktyce wygląda to tak, że zgodnie z porozumieniem to Pekin wskazuje Stolicy Apostolskiej kilku kandydatów na biskupa i spośród nich papież wybiera jednego. Umowa została podpisana w momencie, gdy prezydent Xi Jinping całkowicie podporządkował kwestie religijne w Chinach Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Krajowe Biuro ds. Religijnych, które dotąd podlegało rządowi, w 2018 roku wcielono do Wydziału Zjednoczonego Frontu Pracy Komitetu Centralnego KPCh, czyli poddano bezpośredniej kontroli partyjnej.

Zabić Kościół

Od początku umowa Watykanu z Pekinem spotkała się z ogromną krytyką katolików i działaczy na rzecz praw człowieka. Jeszcze przed podpisaniem porozumienia ks. kard. Joseph Zen Ze-kiun, emerytowany ordynariusz Hongkongu, stwierdził, że idąc na układy z Pekinem, Watykan "sprzedaje chiński Kościół katolicki".

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej", jaki ukazał się w lipcu 2020 roku, kard. Zen powiedział, że jest wręcz czymś niewiarygodnym, że Watykan zgodził się na „rehabilitację siedmiu biskupów wcześniej ekskomunikowanych przez wiele lat za to, że podważyli doktrynę i zasady Kościoła", a „dwóch uznawanych przez Watykan biskupów zmuszono do ustąpienia z urzędu". Hongkoński duchowny zwrócił także uwagę, że w niecały rok po zawarciu umowy Watykan wydał dokument pt. „Wskazówki duszpasterskie", wytyczne dla wiernych w Chinach, „w którym zachęcano wszystkich katolików, aby wyszli z podziemia i dołączyli do kontrolowanego przez komunistów schizmatycznego Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich. W ten sposób według kard. Zena „zabito prawdziwy Kościół w Chinach. Zabito Kościół podziemny. A u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach są oportuniści. Słuchają tylko komunistycznego rządu".

Podobnego zdania jest Nina Shea, dyrektor Centrum Wolności Religijnej przy konserwatywnym think tanku Instytut Hudsona. Twierdzi ona, że od czasu porozumienia z roku 2018 Komunistyczna Partia Chin „prawie całkiem zniszczyła katolicki Kościół podziemny i wymusiła zgodność ze swoimi naukami w Kościele patriotycznym".

eprasa.pl/1494c15f

Według Shea, Chiny dążyły do zawarcia porozumienie ze Stolicą Apostolską z tylko jednego prostego powodu: „chciały pomocy Watykanu w wyeliminowaniu podziemnego Kościoła katolickiego". Pekin pragnął stworzyć warunki pozwalające kontrolowanemu przez KPCh Kościołowi patriotycznemu stać się instytucją, w której za błogosławieństwem papieża może nastąpić zjednoczenie chińskich katolików. „Po zawarciu porozumienia chińskie władze zrobiły nagonkę na duchownych Kościoła podziemnego, ostrzegając ich, że przeciwstawią się papieżowi, jeśli nadal będą chrzcić, wyświęcać nowych duchownych i modlić się w niezarejestrowanych kościołach. Podziemny Kościół katolicki w Chinach mógł znieść oficjalne zaszufladkowanie jako nielegalny lub kontrrewolucyjny; przetrwał przecież zaciekłe prześladowania jako wróg państwa podczas rewolucji kulturalnej Mao. Ale nie wytrzymał starcia z papieżem" – twierdzi Shea.

Duchowni Kościoła podziemnego zostali zmuszeni do zakończenia swojej aktywnej posługi. Taki los spotkał na przykład biskupa Vincenta Guo Xijin, ordynariusza chińskiej diecezji Mindong w prowincji Fujian. Jego miejsce zajął wcześniej ekskomunikowany biskup Vincent Zhan Silu. Sytuacja ta zasmuciła wielu wiernych diecezji Mindong, a zdecydowaną większość w niej stanowili członkowie Kościoła podziemnego.

W wyniku porozumienia Franciszka z KPCh, obrońcy chrześcijaństwa, dotąd wierni Stolicy Apostolskiej, są odsuwani, a wracają ekskomunikowani duchowni tacy jak Paul Lei Shiyin, który święcenia biskupie otrzymał w 2011 roku bez zgody papieża, a na dodatek ma żonę i dziecko. Wiadomo także, że Lei odprawił w swojej diecezji mszę ku czci narodzin Komunistycznej Partii Chin.

Bilans paktowania z KPCh

Ugoda z Pekinem nie poprawiła sytuacji katolików w Chinach. Tak zwana polityka sinizacji religii prowadzona od 2013 roku przez Xi Jinpinga tylko się nasiliła. Kampania ta zakłada, że kościoły, m.in. za pomocą symboli, muszą dostosować się do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". W praktyce polega to m.in. na tym, że z kościołów zaczęto usuwać krzyże i umieszczać portrety Xi Jinpinga i Mao Zedonga, a na dzwonnicach pojawiły się flagi komunistycznych Chin.

W tej chwili władza wykorzystuje pandemię, żeby narzucać kolejne ograniczenia na kościoły. I tak na przykład nie wpuszcza się do świątyń młodych, rzekomo w imię zachowania zasad bezpieczeństwa w czasie COVID-19. Co chwila też straszy się parafie, że mogą zostać zamknięte, bo a to nie podają pełnych rejestrów wiernych, a to że na podłodze świątyni nie są odpowiednio narysowane linie wskazujące, w jakich odstępach mogą tam przebywać wierni w czasie pandemii.

Od momentu podpisania porozumienia władze blokują lub wręcz zamykają budowę budynków sakralnych, które otrzymały już pozwolenia na powstanie. Księża trafiają na komunistyczne szkolenia, które nie są niczym innym jak praniem mózgów. Kapłani z Kościoła podziemnego są zmuszani do wstąpienia do Stowarzyszenia Patriotycznego, a ci oporni są aresztowani i przetrzymywani w tajnych miejscach, gdzie nikt – ani rodzina, ani wierni – nie ma dostępu. Przed umową niektóre parafie mogły nadal odprawiać Msze święte w domach wiernych; wraz z podpisaniem porozumienia tymczasowe miejsca modlitwy zostały zamknięte, a wiernym, którzy organizują nabożeństwa u siebie w domach, grozi się aresztowaniami i wysokimi grzywnami. Zmusza się ich też do podpisania dokumentu, w którym obiecują, że nigdy więcej nie będą już gościć u siebie kapłanów.

Umowa przyniosła niewielki postęp w kwestii nominacji biskupich. Od 2018 roku Chinach mianowano tylko sześciu nowych biskupów, a nadal jest co najmniej 40 wakatów biskupich. Wielu podziemnych biskupów i księży pozostaje w więzieniach lub w areszcie domowym.

Próbowano bronić porozumienia Watykanu z Pekinem stwierdzeniem, że uchroniło ono od schizmy kościelnej. Kardynał Joseph Zen taki argument nazywa niedorzecznym, bo ta schizma już istnieje. „Papieże unikali używania słowa »schizma«, gdyż wiedzieli, że wiele osób z oficjalnej wspólnoty katolickiej znajduje się tam nie ze swej wolnej woli, lecz pod silnym naciskiem. Sugerowane »zjednoczenie« zmusi każdego do przyłączenia się do tej wspólnoty. Watykan udzielił błogosławieństwa na nowo wzmocnionemu Kościołowi schizmatyckiemu, pozbawiając wyrzutów sumienia tych wszystkich, którzy już są dobrowolnymi renegatami, i tych pozostałych, którzy chętnie się do nich przyłączą".

Milczenie Franciszka

Informacja o ponownym przedłużenie porozumienia została ogłoszona przez Watykan 22 października 2022 roku. I był to moment nieprzypadkowy. Właśnie dobiegał końca XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin, na którym Xi Jinping uzyskał władzę absolutną. Ogłoszenie ważnej międzynarodowej umowy w tym czasie to dodatkowa legitymizacja rządów Xi na arenie światowej. Rządów, które przez ostatnie 10 lat polegały nie tylko na prowadzeniu polityki sinizacji religii, lecz także doprowadziły do powstania obozów koncentracyjnych dla Ujgurów w Xinjiangu i niszczenia swobód, które w międzynarodowych traktatach Pekin obiecał Hongkongowi.

Kardynał Zen często zwracał uwagę, że Watykan milczy w kwestii represji wobec członków Kościoła podziemnego, burzenia kościołów i usuwania krzyży oraz nadużywania władzy i łamania praw człowieka w Xinjiangu i Hongkongu. Poza milczeniem jest też autocen-

eprasa.pl 081494c15f

zura. Według Christophera Altieri, amerykańskiego dziennikarza kierującego rzymskim biurem gazety „Catholic Herald", w lipcu 2020 roku watykańscy dziennikarze otrzymali informację, że podczas jednego ze swoich niedzielnych wystąpień papież Franciszek odniesie się do sytuacji w Hongkongu. Tak się jednak nie stało.Włoski dziennikarz, Marco Tosatti, opublikował fragment dotyczący Hongkongu, który pierwotnie był w tekście przemówienia, a który ostatecznie Franciszek pominął. W pominiętym urywku wyrażono zaniepokojenie nad losem Hongkończyków w związku z nową ustawą dotycząca bezpieczeństwa narodowego narzuconą byłej kolonii brytyjskiej przez KPCh.

Kardynał Zen uważa, że owo milczenie i autocenzura Franciszka to właśnie cena podpisanego porozumienia między Watykanem a rządem Chińskiej Republiki Ludowej.

90-letni kard. Zen od początku wskazywał, jak niebezpieczna jest ugoda z Pekinem, i apelował do Watykanu, by jej nie przedłużał. Nic więc dziwnego, że stał się dla KPCh jednym z głównych wrogów. To na polecenie chińskich komunistów wytoczono mu proces w Hongkongu, który ruszył tuż przed tym, gdy Watykan przyznał się, że porozumienie z Pekinem jednak będzie miało swój dłuższy żywot. Kardynała Zena oskarżono o niezarejestrowanie na policji nieistniejącej już fundacji wspierającej prodemokratycznych demonstrantów w pokrywaniu kosztów prawnych i medycznych. Watykan jak na razie milczy i nie udzielił żadnego wsparcia hongkońskiemu duchownemu. W wypowiedzi dla włoskiej gazety „Il Messaggero" kard. Gerhard Ludwig Müller, były prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, stwierdził, że przed procesem kardynała „nikt nie poruszył na spotkaniu kardynałów bardzo poważnego problemu naszego brata Zena. Ani dziekan Kolegium kardynalskiego, ani sekretarz stanu kard. Pietro Parolin, ani papież. Nie było żadnego dokumentu solidarności, żadnej inicjatywy modlitewnej za niego".

Zauroczenie komunizmem

Benedict Rogers, brytyjski działacz na rzecz praw człowieka i dziennikarz, zwrócił uwagę na jeszcze jedną zbieżność czasową. 22 października w Kościele katolickim to dzień liturgicznego wspomnienia św. Jana Pawła II. To również rocznica uroczystej inauguracji pontyfikatu polskiego Ojca Świętego.

Rogers sam będący katolikiem, uważa, że wybranie takiego czasu na podanie informacji o przedłużeniu porozumienia Watykanu i Pekinu „wyglądało prawie tak, jakby zwolennicy tej podejrzanej umowy chcieli odrzucić wielkiego papieża, który odegrał tak centralną rolę w walce z komunizmem i wniósł tak znaczący wkład w upadek Związku Radzieckiego".

Na odmienny stosunek do komunizmu Jana Pawła II i Franciszka zwraca uwagę także kard. Zen, który w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" stwierdził, że polski papież nigdy nie zawarłby umowy z Pekinem i nie milczałby w sprawie Hongkongu. „Papież Jan Paweł II rozumiał myślenie komunistów. Doznał cierpień od nazistów i pod rządami komunistów. Wiedział, gdzie leży prawda, i miał jasne poglądy.

Papież Franciszek pochodzi z Ameryki Południowej. Tam panuje wizja komunistów jako obrońców biednych, jako wrogów rządów. Niektórzy z nich cierpieli i zginęli z rąk wojskowych reżimów. I Ojciec Święty pewnie się jakoś z tymi komunistami solidaryzuje. Komuniści w Polsce i Chinach to zdecydowanie prześladowcy. Oni niszczą Kościół".

W Watykanie mówi się o słabości Franciszka do Chin, ale i o zauroczeniu komunizmem. To czasem manifestuje się w dość trudnej do zrozumienia formie. W 2016 roku w wywiadzie dla włoskiego dziennika „La Repubblica" Franciszek zszokował wielu wiernych, twierdząc, że „komuniści myślą jak chrześcijanie". Na początku 2017 roku, tuż przed Chińskim Nowym Rokiem, Ojciec Święty udzielił wywiadu portalowi Asia Times, w którym ani słowem nie wspomniał o prześladowaniach chrześcijan w Chinach. Za to Franciszek chwalił ChRL jako „skarbnicę mądrości" i „kraj błogosławiony z wielu względów", a pytany na przykład o politykę kontroli populacji, unikał odpowiedzi krytycznych wobec komunistycznych władz w Pekinie. Prowadzący wywiad Francesco Sisci zastrzegł, że celowo nie pytał papieża o skomplikowane kwestie polityczne i stosunki między Chinami a Watykanem. I nic dziwnego. Pytanie na przykład o sytuację katakumbowych katolików w Państwie Środka pewnie było niewygodne dla włoskiego dziennikarza, który jest częstym gościem państwowej stacji CCTV w Chinach, a swego czasu postulował współpracę Włoch z chińską Centralną Szkołą Partyjną, instytucją, której celem jest kształcenie komunistycznych kadr przywódczych.

Kardynał Joseph Zen Ze-kiun uważa, że milczenie w sprawie prześladowań w Chinach i porozumienie z Pekinem na dłuższą metę sprawi, iż Kościół katolicki straci „godność i wiarygodność". Benedict Rogers w artykule dla katolickiej agencji UCA News napisał, że minimum, jakie teraz powinien zrobić Franciszek, by odzyskać moralny autorytet papiestwa, to przestać milczeć na temat okrucieństw KPCh. Watykan musi też zacząć „prowadzić dialog nie z Pekinem, lecz z katolikami w Chinach i na całym świecie, a także z przedstawicielami innych chrześcijan w Chinach, Ujgurami, Tybetańczykami, ruchem prodemokratycznym w Hongkongu i na Tajwanie (z którymi Stolica Apostolska jest nadal jednym z nielicznych państw utrzymujących stosunki dyplomatyczne)" – stwierdził Rogers. ■

eprasa.pl 081494c15f



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wioska, do której łatwo trafić

Znajduje się na równinie Patac. Na filipińskiej wyspie Mindanao. Nieopodal miasta Cagayan de Oro pamiętającego tragiczny w skutkach tajfun z 2011 roku. Tyle topografia. Trafić do wioski można jednak również bez mapy i kompasu. Wystarczy pokierować się sercem.

eprasa.pl 081494c15f



eprasa.pl 081494c15f



W budowę Mother of Divine Mercy Village włączyli się przede wszystkim sami Filipińczycy.

Mary, ścisz, proszę, tę muzykę! – Kobieta krzątająca się przy ulokowanym na zewnątrz domu zlewozmywaku przystaje. Cofa się kilka kroków, by zajrzeć do wnętrza izby. Musi się wpierw nieco schylić. Wejście zagradza wisząca pod sufitem różowa postrzępiona zasłonka.

– Mamo, już i tak słucham cicho – odpowiada ze środka dwunastoletnia dziewczynka. Po chwili jednak posłusznie ścisza radioodbiornik.

– Pomogłabyś mi w praniu lepiej... – rzuca na odchodne kobieta, wracając do swoich zajęć.

– Dobrze, zaraz przyjdę – słychać w odpowiedzi łagodny głos dziewczyny. – Daj mi tylko jeszcze kilka minut.

Po chwili córka faktycznie przychodzi. Dziewczyna chwyta za leżące w plastikowej miednicy ubrania i rozwiesza je na długim zielonym sznurze przebiegającym w poprzek domowego podwórza. – Mamo, a pojedziemy jutro do miasta? – Mary nie odwraca twarzy w stronę mamy. Wzrok ma skoncentrowany na rozwieszanej zamaszyście pościeli.

Kobieta nie odpowiada. Wie, że nie stać ich na większe zakupy. A tym samym na wizytę w centrum miasta, o czym marzy dorastająca córka. W chwili ciszy, jaka zapada między tą dwójką, słychać naraz echo krzyków dzieci biegających gdzieś poniżej chaty. Prawdopodobnie pędzą wzdłuż brzegów rzeki, puszczając imitacje wystruganych przez siebie łódek. To jedna z ulubionych zabaw dzieci z przedmieścia Cagayan de Oro. Na tym odcinku brudna, brunatna woda płynie już naprawdę wartkim nurtem. Zatoka Macajalar na Morzu Mindanao jest wszak na wyciągnięcie ręki. Wody rzeki Cagayan znajdą tam swoje ujście dosłownie za kilka kilometrów. Na dolnym odcinku rzeka płynie więc możliwie szeroko i bystro. Dla dzieci to naprawdę wielka frajda.

– Manly mówi, że oni z rodzicami i rodzeństwem będą jutro jechać. Może zabralibyśmy się z nimi?

– Manly jest taki mądry, bo jego ciocia dostała ostatnio pracę na farmie. Pod Kalilangan. To inna sytuacja, kochanie. My raczej jutro do centrum nie pojedziemy...

Dzień jak co dzień. Ot, popołudniowa rozmowa matki z nastoletnią córką. Wspólna praca, domowe porządki. Kilkusettysięczne miasto Cagayan de Oro powoli szykuje się do wieczora. Jest piątek, 16 grudnia 2011 roku.

Późnym wieczorem nad nadbrzeżnym miastem bardzo szybko zaczynają gromadzić się groźnie wyglądające ciemne chmury. Zaczyna wiać porywisty wiatr. W ciągu kilku godzin deszcz przeradza się w tragiczną ulewę. Wiatr osiąga prędkość 95 kilometrów na godzinę. Zaczyna zrywać dachy, budząc pogrążonych w śnie mieszkańców. Zasilona przez ulewne deszcze rzeka Cagayan podmywa kolejne metry gliniastego brzegu, na którym część ludzi ma domostwa. Fala przybiera w dramatycznie szybkim tempie. Nad ranem rzeka zaczyna penetrować ulice i zaułki, porywając mieszkańców, meble i przedmioty. Płynąca z górskiego regionu masywów Katanglad i Kalatungan woda niesie w tej chwili ze sobą już nie tylko bryły błota i ziemi, lecz także wszystko to, co stanęło na jej drodze. Śmieci, kontenery, ławki, latarnie. Także jadowite węże i skorupiaki.

eprasa.pl 081494c15f



Ksiądz Dariusz Drzewiecki MIC jest ze swymi filipińskimi podopiecznymi na dobre i na złe. Tutaj w trakcie ceremonii pogrzebowej małego dziecka.

Powódź zabiera również dom Mary. Niczego nieświadoma dziewczynka momentalnie znajduje się w rzece. Podobnie jak wszyscy jej najbliżsi. Mary przez chwilę widzi jeszcze głowę swego starszego brata szukającego w rzecznych odmętach swego małego synka. Wkrótce okaże się, że obaj utonęli. Podobnie jak mama Mary i jej trzecie dziecko. Z całej rodziny ocaleje tylko ona.

Filipiński Hiob

Tajfun Sendong. Pierwszy od dziesiątek lat, który uderza w północne wybrzeże wyspy Mindanao. Jej mieszkańcy żyli do tej pory we względnym spokoju, jeśli chodzi o pogodowe kataklizmy...

Widząc, jak gwałtownie podnosi się poziom wody, rodzina Lasquite decyduje się wejść na dach swego domu. Gdy matka i sześcioro dzieci wtuleni w siebie siedzą już na szczycie, dołącza do nich ojciec. Dopiero teraz rodzina orientuje się, że na podobny pomysł wdrapania się na dach domu zdecydowało się więcej rodzin. – Ma, Pa... – wśród narastającego stukotu kropel obijających się o blaszaną dachówkę domu słychać delikatny dziecięcy głosik. To jedno z dzieci państwa Lasquite. Wtula się w rodziców. – Mamo, tato... Błagam, pomóżcie mi. Nie chcę jeszcze umierać!

Błotnista fala w kilka sekund dociera na poziom dachu zajętego przez ośmioosobową rodzinę. Porywa wszystkich. Każdy usiłuje złapać się czegokolwiek, co pomogłoby mu utrzymać się na powierzchni rozszalałej rzeki. Część chwyta się wielkiej drewnianej belki, która przepływa obok. Jednak nie każde z dzieci będzie mieć wystarczająco siły, aby drobnymi rączkami utrzymać się mknącej po powierzchni wody kłody.

Wczesnym rankiem ojciec rodziny – ogołocony z ubrania, który zdarła z niego rzeka – spostrzeże, jak ratownicy wydobywają z chaszczy najmłodsze z jego dzieci. Pomimo wielu ran i siniaków pokrywających całe ciało dziecko nadal żyło. Miało szczęście. Znacznie więcej od pozostałego rodzeństwa. Z trojga zaginionych dzieci państwa Lasquite ratownicy odnajdą tylko jedno. Dwoje do dziś uznawane jest za zaginione.

Jeszcze inna rodzina w ciągu tragicznej nocy traci wszystkie siedmioro dzieci. Nie znajdując ani jednego ciała. Podobnych dramatów jest tej nocy w Cagayan de Oro więcej.

Najgorsza z decyzji

Widząc nadchodzące zagrożenie, Lourdes i Vincent nakazują wszystkim swoim dzieciom jak najszybciej wyjść z domu. Doskonale zdają sobie sprawę, że tajfun przybiera na sile i w każdej chwili ich dom może stać się dla nich śmiertelną pułapką. Dzieci posłusznie opuszczają domowe mury. Wychodzą bez niczego. W samych tylko piżamach. Zaraz za nimi rodzice. Są w tej chwili nie mniej przerażeni od własnych dzieci. Ciemną noc co rusz przeszywają groźne pomruki łamanych przez wichurę drzew. I ten wszechobecny szum przelewającej się wkoło wody. Przemieszany z narastającym odgłosem ulewy. Zagłuszającym wszystko dokoła.

– Wziąłeś dokumenty? To ważne. Nie wiemy, kiedy tu wrócimy! – Lourdes zwracając się do męża, próbuje przekrzyczeć hałas żywiołów.

eprasa.pl 081494c15f



Pomimo traumatycznego doświadczenia, straty, bólu, biedy... W Wiosce Matki Bożej Miłosierdzia panuje przede wszystkim uśmiech.

– Nie, nie mogłem znaleźć! – odkrzykuje Vincent. W tym momencie kolejna fala błotnistej brei podmywa ich stopy. Stają już po łydki w wodzie.

– Powinny być w kuchni. Przy regale – mówi Lourdes. – Poczekaj, wrócę się po nie.

– Pójdę z tobą. We dwoje szybciej znajdziemy... – mężczyzna rusza za żoną w kierunku domu. Odwraca się jeszcze w stronę bezradnie stojącej na chodniku dwójki dzieci. – Poczekajcie na mnie i na mamę, dobrze? Musimy po coś wrócić. Za chwilę będziemy z powrotem.

Jak się za kilkanaście sekund okaże, ta decyzja zaważy na całym ich przyszłym życiu. W momencie, gdy oboje będą przeszukiwać dom, przez podwórko przeleje się błotnista fala powodziowa. Porywając ze sobą dwójkę ich ukochanych dzieci. Zabierając na niechybną śmierć. „Do dziś nie możemy sobie wybaczyć tamtej decyzji..." – szlochają dziś, gdy ktoś pyta ich o tamto zdarzenie.

Mother of Divine Mercy Village

Szacuje się, że w feralnym grudniu 2011 roku tajfun Sendong zabił 1259 ludzi. Blisko tysiąc osób nadal – po upływie 11 lat – uznawanych jest za zaginionych. W większości chodzi o dzieci. Ich ciał do dziś nie udało się odnaleźć.

Po opadnięciu fali ludzie nie mieli dokąd wracać. Większość domów spłynęła do zatoki. Razem z całym dobytkiem. Meblami, ubraniami, zabawkami, wyposażeniem kuchni. Wszystkim, co i tak biedni Filipińczycy północnego wybrzeża wyspy Mindanao mieli na wyposażeniu swych gospodarstw. Cały świat stanął teraz przed nie lada wyzwaniem. Jak pomóc tysiącom bezdomnych? Jak zadbać o pozbawionych wszystkiego ludzi? O rodziny, z których znaczna część została przez tajfun zdziesiątkowana? Z zabitymi dziećmi, z nieżyjącymi rodzinami? Z osieroconymi niemowlakami? Filipiński dramat, który nie mógł nie obchodzić świata. A zwłaszcza ludzi, którzy mocno wierzą, że Opatrzność ma na wszystko swój Boży plan. I że nie liczy się to, ile mamy. Ale to, ile możemy dać. Z siebie.

Tak oto w pomoc poszkodowanym zaangażował się Kościół. Zwłaszcza Kościół Misyjny. Obecny na Filipinach od lat.

Wśród nich m.in. Ojcowie Sercanie oraz Zakonnicy Mariańscy, którzy podjęli się bardzo konkretnego dzieła. Budowy dla bezdomnych ofiar tajfunu nowego miejsca do życia. Wzniesionego od podstaw. W bezpiecznym miejscu. Tak powstała koncepcja Mother of Divine Mercy Village. „Czyli Wioski Matki Bożej Miłosierdzia" – tłumaczy ze spokojem ksiądz Dariusz Drzewiecki MIC, dziś administrator projektu.

Ludzie chcą pomagać

– Kryzys był gigantyczny – wspomina dziś ksiądz Dariusz. – Lokalny samorząd we współpracy z filipińskimi władzami centralnymi podjęli wprawdzie wstępne starania mające zorganizować pomoc bezdomnym,

eprasa.pl 081494c15f



W tym roku tym dziewczynkom w szkolnej wyprawce niczego nie zabraknie.

ale wszystko to bardzo szybko zostało skutecznie wyhamowane. Zaczęła się biurokracja, zaczęła się polityka... Trzeba było wziąć sprawy w swoje ręce.

Pierwszym wyzwaniem, przed jakim stanęły misyjne zakony obecne na Mindanao, był zakup ziemi. Łącząc swoje siły, zakony zakupiły razem za 22 543 400 filipińskich pesos 7,3 hektara na nieodległej od zniszczonego Cagayan de Oro równinie Patac. To właśnie tam miało wkrótce powstać nowe miasteczko. Wioska Matki Bożej Miłosierdzia. Tuż obok sanktuarium Bożego Miłosierdzia w El Salvador prowadzonego przez księży marianów.

Sanktuarium powstało zaledwie trzy lata przed tajfunem. Staraniem grupy świeckich osób, czcicieli Bożego Miłosierdzia, wykupiono wpierw nad samym morzem 11 ha ziemi i – jak powiadają dziś sami założyciele grupy – z natchnienia Bożego wybudowano tamże piętnastometrową figurę Jezusa Miłosiernego. Wioska Matki Bożej Miłosierdzia miała powstać właśnie 10 kilometrów od stóp tej figury.

Wioskę miały tworzyć jednakowo murowane domki. Ustawione jeden przy drugim. – To proste budynki o powierzchni 32 metry kwadratowe każdy – tłumaczy ksiądz Dariusz. – Niektóre mają obok niewielkie ogródki. Chodziło o to, aby ludziom tu się sprowadzającym dać choćby imitację domu rodzinnego, który przecież bezpowrotnie stracili.

W 2013 roku koszt wybudowania jednego takiego domku wynosił niespełna 10 tys. złotych. Konieczne do budowy środki misjonarze zbierali także w Polsce. W akcję pomocy angażowały się katolickie fundacje pracujące przy misyjnych zakonach. – Zaangażowali się wszyscy. To było naprawdę niesamowite. Mieliśmy wsparcie naszych współbraci z Polski. Mieliśmy wsparcie świeckich wpłacających swoje darowizny – wspomina czas budowy marianin.

Pomysły na pomoc były bardzo różne. Ojcowie sercanie zbierali na przykład datki na zakup worków cementu. – Wówczas cena jednego takiego worka na Filipinach to była równowartość 20 złotych – komentują dziś zakonnicy. – A do wybudowania jednego takiego domku potrzeba było 51 worków.

– Odzew na akcję wśród naszych darczyńców był nieprawdopodobny – stwierdza ksiądz Łukasz Wiśniewski MIC, dyrektor Stowarzyszenia Pomocników Maryańskich, które także zaangażowało się w zbiórkę. – Te pojawiające się w naszej przestrzeni medialnej obrazy przedstawiające nagłą katastrofę zabierającą w kilka chwil ludziom wszystko, co mieli, naprawdę poruszały ludzi. I mimo, że dla wielu z nas Filipiny to naprawdę odległa rzeczywistość, ludzie chcieli pomagać.

▶ Wioska dziś

Słońce jest już wysoko. Słupki rtęci przekraczają 30 stopni Celsjusza. Wąska trasa asfaltowa prowadzi wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Większość drewnianych słupków podtrzymujących ogrodzenie jest przekrzywiona. Po drugiej stronie widać pole uprawne kukurydzy. Nieco dalej rosnące palmy koko-

eprasa.pl 081494c15f



Posiłek dla najmłodszych.

sowe. Mijamy także uprawę kauczukowca. Wszędzie dużo zieleni. Nad głowami ulicy, którą jedziemy, ciągną się linie wysokiego napięcia. Na drodze głównymi uczestnikami ruchu są kierowcy skuterów. Te mijają nas zdecydowanie najczęściej. Zwalniamy, by przy niewielkim domku z dachem z czerwonej blachy skręcić w boczną drogą gruntową. Po kilku metrach mijamy czerwone słupy podtrzymujące niebieski napis: „Welcome. Mother of Divine Mercy Village". Jesteśmy już prawie na miejscu.

Dalej szutrowa droga prowadzi wzdłuż zielonych krzewów i niskich pojedynczych drzew. Gdzieś pasie się wychudzona krowa. Za zakrętem stoi półciężarówka przewożąca świnie. Tuż za nią widać podniesiony żółty szlaban. Wjeżdżamy na teren miasteczka. Witają nas rozwieszone na okolicznym płocie kolorowe ubrania. Część domków otoczona jest bambusowym płotkiem. Przyozdobionym doniczkowymi kwiatami. W cieniu rozłożystych drzew odpoczywa starszy mężczyzna. Nieco dalej trzech chłopców biega za niewielką piłką. Środkiem piaszczystej drogi przechodzi leniwie bezdomny pies. Gdy kończy się zabudowa, widać wreszcie roztaczającą się dokoła okoliczną równinę. Kilka drzew, połacie trawy, pojedyncze kałuże błota. Gdzieniegdzie walające się śmieci. Do morza jest stąd półtora kilometra.

– To był istotny warunek podczas wyboru zakupu ziemi pod wioskę – tłumaczy ksiądz Dariusz. – Większość tych ludzi do dziś nosi w sobie bardzo poważną traumę związaną z wodą. Nie chcieliśmy wywoływać wspomnień ani niepotrzebnie narażać na kolejne niebezpieczeństwo. Stąd właśnie wybór równiny Patac. Możliwie daleko do morza.

Nieco dalej zaczyna się nowa część osiedla. Tutaj domy są już murowane. Niemal jednakowe. Z dachówką w kolorze czerwonym, białym, żółtym, zielonym oraz niebieskim. W sumie 551 budynków ustawionych dość ściśle w architektoniczną szachownicę. Jeden przy drugim. We wschodniej części wioski widać też betonowe boisko do koszykówki. Oto Mother of Divine Mercy Village. Oto Wioska Matki Bożej Miłosierdzia.

Najpierw tajfun, potem pandemia

Wśród wszystkich krajów Azji Filipiny były drugim najbardziej dotkniętym pandemią COVID-19. Fala zachorowań przestraszyła władze do tego stopnia, że zdecydowały się na najbardziej restrykcyjne obostrzenia w rejonie. Mieszkająca w Wiosce Matki Bożej Miłosierdzia uboga społeczność otrzymała w ten sposób kolejny cios. Nagle i tak ledwo wiążące koniec z końcem rodziny (wskutek tragicznego w skutkach tajfunu Sendong często pozbawione ojców bądź matek) musiały drastycznie obniżyć swoje wydatki. Większość mieszkańców pracowała do tej pory w branży turystycznej. W sytuacji pandemii i ogłaszanych kolejnych lockdownów właśnie ta branża jako pierwsza zaczęła odczuwać kryzys. Do tego doszły rozporządzenia filipińskiego rządu o obowiązku pracy co drugi dzień. Siłą rzeczy dochody ludzi z dnia na dzień zaczęły spadać o połowę. Przed

eprasa.pl 081494c15f

pandemią wielu ludzi szukało pracy poza granicami kraju, aby w ten sposób wspomagać swoich bliskich pozostających w ojczyźnie. Pandemia położyła kres także tej formie zarobkowania. Mieszkańcom Wioski Matki Bożej Miłosierdzia zajrzała w oczy kolejna po tajfunie klęska. Tym razem głodu i egzystencji.

– Robimy, co możemy, aby pomóc tym ludziom – dodaje z lekko wyczuwalną rezygnacją w głosie ksiądz Dariusz. – Jak kogoś nie stać na trumnę dla zmarłego ojca, kupujemy mu trumnę. Jak komuś spalił się dom, próbujemy mu go odbudować. Jak ktoś jest głodny, szukamy dla niego jedzenia. Jak ktoś nie ma na prądu, szukamy pieniędzy, aby mu za ten prąd zapłacić. A jak idą Święta Bożego Narodzenia, staramy się, aby dzieci dostały przynajmniej raz na kilka lat jakikolwiek prezent pod choinkę. To są bardzo często pierwsze prezenty w ich życiu.

Worek z piórnikiem

Alberto jest bardzo wesoło usposobionym chłopcem. Ma dopiero pięć lat, ale już przyzwyczaił się do samodzielności. I organizowania sobie wolnego czasu. Samotnie utrzymujący rodzinę ojciec większość czasu spędzał do tej pory w hotelu, w którym pracował. Wskutek pandemicznych obostrzeń hotel zamknięto, a obsługę zwolniono. Mężczyzna z dnia na dzień stał się bezrobotny. Z czwórką dzieci na utrzymaniu. Alberto nic z tego jeszcze nie rozumie. Na swój sposób cieszy się z faktu, że tata częściej jest w domu. Gdyby nie pomoc darczyńców, którzy za pośrednictwem Stowarzyszenia Pomocników Mariańskich przekazali środki księdzu Dariuszowi, nie miałby dziś co jeść. Na szczęście ludzi o wrażliwym sercu jest naprawdę dużo. Potrzebną na ten cel sumę udało się uzbierać.

– Zakupy ryżu, oleju i przypraw potrzebnych do przygotowania najpopularniejszego w wiosce obiadu dla wielodzietnej rodziny na tydzień to równowartość 90 złotych – wylicza znający filipińskie realia ksiądz Dariusz.

Gina jest w innej sytuacji niż Alberto. Ojca nie ma już od dawna. Zginął podczas uderzenia tsunami. Dziewczynka ma dziś 10 lat. Jej mama jako wdowa nie może liczyć na jakąkolwiek pomoc od państwa. Bardzo pragnie spełnić marzenie córki i posłać ją do szkoły. Tymczasem warunkiem pójścia do szkoły jest kupno przyborów szkolnych oraz obowiązkowego na Filipinach mundurka. Na taki zaś wydatek mamy Giny po prostu nie stać.

– W tym roku mieliśmy w naszej wiosce liczne spotkania z dziećmi, aby rozdać każdemu z nich niezbędne przybory do rozpoczynającego się roku szkolnego – wspomina wrześniowe poranki ksiądz Dariusz, gdy z plastikowymi workami pełnymi piórników, ołówków, kredek i gumek do ścierania wędrował piaszczystymi uliczkami Mother of Divine Mercy Village. – Takich przepełnionych wdzięcznością twarzy, jak te obdarowanych przez nas filipińskich dzieci, nie widziałem nigdy wcześniej.

Cudowna posługa

– To naprawdę jest wioska cudów. Z jednej strony faktycznie nie mamy tu za kolorowo. Jest bieda, jest bezrobocie, są narkotyki. Z drugiej jednak strony wiara tych ludzi sprawia, że jesteśmy tu co rusz świadkami jakiegoś cudu – zdradza ksiądz Dariusz.

Gdy mam wyłączony dyktafon, opowiada mi historię dwunastoletniego Sunny Boya. Sparaliżowanego wskutek anemii i reumatyzmu. W czasie pandemii nie sposób było dostać się do szpitala, więc jego stan gwałtownie się pogarszał. W trakcie rozmów kwalifikacyjnych do bierzmowania z księdzem Dariuszem coś w chłopcu pękło. Stan był już na tyle poważny, że nie mógł się już ruszać. Ze łzami w oczach poprosił marianina o modlitwę o uzdrowienie. Ten się zgodził.

– Wkrótce okazało się, że znalazły się w Polsce osoby, które poprzez nasze Stowarzyszenie Pomocników Mariańskich chcą pomóc temu chłopcu. Za pozyskane środki udało się znaleźć dla chłopca miejsce w szpitalu. I zoperować. Dziś Sunny Boy tańczy i jeździ na rowerze – kończy historię ksiądz Dariusz.

Podobnych cudów ksiądz Dariusz zobaczył w wiosce, której od roku jest administratorem, już wiele. – Są też cuda innego rodzaju... – kontynuuje duchowny. – Rok temu obchodziliśmy na Filipinach pięćsetlecie chrztu. Biskupi ogłosili więc zawieszenie dekretu o zakazie chrzczenia dzieci pochodzących ze związków niesakramentalnych. Teraz ochrzczeni mogli zostać wszyscy, którzy tego pragnęli. Pamiętam, jak samego tylko 14 kwietnia przyszło do mnie ponad 70 osób, aby się ochrzcić. W tym ponadsiedemdziesięciolatek. Nie wiem, czy to nie jeszcze większe cuda niż te związane z uzdrowieniami.

Dziś misjonarz nie widzi siebie gdzie indziej niż właśnie na filipińskim Mindanao. Pośród wdów, sierot i ludzi biednych – mieszkańców Wioski Matki Bożej Miłosierdzia pod El Salvador.

– Bo właśnie tutaj tego miłosierdzia doświadczam niemal codziennie – kończy. ■

***

Środki na potrzeby dzieci mieszkających w Wiosce Matki Bożej Miłosierdzia na Filipinach nadal są zbierane wśród ludzi dobrej woli. Jeśli chcesz, możesz pomóc. Ofiary na ten cel zbiera:

Centrum Pomocników Mariańskich
Bank Pekao S.A. VII O/Warszawa
60 1240 1109 1111 0010 7752 5847
z dopiskiem: Dla rodzin z Filipin

eprasa.pl 081494c15f

Olga Doleśniak-Harczuk



By nie wyparowało

W arcyciekawym portrecie Angeli Merkel, który ukazał się pod koniec listopada na łamach tygodnika „Der Spiegel", dziennikarz, Aleksander Osang, nawiązując do poczucia odpowiedzialności bądź winy Merkel za fatalną politykę Niemiec względem Rosji, pisze: „Jedyne, co może teraz zrobić, to przyznać się do błędu, upaść na kolana. Wszyscy chcą przeprosin, przede wszystkim za politykę względem Rosji. Chce tego zarówno Wolfgang Schäuble, jak i 86 proc. czytelników newsletteru magazynu »Zeit«. Ale ona – tak przynajmniej to wygląda – nie chce przeprosić, ponieważ nie wie, czy istotnie źle obstawiła, czy historia na końcu nie przyzna jej racji".

Patrząc na werwę, z jaką główna architekt ostatnich kilkunastu lat polityki Berlina względem Rosji podchodzi do uznania swoich błędów, trudno się spodziewać, by inni nie poszli za jej przykładem.

Wprowadzenie

I tak postawa byłej kanclerz wyznaczyła standardy zachowania dla pozostałych. Za każdym razem, gdy w Niemczech po 24 lutego 2022 roku, czyli w warunkach już osadzonych w zapowiedzi „Zeitenwende", pada pytanie o rozliczenie elit politycznych z ich zaangażowania we wzmacnianie sojuszu niemiecko-rosyjskiego, okazuje się, że rozliczenia nie będzie, że „to nie jest właściwy czas". Niezależnie od niechęci niemieckich elit do powołania odpowiedniej komisji Bundestagu (a pojawiły się takie propozycje; pierwsze, werbalne, szybko wyciszone – w kręgach CDU, następnie głośniejsze, już w formie sformalizowanej, ale też wyciszone – w środowisku Zielonych) trzeba pamiętać, kto imiennie wspierał sojusz Berlina z Kremlem. Testem dla polityków i posłów Bundestagu w temacie Rosji często były debaty i spory na ten temat prowadzone w parlamencie. Poniżej znajdą Państwo krótki fragment debaty z 18 września 2020 roku, dotyczącej ówczesnego postulatu Zielonych, by przerwać budowę Nord Stream 2. To jeden z najciekawszych zapisów wewnątrzparlamentarnego sporu, którego finał dziś już znamy, a który pozostanie czarną kartą w najnowszej historii państwa niemieckiego.

Na szczególną uwagę zasługują reakcje posła SPD, Carstena Schneidera (dzisiejszego ministra w kancelarii Olafa Scholza i pełnomocnika rządu federalnego ds. landów wschodnich) na wystąpienie Annaleny Baerbock (dzisiejszej szefowej niemieckiej dyplomacji). W tamtej

eprasa.pl 081494c15f

debacie Baerbock została jeszcze zaatakowana przez wielu innych posłów, w tym przez Manuelę Schwesig z SPD (wciąż piastującą funkcję premiera landu Meklemburgia-Pomorze Przednie), Jensa Koeppena z CDU/CSU (wciąż zasiadającego w Bundestagu, w kwietniu 2022 roku podczas głosowania nad dostarczeniem Ukrainie broni ciężkiej Koeppen jako jedyny członek klubu parlamentarnego chadeków zagłosował przeciw) i Timona Gremmelsa z SPD (w tej kadencji Bundestagu poseł ten zasiada w Komisji klimatu i energii). Z braku miejsca ograniczam się zaledwie do wycinka, ale i on oddaje tamtą atmosferę, a obserwując niezachwiane kariery posłów, którzy tak mocno wtedy bronili dokończenia budowy NS2, pytanie o jakiekolwiek rozliczenie, kogokolwiek staje się czysto retoryczne.

▶ 177. posiedzenie Bundestagu – 18.09.2020

Annalena Baerbock (Zieloni): „[...] Cały dzień rozmawialiśmy dziś o europejskiej suwerenności i europejskiej solidarności. Ale ta europejska suwerenność i europejska solidarność nie mogą istnieć, jeśli największy kraj, który obecnie sprawuje również prezydencję w Radzie UE, sam nie myśli i nie działa po europejsku, jeśli chodzi o kluczowy europejski projekt infrastrukturalny, Nord Stream 2. Nord Stream 2 dzieli Europę. Gazociąg podważa strategiczną suwerenność polityki zagranicznej i udaremnia europejskie cele klimatyczne i energetyczne. [Oklaski od Zielonych, Carsten Schneider (SPD): „Co za nonsens!" – Alexander Ulrich (Die Linke): „Chcecie więcej gazu z frackingu?" – przyp. aut.] [...] Baerbock, dalej: To, że od pięciu lat forsujecie budowę tego rurociągu [Carsten Schneider: „Chcecie gazu szczelinowania czy co?"] wbrew woli naszych wschodnioeuropejskich sąsiadów, jest naprawdę fatalne. [Carsten Schneider: „Aha!". I dalsze okrzyki z SPD i LINKE] Baerbock: Nieustannie ubolewacie, zwłaszcza w ostatnich dniach, nad dramatycznymi wydarzeniami na Białorusi – wydaje się, że jesteście naprawdę obciążeni faktem, że podjęliście takie decyzje – wojną na Ukrainie, bombardowaniem szpitali i szkół w Syrii, truciem członków rosyjskiej opozycji. Ale jednocześnie swoim politycznym poparciem dla tego gazociągu, udaremniacie wszelkie sankcje wobec Rosji, a także wspieracie Kreml miliardowymi dochodami za pośrednictwem spółki gazowej Gazprom.

Drodzy koledzy z CDU/CSU i SPD, która oczywiście czuje się tutaj szczególnie wezwana do tablicy, cofnijcie swoje polityczne... [Carsten Schneider: „Nie! A teraz nastąpi Apokalipsa!"] ...poparcie dla tego projektu! Nadszedł czas, aby pokazać charakter. Mamy jeszcze kilka dni. [krzyki SPD] W przeciwieństwie do tego, co mówiliście tutaj w ubiegłym tygodniu, jeszcze nie wydano zgody na ten gazociąg. Procedura rozdziału przewidziana w europejskiej dyrektywie gazowej jest nadal w toku. Takie jest prawo europejskie; i jako SPD również musicie to przyznać. [Carsten Schneider: „To, co proponujesz, to harakiri! Udaremnicie interesy Niemiec i Europy!"] Federalna Agencja Przesyłu jako naczelny organ regulacyjny musi jeszcze potwierdzić niezawodność tego rurociągu. Sprawa jest nadal w toku. [Okrzyki z Die Linke: „Niech pani tak głośno nie mówi!"] Mogłabym mówić ciszej, gdyby mnie teraz słuchano! W świetle zamachu na obywatela Rosji i działań Rosji w stosunku do Białorusi naprawdę trzeba się dobrze zastanowić, czy warto obdarzać rosyjski koncern państwowy takim zaufaniem. O tym, że przestrzeganie europejskich przepisów nie leży w interesie Nord Stream AG, świadczy fakt, że spółka nie była zarejestrowana w UE, ale w raju podatkowym Zug w Szwajcarii. Jeżeli teraz wrócą państwo do koncepcji, że to wszystko jest sprawą europejską, w której nie możemy nic zrobić na szczeblu krajowym, chciałbym jeszcze raz wyjaśnić państwu, że jesteście odpowiedzialni za to, że Nord Stream 2 stał się czysto niemiecką decyzją sprzeczną z interesami europejskich państw członkowskich. [Oklaski z ław Zielonych – Timon Gremmels z SPD: „27 z 28 państw członkowskich wyraziło zgodę!"] Baerbock: 26 z 27 państw członkowskich nie chciało tego gazociągu! Sama kanclerz Merkel musiała zwrócić się do pana Macrona [szmery z SPD: „O Mój Boże!"), aby zimą 2019 roku nie zapadła żadna decyzja na poziomie europejskim, ale specjalna decyzja [Timon Gremmels: „To fałszerstwo historyczne!"], że Nord Stream 2 jest regulowany wyłącznie na szczeblu krajowym. Dlatego są państwo odpowiedzialni za podjęcie decyzji teraz: ten rurociąg nie może powstać! Rurociąg ten nie jest tylko wymierzony przeciwko europejskim celom klimatycznym [...] on destabilizuje również Ukrainę. [Carsten Schneider: „Teraz to zamieniam się w słuch!"] Jeśli nie kupicie nadprogramowego gazu, to ukraiński gazociąg zostanie zamknięty. [Carsten Schneider: „Co za nonsens!"] Odpowiedni obowiązek istnieje tylko do 2024 roku. A teraz wyjeżdżacie tu cały czas z ochroną klimatu. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy przeczytałem w gazecie, że federalny minister finansów SPD [Carsten Schneider: „To bardzo dobry człowiek!"] powiedział teraz: »Oferujemy panu Trumpowi miliard euro, abyśmy w przyszłości mogli przyjmować nie tylko rosyjski gaz, lecz także gaz z USA«.To nie tylko udaremnia cele klimatyczne UE, lecz także udaremnia suwerenną wspólną politykę zagraniczną i bezpieczeństwa Unii Europejskiej. [...] W przyszłym tygodniu Rada UE podejmie decyzję w sprawie tego rurociągu, a Bundestag powinien zająć stanowisko w tej sprawie. Dziękuję bardzo. [Oklaski od Zielonych; Carsten Schneider: „Mamy bardzo jasne stanowisko w tej sprawie! Nie potrzebujemy Zielonych!"]". ■

eprasa.pl 081494c15f

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

▶ Tajwan–Chiny–Polska

6 października Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) jednogłośnie uznał, że ekstradycja Liu Hongtao, obywatela Tajwanu, do Chin, na którą zgodziły się wcześniej polskie sądy, naraziłaby go na znaczne ryzyko złego traktowania i tortur.

Liu miał należeć do grupy cyberprzestępców działającej w Europie, liczącej około 260 członków. Tajwańczyk skazany przez polski Sąd Najwyższy miał zostać poddany ekstradycji do komunistycznych Chin, które traktują Tajwan jako część swojego terytorium. Liu złożył apelację, twierdząc, że orzeczenie sądu naruszyło art. 3 i 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, które zakazują tortur i złego traktowania więźniów oraz gwarantują sprawiedliwy proces. Orzeczenie ETPC na korzyść Liu jest uważane za przełomowe, bo oznacza, że w innych krajach europejskich ekstradycje podejrzanych do Chin mogą stać się niemożliwe. Według ekspertów, ta decyzja z chwilą wejścia w życie powinna prowadzić do tego, że wszystkie aktualnie rozpatrywane wnioski o ekstradycję dotyczące Chin powinny zostać odrzucone, a ministerstwa sprawiedliwości w krajach europejskich powinny przestać zezwalać na składanie wniosków z Państwa Środka w celu rozpatrzenia sądowego. Także sprawy, które zostały zatwierdzone do ekstradycji, lecz nie są jeszcze przeprowadzone, powinny zostać umorzone.

Według Bena Keitha, prawnika specjalizującego się w sprawach ekstradycyjnych i mającego wieloletnie doświadczenie w pracy z ETPC, „wyrok w sprawie Liu jest niezwykły, jeśli chodzi o Europejski Trybunału Praw Człowieka. Jest to pierwsza sprawa, jaka trafiła do sądu w Strasburgu w związku z ekstradycją do Chin. Wieloma innymi podobnymi wnioskami sąd się nie zajął, na przykład dotyczącym 94 osób poddanych ekstradycji do ChRL z Hiszpanii".

Zaraz po wyroku ETPC, złożenie wniosku o ekstradycję Liu zapowiedziało tajwańskie Ministerstwo Sprawiedliwości.

W ostatnich latach nie jest to jedyna ekstradycja, o jaką wystąpiły Chiny do Polski, a która nie doszła do skutku. W marcu ubiegłego roku Sąd Apelacyjny w Warszawie zdecydował, że urodzony w Chinach obywatel Szwecji Li Zhihui nie zostanie wydany do ChRL. Mieszkający od 2012 roku w Szwecji Li jest biznesmenem, który aktywnie wspierał zwalczany przez komunistów chińskich ruch Falun Gong. W 2014 roku komunistyczne władze chińskie wszczęły śledztwo w jego sprawie i wysłały za nim międzynarodowy list gończy. Oficjalny zarzut wobec Li, jaki przedstawiła strona chińska, to nielegalne wyprowadzenie pieniędzy z Chin. Li Zhihui twierdził jednak, że oskarżenie to było bezpodstawne i stanowiło przykrywkę dla prawdziwych celów rządu chińskiego, czyli prześladowania go za działanie w ramach ruchu Falun Gong. Zhihui Li przez dwa lata czekał w areszcie Warszawa-Białołęka na decyzję polskiego wymiaru sprawiedliwości dotyczącą ekstradycji do Chin i ostatecznie Sąd Apelacyjny orzekł, że międzynarodowy list gończy Interpolu, na podstawie którego był ścigany, nie obowiązuje na terenie Polski.

eprasa.pl 081494c15f

Kambodża–Chiny

14 listopada bieżącego roku podczas konferencji prasowej, rzeczniczka chińskiego MSZ Mao Ning nazwała inwestycję jej kraju w bazę marynarki wojennej w Ream w Kambodży „normalną wymianą". Kilka dni wcześniej w czasie rozmowy z premierem Kambodży Hun Senem, prezydent USA Joe Biden wyraził zaniepokojenie działalnością Chin w bazie w Ream i zaapelował o pełną przejrzystość w sprawie chińskiego zaangażowania w projekt.

Do powiększenia bazy doszło po tym, jak władze Kambodży zniszczyły w Ream dwie instalacje ufundowane przez Amerykanów. Uważa się, że dobudowana pod pozorem chińskich inwestycji infrastrukturalnych nowa część bazy ma zostać przeznaczona do wyłącznego użytku chińskiej armii.

Baza w Kambodży będzie drugim takim zagranicznym obiektem wojskowym Chin po bazie morskiej w Dżibuti oraz pierwszym w kluczowym regionie Indo-Pacyfiku. Chińska baza w Dżibuti ma pilnować strategicznego przejścia przez Morze Czerwone, a ta w Ream wzmocniłaby pozycję militarną Chin w rejonie Cieśniny Malakka, przez którą płyną dostawy surowców energetycznych do Chin.

Chińska Biała Księga Obrony Narodowej z 2019 roku podkreśliła rozwój zdolności dalekomorskich i zamorskiego zaplecza logistycznego tak, by Flota Armii Ludowo-Wyzwoleńczej mogła zabezpieczyć morskie interesy Chin i strategiczne morskie linie komunikacji.

Ukraina–Tajwan

Tajwan zwrócił się do ukraińskich ekspertów ds. obrony o przygotowanie opinii, które mogłyby być przydatne w przeciwdziałaniu ewentualnej chińskiej inwazji. Jest to scenariusz coraz bardziej prawdopodobny po umocnieniu władzy przez chińskiego prezydenta Xi Jinpinga na niedawnym Zjeździe Komunistycznej Partii Chin.

Yurii Poita, szef Sekcji Azji i Pacyfiku w ukraińskim Centrum Studiów nad Armią, Konwersją i Rozbrojeniem, który niedawno przybył do Tajpej na stypendium w finansowanym przez wojsko tajwańskim think tanku Institute for National Defence and Security Research (INDSR), w wypowiedzi dla portalu Asia Sentinel stwierdził, że „Tajwan musi pogłębić stosunki z Ukrainą nie tylko po to, by wzmocnić swoją sieć sojuszy i wsparcie międzynarodowe, lecz także po to, by wyciągnąć wnioski z ukraińskiego systemu oporu".

Według Poita, najbardziej oczywistą lekcją dla Tajwanu płynącą z rosyjskiej inwazji na Ukrainę jest to, że przywódcy Ukrainy do ostatniej chwili nie spodziewali się inwazji na pełną skalę, mimo że zarówno ukraiński, jak i zachodni wywiad oceniały duże prawdopodobieństwo jej wystąpienia. Przywódcy polityczni Ukrainy spodziewali się raczej wybuchu konfliktów na mniejszą skalę na Krymie lub w Donbasie, takich jak te, których byliśmy świadkami w poprzednich latach.

„Zamiast tego myśleli, że Rosja jedynie blefuje i szantażuje, aby osłabić Ukrainę jako państwo, a błędne przekonanie, że rosyjska racjonalność weźmie górę nad rosyjską ideologią, kosztowało życie wielu ludzi na Ukrainie, ponieważ ogniska oporu w całym kraju nie były wystarczająco wyposażone w personel i broń aż do początku wojny, kiedy sprzęt został sprowadzony od zachodnich sojuszników przez długą wspólną granicę lądową Ukrainy z Polską" – stwierdził Poita.

Tajwan jako odizolowana geograficznie wyspa musi więc przygotować wiele magazynów i fabryk na całym swoim terytorium, które będą przechowywać i produkować duże ilości pocisków artyleryjskich, „ponieważ Rosja wystrzeliwuje do 60 tys. pocisków artyleryjskich dziennie podczas bardzo intensywnych działaniach wojennych".

„Tajwan musi pogłębić stosunki z Ukrainą nie tylko po to, by wzmocnić swoją sieć sojuszy i wsparcie międzynarodowe, lecz także po to, by wyciągnąć wnioski z ukraińskiego systemu oporu".

eprasa.pl 081494c15f

Poita zalecił Tajwanowi, aby bardzo uważnie przyjrzał się ukraińskim bezzałogowym jednostkom nawodnym (USV), które podczas ataków dronów-kamikaze w październiku zdołały poważnie uszkodzić trzy okręty wojenne Floty Czarnomorskiej w silnie chronionym porcie Sewastopol na Krymie.

Ukraiński naukowiec zwrócił też uwagę na podobną retorykę, jaką Rosja i Chiny stosują w wojnie psychologicznej przeciwko Ukrainie i Tajwanowi. Rosja rozpoczęła wojnę od agresywnego promowania poglądu, że Ukraina jako państwo jest sztucznym tworem, przedstawiając też przywództwo polityczne w Kijowie jako oderwane od reszty obywateli. Jednocześnie retoryka Rosji wymierzona w inne kraje koncentruje się na założeniu, że pomoc dla Ukrainy jest sprzeczna z ich własnymi interesami narodowymi, i prowadzi do kryzysu energetycznego i wojny nuklearnej. Dla Pekinu Tajwan to także sztuczny twór, zbuntowana prowincja z nielegalną władzą, której działania prowadzą do konfliktu.

Poita uważa, że Chiny bardzo uważnie studiują pomoc międzynarodową dla Ukrainy z Zachodu, m.in. czas trwania pomocy, jej format i możliwości jej zablokowania poprzez naciski zewnętrzne lub manipulację sytuacją wewnętrzną, na przykład poprzez wpływanie na wybory.

„Tajwan powinien być bardzo dobrze przygotowany do przeciwdziałania takiej wojnie informacyjnej, biorąc pod uwagę, że Chiny z pewnością wykorzystają swoją ogromną przewagę gospodarczą, aby przestraszyć sojuszników Tajwanu".

„Chiny – twierdzi Poita – wiedzą, że to doniesienia prasowe o rosyjskich zbrodniach wojennych na Ukrainie doprowadziły do tego, że Ukraina uzyskała nową broń z Zachodu, więc Chiny mogą zacząć od ataku na tajwańskie kable internetowe i inne aktywa telekomunikacyjne, aby uniemożliwić przejrzystość pola bitwy".

Tajwan nie tylko wsłuchuje się w ukraińskie doświadczenia z wojny. Po stronie Ukrainy przeciwko rosyjskiej agresji walczą także obywatele wyspy. 2 listopada jeden z tajwańskich ochotników zginął w walce pod Ługańskiem. 25-letni Tseng Sheng-guang walczył w batalionie Karpacka Sicz. Jak przekazał portalowi Politico przyjaciel Tsenga, młody Tajwańczyk „poszedł walczyć, ponieważ wiedział, że jeśli tego nie zrobi, następna bitwa może się wydarzyć w jego ojczyźnie". Ołeksandr Mereżko, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych w Radzie Najwyższej i szef ukraińsko-tajwańskiej grupy przyjaźni, podziękował Tsengowi za poświęcenie życia w imię Ukrainy. „Zrobił wszystko, co mógł, aby nas uratować, wspierać nas, bronić nas. Był jednym z naszych obrońców, jednym z naszych aniołów stróżów" – powiedział Mereżko, opisując Tsenga jako tajwańskiego brata, który przelał krew na ukraińskiej ziemi. „Ukraińcy i Tajwańczycy oddają życie w imię wolności. Dlatego ma to dla nas, Ukraińców, bardzo głębokie znaczenie symboliczne" – dodał.

TAJWAN NIE TYLKO WSŁUCHUJE SIĘ W UKRAIŃSKIE DOŚWIADCZENIA Z WOJNY. PO STRONIE UKRAINY PRZECIWKO ROSYJSKIEJ AGRESJI WALCZĄ TAKŻE OBYWATELE WYSPY.

Na Tajwanie w wypowiedziach dla mediów i komentarzach w mediach społecznościowych Tajwańczycy odnoszą się do Tsenga jako bohatera i wyrażają podziw dla jego odwagi. Jego męstwo jest dla wielu wzorem do naśladowania w przypadku chińskiej agresji na wyspę. „Tseng był zwykłym człowiekiem, ale jego ideały, poczucie sprawiedliwości i chęć obrony Ukraińców uczyniły go niezwykłym. Może nie jestem tak odważny jak on, ale w obliczu chińskiej agresji nie zawaham się bronić moich przyjaciół, rodziny i kraju" – napisał na łamach tajwańskiej gazety „Taipei Times" Chen Kuan-fu, student prawa na Nationa Taipei University.

14 listopada odbyła się we Lwowie uroczystość żałobna poświęcona Tsengowi. Wzięła w niej udział jego najbliższa rodzina: matka, siostra i żona. ■

eprasa.pl 081494c15f

Ryszard Czarnecki

List z Mozambiku

Mozambik wita mnie oficjalną radością: został właśnie wybrany na dwuletnią kadencję na niestałego, rotacyjnego członka Rady Bezpieczeństwa – tak jak Polska przed kilkoma laty, za rządów PiS (w ramach „izolacji międzynarodowej" naszego kraju, oczywiście...). W Maputo, stolicy kraju, samozachwyt, ale po paru dniach w Nowym Jorku usłyszę, że wybór tego południowoafrykańskiego państwa to „pewny dodatkowy głos dla Rosji". Wpływy Moskwy rzeczywiście są tu duże. Gdy islamscy terroryści zaczęli podporządkowywać coraz większe połacie kraju, rząd poprosił o pomoc nie inne kraje Czarnego Lądu, lecz Rosjan z Grupy Wagnera. Efekt był nieoczekiwany: bardzo szybko muzułmańscy siewcy śmierci spuścili rosyjskim jednostkom sołidny łomot. Dopiero odsiecz z Rwandy, uzupełniona przez oddziały wysłane przez Unię Afrykańską, pozwoliła powstrzymać terrorystów spod czarnej flagi Państwa Islamskiego (ISIS).

Prezydent kraju Filipe Nyusi chce być dla mnie miły i na powitanie stara się powiedzieć parę słów po polsku. Słyszę więc coś na kształt naszego „dzień dobry" i uświadamiam sobie, że głowa państwa musi co najmniej dobrze rozumieć naszą mowę ojczystą, skoro ten były oficer jest absolwentem akademii wojskowej w... Bratysławie.

Raporty amerykańskiego instytutu badawczego CSIS umieszczają Mozambik jako jeden z sześciu krajów w Afryce będących bezpośrednio w rosyjskiej strefie wpływów – obok Sudanu, Sudanu Południowego, Libii, Madagaskaru i Republiki Środkowoafrykańskiej (RSA). Faktycznie tych krajów jest, niestety, więcej.

Ta dawna kolonia Portugalii należy do organizacji państw portugalskojęzycznych, obok na przykład Brazylii, Makao czy Angoli, Gwinei, Republiki Zielonego Przylądka, Timoru Wschodniego. Jednak nie tylko Portugalczycy odcisnęli swoje piętno na historii i kulturze tego kraju. XX-wieczny już (projekt: 1910 rok) majestatyczny dworzec kolejowy jest dziełem autora... wieży Eiffla. Francuz Gustav Eiffel zaprojektował tu jeszcze jedną charakterystyczną budowlę: „Iron House" w centrum stolicy. Wszystkie jej elementy zapakowano w Europie na statek i w 1892 roku przypłynęły tu w paczkach. Warto jeszcze obejrzeć tutejszy most, ale też odwiedzić kilka dobrych restauracji z miejscowymi potrawami. Są to chociażby „Zambi" nad samym oceanem z daniami rybnymi, ale również... sushi (!). Można tam skosztować jedynego mozambijskiego piwa Caneca. Kosztuje 130 meticali.

Krewetki (i desery) są tu świetne, ale już dorsz taki sobie. Najgorsza jest bardzo wolna obsługa, która rusza się jak muchy w (afrykańskiej?) smole.

Jest też „South Beach". W tej „Południowej Plaży" znakomite są owoce morza. Jest też mocny (sic!) polski akcent: bardzo tu droga polska wódka Belvedere.

Tuż koło dworca kolejowego, zaprojektowanego przez Monsieura Eiffla, mały Mozambijczyk z ogromnym pakunkiem na głowie, niewiele mniejszym niż on sam. To też twarz Afryki. A może to przede wszystkim jest twarz tego kontynentu? Kontynentu wielkiej biedy i wielkiego przyrostu demograficznego. Tyle że z okna luksusowej restauracji czy z safari tej prawdziwej twarzy Czarnego Lądu wielu sytych turystów z Europy czy Ameryki nie zauważy... ■

Tuż koło dworca kolejowego, zaprojektowanego przez Monsieura Eiffla, mały Mozambijczyk z ogromnym pakunkiem na głowie, niewiele mniejszym niż on sam. To twarz Afryki. Kontynentu wielkiej biedy i wielkiego przyrostu demograficznego.

eprasa.pl 081494c15f

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Wojna i Arktyka. Co Rosja może stracić na Dalekiej Północy

Norwegia jest zaniepokojona i stawia swoje siły zbrojne w stan podwyższonej gotowości. Oslo powołuje się na agresję Rosji na Ukrainę i coraz większą podejrzaną aktywność obywateli rosyjskich w samej Norwegii, na przykład serię startów dronów, po których zatrzymano kilku Rosjan dla wyjaśnienia okoliczności. O rosnącym napięciu w Norwegii i generalnie obecnej sytuacji polityczno-wojskowej w Arktyce pisze Jarosław Szimow w tekście opublikowanym 8 listopada 2022 roku na stronie internetowej Radia Swoboda.

Sytuacja bezpieczeństwa w Europie jest najpoważniejsza od dziesięcioleci" – mówi premier Norwegii Jonas Gahr Støre. „W tej chwili nie mamy jednak powodów, by sądzić, że Rosja chce wciągnąć Norwegię lub któregoś z jej sąsiadów bezpośrednio w konflikt zbrojny. Ale wojna na Ukrainie sprawia, że zwiększona czujność jest konieczna dla wszystkich krajów NATO". Według norweskiego ministra obrony Bjørna Arilda Grama, reżim wysokiej gotowości oznacza, że niektóre jednostki będą prowadzić mniej standardowych szkoleń z zakresu przygotowania ogólnowojskowego, a bardziej zajmować się obserwacją i patrolowaniem, zwłaszcza w obszarach przylegających do lądowej i morskiej granicy z Rosją.

Drony w nieodpowiednim miejscu

Oprócz aresztowań Rosjan wypuszczających drony tam, gdzie nie powinni (najwięcej uwagi przyciągnął przypadek 47-letniego Andrieja Jakunina, syna Władimira Jakunina, byłego prezesa Kolei Rosyjskich i kiedyś oligarchy bardzo bliskiego Władimirowi Putinowi), duże poruszenie także w Norwegii wywołała dziwna historia z „fałszywym Brazylijczykiem". Mężczyzna, który przedstawiał się jako José Assis Giammaria i miał brazylijski paszport na to nazwisko, był wolnym współpracownikiem uniwersytetu w norweskim mieście Tromsø, gdzie m.in. badał zagrożenia hybrydowe. Jak wynika ze śledztwa, mężczyzna był w rzeczywistości obywatelem Rosji, Michaiłem Władimirowiczem Mikuszinem. The Insider i grupa śledcza Bellingcat twierdzą, że Mikuszin pracuje dla rosyjskiego wywiadu wojskowego. Sąd w Norwegii przedstawił Giammarii-Mikuszinowi zarzut szpiegostwa. Przedstawiciele uniwersytetu twierdzą, że mężczyzna – o którym koledzy mówią, że mówił po angielsku „z zabawnym akcentem przypominającym rosyjski" – nie miał dostępu do informacji niejawnych, choć przyznają, że był „zaangażowany w dyskusje na temat wielu kwestii bezpieczeństwa".

Nie wiadomo jeszcze, jak zakończy się ta historia, ale w połączeniu z zatrzymaniem Jakunina juniora i innych Rosjan, którzy robili zdjęcia lub wypuszczali drony w nieodpowiednich miejscach, wywołuje w norweskim społeczeństwie poczucie niepokoju i zagrożenia ze strony północno-wschodniego sąsiada. Dzieje się to w kontekście dużych zmian militarno-strategicznych, politycznych i innych, które zachodzą w regionie arktycznym od momentu wybuchu wojny na dużą skalę na Ukrainie.

– Jeśli chodzi o drony, to nie wydarzyło się tam nic nadzwyczajnego. W tym sensie, że nie postawiono zarzutów o szpiegostwo – naruszenie polegało na tym, że drony, zgodnie z norweskim prawem,

eprasa.pl 081494c15f

nie mogły być wystrzelone tam, gdzie to zrobiono – skomentował sytuację w rozmowie z Radiem Swoboda Paweł Bajew, ekspert Norweskiego Instytutu Badań nad Pokojem (PRIO). – Ale w sumie powiedziałbym, że ze strony władz norweskich była to swego rodzaju reakcja prewencyjna. Ma to związek z tym, że niedawno, dosłownie w tym samym czasie, co te tajemnicze eksplozje na Nord Stream, odnotowano pojawienie się niezidentyfikowanych dronów w pobliżu norweskich platform wydobywczych gazu na Morzu Północnym. Przy tym należy powiedzieć, że drony są liczne i zróżnicowane, a prawodawstwo dotyczące ich wykorzystania czasami nie nadąża za ich rozwojem – mówi Bajew w rozmowie z Radiem Swoboda.

▶ Okiem eksperta

– Jak ogólnie wojna na Ukrainie wpłynęła na konfrontację militarną w Arktyce? Czy możemy mówić o jakichś konkretnych ruchach militarnych stron (przemieszczenie flot lub sił lądowych, duże ćwiczenia itp.)?

– Tak, w regionie zachodzą fundamentalne zmiany w zakresie bezpieczeństwa. Rosja od dłuższego czasu aktywnie rozwija wojskowy komponent swojej obecności w Arktyce. Rozmieściła brygady arktyczne, zakupiła nowy sprzęt wojskowy, który później paradował na placu Czerwonym w specjalnym arktycznym kamuflażu, przebudowała istniejące bazy i zbudowała nowe... Wszystkie te możliwości zostały nagle i bardzo poważnie osłabione. Na Ukrainę przerzucono bataliony brygad arktycznych, które najwyraźniej są tam na dłużej. Nastąpiła dramatyczna zmiana układu sił na Północy, gdyż elementy siłowe obecności rosyjskiej zostały znacznie osłabione przez wojnę. Dotyczy to również Floty Północnej, gdyż co najmniej dwa duże okręty desantowe zostały przeniesione na Morze Czarne i na razie tam pozostają. Inną kwestią jest to, że Rosja nie jest obecnie w stanie odpowiedzieć na ćwiczenia NATO w regionie własnymi ćwiczeniami na odpowiednią skalę, jak to robiła do tej pory. W tym roku nie było żadnych ćwiczeń po stronie rosyjskiej i wygląda na to, że ich nie będzie, bo teraz nie ma za bardzo co pokazać.

– Czy możliwe jest rychłe przystąpienie Finlandii i Szwecji do NATO – jak duża jest to zmiana sytuacji strategicznej w Arktyce? Co dokładnie przyniesie?

– Czysto ilościowo oczywiście nic się jeszcze nie zmieniło, nie możemy mówić o tworzeniu nowych jednostek wojskowych ani o niczym takim. Ale zmiany strategiczne są nieuniknione. W rosyjskiej strategii wojskowej dominowała dotychczas idea, że osobny jest teatr arktyczny, osobny bałtycki. Dlatego utworzono specjalne dowództwo strategiczne, a Flotę Północną zrównano z osobnym okręgiem wojskowym, gdyż powinna mieć swoje specjalne zadania związane właśnie z Arktyką. Bałtyk natomiast był militarnie i administracyjnie odrębny. Nagle okazuje się, że te dwa teatry wcale nie są oddzielne, bo Szwecja i Finlandia w wyniku przystąpienia do NATO stają się częścią jednej euroatlantyckiej przestrzeni strategicznej. Jest to bardzo niemiła niespodzianka dla Moskwy, gdyż najwyraźniej nie spodziewała się tak szybkiego rozwoju historii rozszerzenia NATO na północy Europy. Nie do końca wiadomo, jak się do tego odnieść. Nie ma środków; zostały rzucone na wojnę na Ukrainie.

– Przechodząc od sfery militarnej do politycznej i gospodarczej, pojawia się pytanie: jak Rosja i jej zachodni sąsiedzi mogą teraz rozmawiać o problemach Arktyki? Rada Arktyczna, która skupia państwa posiadające terytoria w tym regionie, nie działa w pełni z powodu nieporozumień między Rosją a państwami zachodnimi. Czy teraz można tę organizację w zasadzie spisać na straty?

– Nie trzeba jej jeszcze spisywać na straty, choć oczywiście negatywne zmiany trudno zignorować. W zasadzie Rada Arktyczna i inne struktury współpracy regionalnej są owocem okresu, który rozpoczął się po zimnej wojnie, kiedy taka współpraca zaczęła się aktywnie rozwijać, pojawiały się wszelkiego rodzaju projekty, przedstawiciele biznesu, środowisk akademickich, działacze ekologiczni... Ten dynamiczny rozwój trwał przez ponad dwie dekady. Ważne jest, że kwestie wojskowe, kwestie bezpieczeństwa w Radzie Arktycznej zostały usunięte z równania. Dlatego współpraca w zasadzie nie ustała nawet po faktycznej wojnie Rosji z Ukrainą w 2014 roku. Rosja opracowała ambitny program na swoje przewodnictwo w Radzie Arktycznej, które rozpoczęło się w maju 2021 roku. Ale inwazja sprawiła, że istniejące wcześniej bariery stały się nie do pokonania. Obecnie nie wiadomo, jak przeformatować prace rady, ponieważ niektóre programy, w tym dotyczące środowiska i zmian klimatycznych, są bardzo problematyczne bez udziału Rosji. Choć pierwsze szkice powstają – na przykład na konferencji w Islandii wczesną jesienią.

– Pojawiają się doniesienia, że wspólne badania arktyczne związane ze zmianami klimatu zostały wstrzymane z powodu wojny. Jak bardzo jest to poważne i jak jeszcze obecna sytuacja polityczno-wojskowa może wpłynąć na postęp badań nad Arktyką? Czy nie zostałby stracony bardzo ważny czas?

– Jak powiedziałem, istnieją bardzo konkretne programy, które trudno kontynuować bez Rosji – na przy-

eprasa.pl 081494c15f

kład dotyczy to badań nad rozmarzaniem wiecznej zmarzliny. Rosja jest tu kluczowym celem badawczym. W Egipcie rozpoczął się szczyt klimatyczny ONZ, COP27, który zapewne pozwoli wyjaśnić, jaki ogólny wpływ miała ta wojna na postęp i zakres prac naukowych w Arktyce. Bardzo ważny będzie temat kryzysu energetycznego wywołanego wojną i ograniczeniem importu rosyjskiej energii do Europy. Nikt nie jest jeszcze gotowy na nowe wyliczenia, jak dalece ten kryzys popchnie kraje europejskie do korzystania z alternatywnych źródeł energii, ale czas na takie wyliczenia wkrótce nadejdzie. Teraz liczy się to, jak minie zima i jak trzeba będzie przebudować bilanse energetyczne. Nie można wykluczyć, że ten kryzys okaże się w końcu owocny dla rozwoju nowej, zielonej energii. Jeśli chodzi o naukę, to na pewno się nie zatrzyma: Arktyka jest duża, jest tam Spitsbergen, Grenlandia i rozległe północne terytoria Kanady, więc badania będą tam prowadzone.

– Jak Rosja może zrekompensować lukę we współpracy naukowej, gospodarczej i politycznej z Zachodem w Arktyce? Czy istnieją jakieś alternatywy? Czy mówienie o ewentualnej obecności Chin w regionie jest realistyczne?

– Chiny promują swoje interesy w Arktyce – ostrożnie, ale stabilnie. Rosja jest tu ich głównym partnerem. Z punktu widzenia inwestycji Jamał był dla Chin bardzo ważnym projektem. Jednocześnie Chińczycy są zainteresowani wielostronnym partnerstwem i chcą działać w szerszej „drużynie" arktycznej. Dlatego raczej nie będą unikać współpracy w żadnych nowych formatach regionalnych bez udziału Rosji, które się tam pojawią. Moskwa nie powinna oczekiwać, że kosztem Chin zrekompensuje sobie zerwanie arktycznych więzi z państwami zachodnimi. Zwłaszcza, że wiele projektów wymaga technologii i bazy naukowej, którą Chiny nie dysponują.

Zerwanie więzi, a także zniknięcie źródeł finansowania, które obecnie wykorzystywane są na cele wojskowe, może spowodować wiele kłopotów. I nie chodzi tu tylko o naukę, lecz także o rzeczy czysto praktyczne, takie jak problem wiecznej zmarzliny, który ma ogromne znaczenie praktyczne i gospodarcze dla rozwoju Arktyki. Albo, powiedzmy, rozwój Północnego Szlaku Morskiego, który był flagowym projektem Rosji w tym regionie: jasne jest, że nie może on aktywnie funkcjonować w obecnym środowisku. Nie powstanie tu żaden korytarz tranzytowy. Dla Rosji skala problemów, które sama sobie stworzyła w Arktyce, jest bardzo duża. Jeden z przykładów: zmniejszenie eksportu gazu do Europy oznacza konieczność zamknięcia szeregu pól, których nie można zakonserwować, nie można ich już potem otworzyć – zwłaszcza że zachodnie firmy usługowe, takie jak Halliburton, opuściły Rosję. Jak działać w Arktyce bez tej współpracy, nikt tak naprawdę nie wie. W tych warunkach ryzyko, że „coś pójdzie nie tak" i skończy się na przykład wielką katastrofą ekologiczną, oceniłbym jako dość wysokie.

***

Do Rosji należy 53 proc. całego terytorium regionu arktycznego. Inne kraje, które są tam obecne i wchodzą w skład Rady Arktycznej, to Dania, Islandia, Kanada, Norwegia, USA, Finlandia i Szwecja.

W 2013 roku Rosja rozpoczęła budowę bazy wojskowej na Wyspach Nowosyberyjskich. W 2016 roku ta wojskowa baza, która otrzymała nazwę Północna Koniczyna, weszła do eksploatacji. W 2016 roku na Ziemi Aleksandry oddano do eksploatacji rosyjską bazę obrony powietrznej pod nazwą Arktyczna Koniczynka.

W 2018 roku sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg ogłosił plany Sojuszu zwiększania sił wojenno-morskich w Arktyce w odpowiedzi na działania strony rosyjskiej. W regionie regularnie odbywają się ćwiczenia sił NATO.

Na początku marca 2022 roku w odpowiedzi na rosyjską agresję na Ukrainę wszystkie kraje-członkowie Rady Arktycznej odmówiły współpracy z Rosją. Wspólne projekty zostały zarzucone.

Arktyka się nagrzewa – rosyjski region polarny w ciągu ostatnich 25 lat stał się cieplejszy o 5°C. Prowadzi to do zmiany wzorców pogodowych na całym świecie, zanikania gatunków zwierząt i roślin oraz pojawiania się nowych chorób. ■

Na początku marca 2022 roku w odpowiedzi na rosyjską agresję na Ukrainę wszystkie kraje-członkowie Rady Arktycznej odmówiły współpracy z Rosją. Wspólne projekty zostały zarzucone.

_____

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 081494c15f

Tomasz Sakiewicz

Regionalna potęga

Bez Polski trudno byłoby pomóc Ukrainie, trudno byłoby myśleć o bezpieczeństwie Bałtów, trudno byłoby powstrzymać Rosję, która zatrzymałaby się w połowie Europy. Bez Polski układ rosyjsko-niemiecki wyparłby USA.

15 lat temu George Friedman, założyciel ośrodka analitycznego Stratford, nazywanego prywatnym CIA, napisał książkę przepowiadającą następne sto lat świata, o takim właśnie tytule. Ważny rozdział poświęcił Polsce, która miała wzrosnąć do pozycji regionalnej potęgi. Zakładał, że dojdzie do konfliktu Zachodu z Rosją, który wzmocni Polskę. Odrzucał wszelkie przepowiednie o słabości USA, twierdząc, że z nadchodzących zawirowań USA wyjdą tylko wzmocnione. Słabość, a raczej początek kryzysu zobaczył w Niemczech i UE.

Te przewidywania były pisane przed pierwszą wojną na Ukrainie, przed zamachem w Smoleńsku i oczywiście w czasie, kiedy Polską rządził Donald Tusk, będący pucybutem Berlina. Przewidywania Friedmana opierały się na analizie potencjałów i polityki mocarstw. Rosji nie wróżył niczego dobrego, i to rzeczywiście się właśnie sprawdza. Ale czy sprawdza się w przypadku Polski?

Budujemy najsilniejszą armię w Europie, mamy jeden z najwyższych wzrostów gospodarczych na kontynencie i bardzo niskie bezrobocie. Rozwijamy się logistycznie i technologicznie. Nadrobiliśmy w poziomie życia dystans do Grecji, Portugalii i zbliżamy się do Włoch. To jeszcze nie czołówka peletonu, ale na pewno jesteśmy w miejscu, w którym nam do tej czołówki coraz bliżej.

Najważniejsze jest jednak to, że nie tylko dla wielu krajów regionu, lecz także Wielkiej Brytanii i USA jesteśmy podstawowym partnerem na kontynencie. Bez Polski trudno byłoby pomóc Ukrainie, trudno byłoby myśleć o bezpieczeństwie Bałtów, trudno byłoby powstrzymać Rosję, która zatrzymałaby się w połowie Europy. Bez Polski układ rosyjsko-niemiecki wyparłby USA. Amerykanie raz tego już doświadczyli, kiedy rząd Donalda Tuska zablokował tarczę antyrakietową i zrezygnował z aktywnej roli USA w Polsce.

Tym razem Berlin nie dał rady dokonać nowego podziału stref wpływów, nie obalił polskiego rządu rękami Donalda Tuska, a Rosja nie zajęła w błyskawicznej wojnie Ukrainy. Wszystko zaczyna się przechylać na korzyść USA i Polski. Mamy większość atutów w ręku. Jedyną naszą słabością jest to, że sami możemy to zniszczyć. Dopuszczając niemieckich lobbystów do władzy, otworzymy nie tylko drogę do ponownego łupienia naszej gospodarki, lecz także otworzymy Rosji nasze granice, wypychając USA. Co ciekawe, Amerykanie sami mogą to ułatwić przy pomocy mediów, które kontrolują na naszym rynku. Ciągle mają problem z dostrzeżeniem, że ktoś ich robi totalnie w konia. Ponadto, nie będzie miliardowych zamówień na ich sprzęt ani na budowę elektrowni atomowych. Już takie zapowiedzi padają i nie powinni się temu dziwić. Pytanie, czy dorośli do wyciągnięcia z tego wniosków. ■

DOPUSZCZAJĄC NIEMIECKICH LOBBYSTÓW DO WŁADZY, OTWORZYMY NIE TYLKO DROGĘ DO PONOWNEGO ŁUPIENIA NASZEJ GOSPODARKI, LECZ TAKŻE OTWORZYMY ROSJI NASZE GRANICE, WYPYCHAJĄC USA.

eprasa.pl 081494c15f



Moc świątecznych atrakcji

6 telewizja na start **miesięcy bez opłat**

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Oferta ważna na dzień 18.11.2022 r. Promocja dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 miesiące. „Telewizja na start 6 miesięcy bez opłat" dotyczy wykupionej przez Klienta oferty i nie obejmuje opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. ELEVEN SPORTS nie gwarantuje dostępu do wszystkich meczów LaLiga; prawa dzielone z innym nadawcą. „Opowieść podręcznej" sezon 5 © MGM Television Entertainment Inc. All rights reserved.